

Fantastyczne historie

Antyradek

15 października 2017

Spis treści

1	Kontakt bezpośredni	5
2	Na pewno nie jest pan wilkołakiem	13
3	Książdz	19
4	Bitwa na klawiatury	25
5	Uniwersalny tort	33
6	Bankiet w Kuli	47
7	Pałac Kultury na Wulkanie Mazowieckim	117
8	Wypchaj się tym barem mlecznym	119

Rozdział 1

Kontakt bezpośredni

Tematem pracy jest czarno-biały świat. Ziemowit i Psychit lądują na dziwnej, czarno-białej planecie i próbują zrozumieć zastaną cywilizację.

Dźwięki doskonale zsynchronizowanej opery na dwanaście głosów wypełniały przestrzeń kokpitu.

— Dziennik pokładowy, wpis numer... och, jeden. — Psychit uderzał mackami rytmicznie w klawiaturę. — Misja typu kontakt bezpośredni z niezbadaną wcześniej cywilizacją. Uczestniczą potwór Psychit i Ziemianin Ziemowit.

— Urodziłem się na Felicji — poprawił potwora Zimi. — Od ostatniej wizyty na Ziemi nie chcę mieć z nią już nic wspólnego.

— I tak nikt tego nie będzie czytał — odpowiedział Psychit, nie odrywając wzroku z ekranu — ...Felicjanin Ziemowit. Statek typu strzałkowiec piątej generacji, napęd na pręty operowe. Nazwa?

— Jeszcze nie wymyśliłem. Myślisz, że tak prosto nadać imię, gdy przed chwilą dostało się swój własny, ukochany statek? To trzeba przemyśleć — wyjaśnił Ziemowit. — Poza tym jakie to ma teraz znaczenie? Chyba nie wierzysz w te przesady, że latanie nienazwanym statkiem przynosi pecha?

— Nie, ale łatwiej jest później kompletować jego fragmenty, gdy eksploduje. — Psychit wyszczerzył srebrzyste zęby. — Powierzchnia planety jest całkowicie biała. Na razie brak reakcji ze strony mieszkańców. Rozpocynamy podchodzenie. Ziemowit prawdopodobnie znowu połamie wszystkie pręty.

— Nie pisz tego! — oburzył się Zimi i pociągnął tak nieuważnie stery, że jeden z dwunastu prętów rozsypał się z dźwiękiem mordowanej śpiewaczki operowej.

Reszta lądowania odbyła się bez niedogodności, nie licząc złośliwego uśmiešku na paszczy Psychita.



Planeta okazała się przykryta grubą warstwą chmur, światło centralnej gwiazdy rozpraszało się całkowicie i produkowało depresyjny, jesienny dzień. Pod nimi, na powierzchni równie białej, jak niebo, zobaczyli niewielkie skupiska czarnych domków. Ziemowit postanowił postawić swój stateczek na skraju małego miasteczka.

Wszystko na tym świecie było czarno-białe. Biała trawa, kamienie i chodniki kontrastowały z murami z czarnej cegły i mieszkańcami ubranymi we wzorzyste ubiory. Nigdy się jeszcze nie zdarzyło, aby przy kontakcie bezpośrednim nie powstał chaos, a mieszkańcy nie uciekali przed intruzami w popłochu. Odpowiedniki wojska pojawiały się zazwyczaj w przeciągu dwóch kilopulsów. Tym razem wszyscy kontynuowali swoje czynności. Co jakiś czas, niektórzy ukradkiem przyglądali się gościom, ale zaraz wszechobecni policjanci zwracali im uwagę głośno bucząc. Zimi postanowił nazwać ich dyrygentami, bo tak śmiesznie wymachiwali patyczkami.

Mieszkańcy planety nie wyróżniali się niczym szczególnym. Mieli po dwie nogi, kręcone rogi na głowach i cztery ręce. Dość normalne, zważywszy na różnorodność całego wszechświata. Nienormalne natomiast było ich zachowanie. Każdy chodził prosto, jak po linie, ze stałą prędkością lub całkowicie stał w miejscu. Wszystkie czynności mieszkańcy wykonywali grupowo, do taktu.

Co ciekawe, to Zimi i jego statek przyciągali najczęściej spojrzeń, a nie stojąca przy nich kolczasta, pięciometrowa, zębata bestia. Tak się złożyło, że Psychit także był czarny, ze srebrnymi pazurami i kolcami w kształcie wielkich igieł chirurgicznych, widocznie to uchodziło za całkowicie normalne w tym świecie, w przeciwieństwie do wściekle pomarańczowego strzałkowca i ubranego specjalnie pod jego kolor pilota. Ziemowit nieśmiało poprawił kaptur swojej bluzy.

Oprócz dyrygentów z pałeczkami i różnorodnie ubranych obywateli, po miasteczku kręciło się także całe mnóstwo malarzy. Każdy z nich dźwigał dwa wiadra z farbą i biegając po całym mieście malowali na bieżąco wszystkie obtłuczenia, pobrudzenia i szarości świata. Mała grupka nieustraszenie zebrała się obok przybyszów, chyba aby rzucić się na Ziemowita i go „naprawić”, lecz Psychit warknął na nich tak, że uciekli, rozlewając farbę. Jednak jeden, najmniejszy malarz zaraz wrócił i starannie zamalował ślad uciekinierów.



Dwójka dziwaków (a właściwie tylko jeden dziwak) szła środkiem chodnika z równą prędkością, taką jak wszyscy. Zwolnili na chwilę, przechodząc na

bok, aby obejrzeć wspaniałą fontannę w centrum. Mała rzeczka wpływała u dołu i wytryskiwała z pomnika na szczycie w nudnobiałe niebo. Być może fontanna uczestniczyła w produkcji tych całych chmur. Gdyby nie rozproszenie światła przez niebo, mieniłaby się zapewne wszystkimi kolorami tęczy. Wielu mieszkańców, po kolei nabierało z niej wody do wiader i od razu duszkiem wypijało, pod czujnym okiem dyrygentów. Całe szczęście, że woda jest przezroczysta i nie trzeba jej barwić.

Naraz wokoło przybyszów zerwało się wielkie buczenie. Wszyscy dyrygenci skakali wokół, krzycząc coś w niezrozumiałym języku, a z daleka nadbiegała, tym razem chyba prawdziwa policja, z elektrycznymi włócznieami. Ziemowit sięgnął do pasa po szyfrator, aby zamrozić ich w splocie czasoprzestrzeni, ale potwór nie chciał się bronić. Postanowili więc pokojowo rozwiązać konflikt.

Kłując swoich gości w plecy, policjanci zaprowadzili ich do budynku z kratami w oknach i zamknęli w dużej celi. Na szczęście środek budynku był biały, więc nie było to aż tak depresyjne miejsce, na jakie wyglądało z zewnątrz.

— Ciekawe, co z nami zrobią? Mają tu sąd, będą chcieli się porozumieć jakimś językiem migowym, a może zaraz nas wypuszczą i ugoszczą w pałacu? Zdarzało się to już przecież — Zimi bombardował pytaniami swojego znajomego.

Potwór wzruszył ramionami i wskoczył na łóżko, które zarwało się pod jego ciężarem.

— Demolowanie im mebli na pewno nam nie pomoże — Zimi skarcił Psychita. — Myślę, że nikt ich nie budował, żeby wytrzymywały trzy tony.

— Wypraszam to sobie, nie jestem aż tak wielki. Ważę jedynie dwie i pół tony, a to spora różnica — ryknęło monstrum. — I to ich wina, powinni byli być przygotowani na przyjęcie członków jednej z czołowych organizacji wszechświata. Większość cywilizacji słyszała o nas i zawsze jest gotowa na nasze przyjście.

— Większość cywilizacji słyszała o was tyle, że jesteście morderczymi jaszczuropolodbnymi istotami zabijającymi w okrutny sposób całe populacje i jedzącymi małe dzieci — poprawił Zimi, gapiąc się przez okno. — Podobno jest was tyle, że niszcycie sprawnie całe galaktyki. Niezłe legendy jak na dziewiątkę istot na cały wszechświat.

— To Pyrroq zjada chętnie dzieci, nie ja — bronił się. — Poza tym, jak wiesz, zabijanie kogokolwiek jest od ponad osiemdziesięciu gigapulsów, znaczy tych... waszych dwóch tysięcy lat zabronione, zwłaszcza dla nas. Teraz mamy być posłusznymi zwierzątkami i nieść pokój i szczęście. Już raz Niebo ukarało mnie utratą mocy na... em... miesiąc. Straszne przeżycie. Ty jeszcze nie masz mocy, więc co możesz wiedzieć. To tak jakby ci ktoś od-

ciał ogon, skrzydła, wszystkie kończyny i zostawił dryfującego w przestrzeni kosmicznej.

— Mieszkam na Felicii! — Zimi się odwrócił. — My też liczymy czas w pulsach, mam już gdzieś ziemskie lata! Zapamiętaj, że...

Przerwał w połowie zdania, bo trójka policjantów z włócznieami przyszła i otworzyła kratę, wyprowadzając więźniów. Psychitowi zamknęli na rękach kajdany między pierwszym a drugim kolcem, tak sprawnie, jakby aresztowali istoty z kosmosu regularnie.

Poprowadzili ich do wielkiego pokoju, na środku którego widniała spora konstrukcja. Miała ona wiele igieł, świdrów i harpunów skierowanych do środka, gdzie przymocowana była krata z pasami. Malarze sprawnie zacierali czerwone ślady po ostatnim użyciu urządzenia.

— Śmierć za przejście na nieprawidłową stronę chodnika — zaśmiał się Psychit. — Dość tej zabawy ryknął nisko i zerwał kajdany, jakby były z plasteliny.

Zaraz rzucili się na niego policjanci, ale on podciął im nogi ogonem, w locie łapiąc ich włócznie w rękę i wbił z całej siły w podłogę, jakby chciał pokazać, że mógł równie dobrze w nich.

Popatrzył słodko na przewodniczącego, który ukrywając strach, krzyknął coś niezrozumiałego do podwładnych. Zaraz otworzyli główne drzwi i zaprosili byłych więźniów do wyjścia, jak gdyby nic się przed chwilą nie stało.



— Nie mam pojęcia, co się właśnie wydarzyło, a ty? — zagadnął Zimi wracając w stronę rakiety. — Oczywiście dziękuję za ratunek. Jak zwykle.

— Myślę, że ten świat nie jest jedynie czarno-biały. Jest także czarny i biały nawet u podstaw — Psychit głośno rozmyślał. — Nie ma tu miejsca na szarości, nawet w zachowaniu obywateli. Śmierć, albo wolność, środek chodnika, albo stanie w miejscu. Wypicie całego wiadra wody na raz, albo wzięcie całego ze sobą. Wszyscy robią rzeczy, albo doskonale, albo wcale. Za zejście z linii od razu śmierć.

— Taki perfekcjonizm może powodować dużo dobrego, ale jakoś nie widać po ludziach, żeby byli szczęśliwi. Myślę, że jednak ich system działa gorzej niż lepiej.

— Już nie raz widywaliśmy zniewolone światy. Ale ci mogą zawsze przeskoczyć na inny kolor, zrobić dokładnie odwrotnie, niż robili wcześniej, więc technicznie rzecz biorąc, mają więcej wolności od nas. — Potwór zmrużył ślepie.

— Nasze prawo nakazywałoby naprawić ten system. ALOPP zostało przecież przez was powołane tylko po to, żebyśmy my, ludzie, pomogli wam,

potworom nieść dobro, a tutaj nie za dużo go widzę. Ale tym razem może postaraj się nie rozwalić wszystkiego w drobny mak.

— To jedna wielka kolorowanka. Możemy użyć tylu kolorów, ilu chcemy.
— Psychit przystanął. — A zaczniemy od przywrócenia twojej rakiety z powrotem do pomarańczowego.

Nieuważnie zostawili statek nieupilnowany, doskonały kasek dla malarzy. Ci z największą dokładnością pokryli każdą powierzchnię białą farbą, nawet okna.

— Mój stateczek. Moje dziecko! — Zimi pobiegł do swojego nowego nabytku. — Nawet nie zdążyłem się tobą wystarczająco nacieszyć!

Ziemiowi biegł w kółko wokół urządzenia.

— Farba się zmyje, lepiej sprawdź czy... — Przerwał mu krzyk.

Wygląda na to, że malarze aż za bardzo przyłożyli się do swojej pracy. Zajrzeli w każdą dziurkę, w każdy zakamarek. Twardymi pędzlami potłukli wszystkie delikatne, zasilające pręty operowe. Znaczy prawie wszystkie, bo jeden zbił wcześniej Zimi.

Ziemiowi pokazał garść niebiesko-białych kryształków.

— Masz zapasowe, prawda? Masz całe dwa zestawy. — Psychit się nie przejął. — W najgorszym razie to wyniosę cię poza atmosferę na rękach, a tam otworzymy przejście do dolnej warstwy.

Dał się słyszeć drugi krzyk. Czarna farba wylała się ze środka, gdy tylko Zimi otworzył właz.

— Ty ostatni wychodziłeś, nie zamknąłeś włazu, prawda? — wysyczał przez zęby. — Chyba czeka cię nieco dłuższy lot do domu na własnych skrzydłach. I będziesz trzymał mnie, statek i pięć ton powietrza w bańkach energii, bo farba zalała grubą warstwą wszystkie ściany i nie mam ochoty siedzieć w środku w czasie podróży. A przedtem jeszcze sam zanurkujesz do środka i wyłowisz dolny klucz.

— Dobrze, popsułem. — Potwór podwinał ogon. — Ale nie mam wystarczającej siły na lot do domu jeszcze rozciągając tak wielkie tarcze. To męczący, wiesz? A gdybym ja kazał ci teraz biec podwójny maraton ze mną na plecach? Zrobiłbyś to bez problemu? My też się męczymy — bronił się. — W dodatku ten system gwiazdny jest na skraju kwadry, podróż dolną warstwą nawet prosto przez środek wszechświata zajęłaby mi kilka kilopulsów. Lepiej wezwij pomoc, Floria z Mojmirą miały zwiedzać sąsiednią galaktykę, na pewno szybciej tu przylecą swoją latającą szklarnią.

Ziemiowi wyjął z kieszeni swój okrągły komunikator, aby wezwać pomoc, ale okazał się on być odłączony od korpusu. Te urządzenia używają małych portali wewnątrz, jak baterii, dzięki czemu mają nieograniczoną moc obliczeniową. Czasami zdarza się, że połączenie się zerwie i zostajemy jedynie z podstawką pod szklaną.



— Skoro i tak spędzimy tu trochę czasu, to równie dobrze moglibyśmy trochę z nimi poeksperymentować — westchnął Psychit, patrząc w stronę fontanny. — Zaczniemy od czegoś prostego.

Złapali więc jednego z obywateli i zmusili do patrzenia na żarowiąstą bluzę Ziemowita. Psychit wypalił laserem ze swojej dłoni dziurę w ziemi i pokazywał mu barwne przekroje skał, oraz jak świeci rozgrzana farba. Obsypywali go niebieskim proszkiem z prętów.

Kosmita nic sobie z tego nie robił. Na każdy kolor zawsze zamykał oczy i siedział w milczeniu. Czy dlatego, że nie chciał, czy dlatego, że się bał, bo za doświadczanie koloru groziło podziurawienie na wylot?

Próbowali podobnie robić z kilkoma innymi istotami. Od buczenia dyrygenta wędły im uszy, najczęściej zainteresowania wykazał jednak malarz, który opryskał wszystko pokazywane farbą.

— Pora na krok ostateczny. Dość mam już tego cackania się — powiedział czarny potwór z białe kropki.

— Nie róbmy im krzywdy, nie wolno nam! — odpowiedział pomarańczowy człowiek w czarne kropki. — Co zamierzasz wyprodukować swoją mocą?

— Jeśli nie chcą patrzeć na kolory, to zrobimy tak, żeby widzieli je nawet przy zamkniętych oczach

— powiedział, wkładając pazury do fontanny. — Zjedz tę grudkę, to antidotum na to, co się zaraz stanie.

Każdy z potworów ma jakąś podstawową moc. Psychit na przykład potrafi wytworzyć swoim ciałem dowolne lekarstwo, narkotyk, truciznę, czy halucynogen. Na niego samego jednak, jego substancje nigdy nie działają. Nośnikiem tych związków jest czarny smar nazywany potocznie ekto plazmą.

Psychit najeżył się i wypuścił z kłóców na rękach czarną substancję, która natychmiast zmieszała się z wodą. Dumny ze swojego dzieła był zaskoczony, że nawet sikawka zaczęła pompować jego ekto plazmę, rozpylając czarne chmury, brudząc nieskazitelnie białe chodniki.

Z wrednym uśmiechem obserwował istoty nabierające czarną wodę do kubłów i pijące ją z trzęsącymi się rękoma i przerażeniem w oczach. Nie odważyliby się zaprotestować, nawet gdyby kazano im pić płynne żelazo.



Potwór i człowiek wygodnie usiedli na końcach strzałek statku i obserwowali rozwój wydarzeń. Pierwsi zareagowali malarze. Pędzlami malowali i tak doskonale białe substancje. Rozlewali gwałtownie farby na siebie nawzajem i wymachiwali pędzlami w powietrzu, chcąc widocznie je także pomalować.

Wkrótce wszyscy obywatele wewnętrznie spanikowali. Chodzili drżącymi krokami, zakrywali oczy, ale nikt nie odważył się zejść z wytyczonych linii. Nikt nie zwolnił, nikt nie wyszedł poza binarność. Pomimo że w ich głowach i przed oczyma tańczyły wszystkie kolory wszechświata wytworzone jednym z najsilniejszych halucynogenów, jakie Psychit potrafi wyprodukować, nikt nie dał tego po sobie poznać.

Wyglądało to śmiesznie, dopóki jedna osoba nie wykłuła sobie oczu i szczęśliwa dalej po omacku nie szła w kolejce środkiem chodnika. Kilkoro pozostałych poszło w jej ślady, zanim Psychit nie podbiegł i nie zalepił wszystkim wkoło oczu swoją ektoplazmą oslepiając ich jedynie tymczasowo, żeby nie robili sobie krzywdy.

Środek rozpylony w chmurze podziałał na wszystkich, ale nie chcieli oni reagować na jego efekty. Jedni próbowali pomalować niebo, więc wygląda na to, że wierzyli w widziane kolory. A z kolei ci, którzy wyłupili sobie oczy prawdopodobnie byli świadomi, że wszystko powstaje tylko w ich głowach. Nie mogli wewnętrznie znieść nawet tego.

Ziemowit w milczeniu zastanawiał się, czy nie posunęli się za daleko. Być może wyrządzili nieświadomym istotom, niepotrzebną krzywdę. Chociaż, z drugiej strony, wytwór Psychita niedługo przestanie działać i wszystko wróci do normy. Chodniki zostaną pokryte kolejną warstwą bieli, a fontanna na nowo odmalowana. Statek się weźmie na hol i nie pozostanie tu po nich żaden ślad. Nawet wspomnienia obywateli zostaną szybko wyplewione przez wiecznie wiszący topór śmierci za każde odstępstwo od normy.

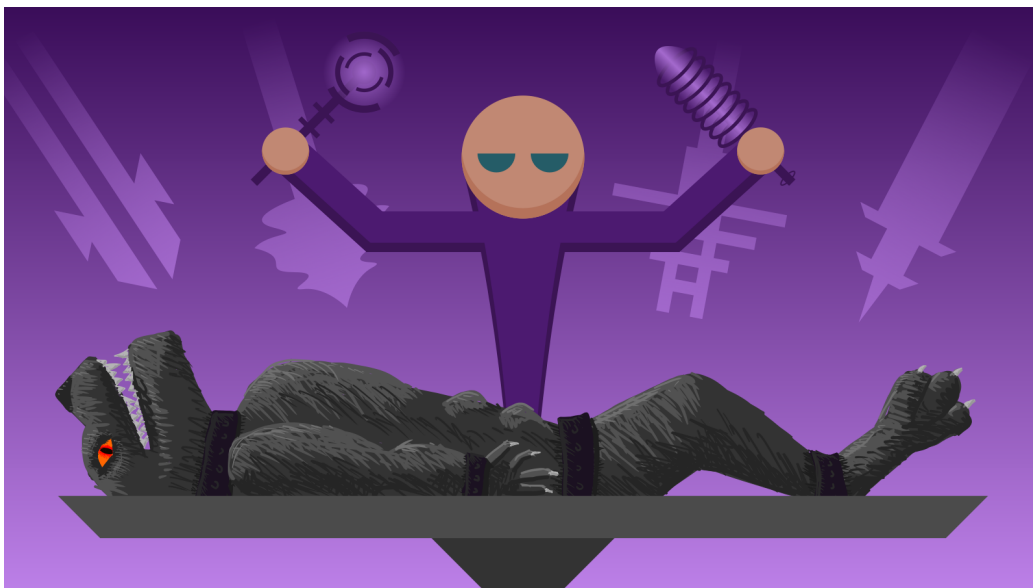
A Psychit? On smakował farbę. Ze wszystkich dziwności wszechświata, ta planeta nawet go nie ruszyła. Ziemowit wziął trochę czerni na palec i pomyślał, że sporo musi się jeszcze o życiu nauczyć.

Fuj, obrzydlistwo.

Rozdział 2

Na pewno nie jest pan wilkołakiem

Tematem jest „Mój pierwszy raz”. Opowieść pewnego człowieka, dla którego właśnie mija pierwszy miesiąc, od ugryzienia przez wilkołaka. A może nie przez wilkołaka?



Podobno nie każde ugryzienie wilkołaka naznacza człowieka. Ja jednak wolę dzisiejszej nocy nie ryzykować. Właśnie teraz mija miesiąc od tamtego pamiętnego dnia, rana się już prawie zagoiła, ale blizna zawsze będzie mi przypominać o mojej skazie. Pierwsza pełnia księżyca, tej nocy wszystko się wyjaśni.

Z samego rana spakowałem namiot, trochę jedzenia i wyruszyłem w las,

aby uciec jak najdalej od wioski. Nie mogę narażać jej mieszkańców i rodziny, gdyby okazało się, że jednak jestem... tym czymś.

Rozbiłem namiot pośrodku jeziora, na małej wysepce, do której przypłynąłem kłodą drewna. Mogę mieć tylko nadzieję, że wilkołaka nie utrzyma. Dla bezpieczeństwa, przywiązałem ją łańcuchem, a klucz od kłódki opaliłem w ogniu, aby pozbawić go ludzkiego zapachu i zakopałem pod drzewem.

Zasnąłem, gdy był jeszcze dzień, miałem cichą nadzieję, że rano obudzę się w tej samej pozycji.



I tak się stało, nadal byłem w namiocie. Jednak już po kilku sekundach wiedziałem, że coś było nie tak. Kłoda drewna nadal była przywiązana do brzegu, ale z drugiej strony wyspy. Pod drzewem widniała wykopana pazurami dziura, ale klucz nadal leżał w środku. I moje paznokcie, były jakby dłuższe?

Czy możliwe było, żebym w nocy odwiązał kłodę, popłynął nią na brzeg, a potem wrócił i przywiązał z powrotem? Znacznie ciekawsze było jednak, co robiłem w lesie, polowałem, wyłem? W końcu dzień drogi, to nie tak daleko od wioski... przeszły mnie dreszcze ze strachu. Trzeba wracać. Szybko.



Już z daleka wiedziałem, że wczoraj w nocy jednak tu byłem. Echo gwarnej wioski niesie się przez las, ale tym razem było zupełnie cicho. Nawet ptaki zamilkły, a wiatr ustał.

Tłące się pozostałości słomianych dachów, dopełniały plamy krwi na drodze. Odwracałem wzrok od zmasakrowanych ciał, nie dlatego, że mnie obrzydzały, ale dlatego, że bałem się zobaczyć w nich członków mojej rodziny.

Każda chałupa miała wyważone drzwi, z każdej futryny wiała śmierć. Tak oto cała wioska, w jedną noc, zniknęła z map. Czy za miesiąc jeszcze jedna podzieli jej los?

Jednakże była jedna osoba, która mogła mi pomóc. Przybysz. Nigdy nie opuszczał domu i z pewnością teraz też tego nie zrobił. Pewnego razu przyszedł do naszej wioski, za pomocą dziwnych sztuczek leczył rany, odpędzał wrogów i budował mechanizmy. Zdobył nasze zaufanie i pozwoliliśmy mu osiąść nieopodal.

Wie, że zostałem ugryziony i z pewnością, jak tylko mnie zobaczy, strzeli do mnie jednym ze swoich dziwactw i zada bolesną śmierć. Ale moja śmierć nie pójdzie na marne. Jestem pewien, że zaraz potem pokroi moje truchło na kawałki i stworzy jakąś miksturę, leczącą likantropizm. Może to i lepiej,

tacy jak ja powinni być usuwani ze społeczeństwa. Moja wina, trzeba było oddalić się od wioski na większą odległość. Ale jeśli istnieje cień szansy, że ostatnim tchem stworzę jakieś dobro, to trzeba iść.



Kwadratowy domek zwyczajowo świecił tajemniczą, fioletową luną. Na dachu były takie specjalne deski, które kradną światło słońca, a potem część oddają w nurcie elektroko-jakimśtam. Nowa, kanciasta gałąź dziwnego drzewa antony, wbita była w rogu, już czwarta z kolei. Płot iskrzył się jak pocierany koc, ale wiedziałem, że przy dotyku może zabić silnym nurtem. Magiczne, ogrodowe krasnale zaczęły do mnie strzelać promieniami słońca, gdy wejść nieproszony, zamiast użyć przycisku przy furtce.

Niepewnie dotknąłem kółka na małym pudełku. W domu rozległo się bicie dzwonek, chociaż byłem w domu Przybysza już wcześniej i wiem że na pewno nie miał żadnych dzwonek przy wejściu. Zamknąłem oczy i czekałem, aż gorący promień dokona mojego żywota.

— Witam naszego wspaniałego bohatera, ale im pan pokazałeś, no, no. — Przybysz chyba oczekiwał mojej wizyty. — Mam to wszystko nagrane, chodź, pokażę jak ratuje pan wioskę. — Odczytał zakłopotanie z mojej twarzy. — Nic pan nie pamięta? Ciekawe. Akurat wczoraj, tej samej nocy, Imperium zaatakowało. Przyjechali z wozami, żeby porwać wszystkich na niewolników kopalni. — Odsunął się, zapraszając do środka, chyba jednak nie chciał mnie zabić. — Wtedy ty się zjawileś, w samą porę. Wszystkie te trupy na podwórzu należą do imperialistów, naszych nie tknąłeś.

— Ale truchło naszej sąsiadki, tam leży! — odpowiedziałem z niedowierzaniem.

— To dlatego, że kilku mieszkańców okazało się agentami, to oni nas zdradzili dla Imperium. Nie martw się, każdego z nich także zmieniłeś w krwistą papkę, a domy spaliłeś, biegając z pochodnią w zębach.

Czyste, perfekcyjnie wykonane wnętrze domu przypominało gładkością mleczny lód. Magiczne przedmioty, których znaczenia mogłem się jedynie domyślać, wały się wszędzie. Na stoliku siedziała wielka, tresowana mucha z gatunku drą. Pokazywał mi kiedyś, jak głośno lata i jak potrafi przekazać potem, co widziała.

Przybysz wskazał na niezwykle okno w ścianie, nazywał je kranem E. Pokazywało nieistniejące widoki, ale nie można było go otworzyć. Tym razem zobaczyłem na nim nocną scenę, z góry oświetloną blaskiem księżyca. Ludzie z pochodniami biegali i wchodzili do domów, wyciągając siłą mieszkańców.

Wtedy pojawił się on. Znaczy ja. Nienaturalna pozycja, lśniące futro, wielkie pazury i dzikie spojrzenie. Zamknąłem oczy, nie chciałem tego oglądać.

Gdy krzyki ucichły, wilkołak sprawdzał dokładnie każdy z domów i czasami podpalał. Mój dom także musiał zostać zniszczony. Moja własna rodzina trzymała z Imperium? Znaczący, że... musiałem ją zabić. Rozszarpałem moje własne dzieci! Łzy napływały mi do oczu i nie wiedziałem czy dlatego, że ich straciłem, czy dlatego, że prawdopodobnie oszukiwali mnie tak długi czas, a całą wioskę sprzedali Imperium. Najgorsze w tym, że podejrzewałem ich o to już od dawna, ale sercem uwierzyć nie mogłem, jak widać niesłusznie.

— Z tego co wiem, wilkołaki nie zachowują się w tak logiczny sposób. Jeśli pan pozwoli, zamierzam przeprowadzić kilka badań i pomóc Panu nad tym zapanować. — Było mi już wszystko jedno. — Możemy to wykorzystać do naszych celów, proszę sobie wyobrazić, cała armia wspaniałych bestii, może nawet obalimy Imperium! Nie będzie więcej wojny, palenia domów i najazdów, nie tylko dla naszej wioski, ale każdej! — Przybysz zachwycił się, patrząc w sufit, gdybym ja do wszystkiego miał taki optymizm, jak on. — Tu jest stół z klamrami na ręce i nogi. Przywiążę pana i zobaczymy, zapewniam, nic się panu nie stanie. Pełnia trwa dwie noce, do zachodu słońca zostało mało czasu.

Obojętnie. Nic mi się nie stanie, to dobrze, stanie mi się, to i nawet lepiej. A jak będę przywiązany, to przynajmniej nikogo więcej nie zamorduję.

Położyłem się na stole, Przybysz zapiął klamry i przyczepił mi jakieś sznurki do ciała. Na wszelki wypadek, zostawił ognistą kuszę na widoku.

Byłem za bardzo pobudzony, aby zasnąć. Wkrótce jednak zacząłem tracić przytomność. Zaczyna się.



Obudziłem się nadal na stole, ubrania porwane na strzępy, sznurki pozrywane, klamry przegryzione. Przybysz siedział w rogu i trzymał się za czerwony bandaż.

— Mamy mały problem. — Siegnął do deski przycisków. — Gdybyś po prostu się zerwał i mnie ugryzł, to by było jeszcze w porządku. Ale po transformacji, zacząłeś ze mną rozmawiać i przekonywać do swoich racji.

Ze sztucznych ust przy kranie E dało się słyszeć głos Przybysza, oraz drugi, zupełnie nieludzki. Niski i ryczący, słyszeć było w nim echo kosmosu, dźwięk wielu zamieszkałych planet i ich słońc. Czerwony karzeł, żółty karzeł i wielka czarna dziura. Dwa księżyce, pierścienie i sztuczny twór. Miasta bogate i zdobione, pokój i szczęście mieszkańców, śmiech i radość. Ale ziemski język, którym wilkołak rozmawiał był sztuczny, ograniczony, na pewno nie polski. Skąd ja to wszystko w ogóle wiem?

— Od razu rozpocząłeś rozmowę ze mną po wspólnym, zwanym również nowomową. — Przybysz nieufnie spoglądał to na mnie, to na kran E. —

Ten język powstanie dopiero za trzy tysiące lat w Ameryce, jako uniwersalny sposób porozumiewania się ludzi z różnych krajów. Nie ma jeszcze nikogo w tej chwili na świecie, kto potrafiłby się nim posługiwać. Z wyjątkiem mnie. I chyba też ciebie?

Pokręciłem głową, ja także go nie rozumiałem.

— Interesujące. — Zamyślony wstał i podał mi nowe ubrania. — Proszę wyobrazić sobie bardzo inteligentne zwierzęta. Przychodzą z bardzo daleka i chcą się od nas nauczyć części naszej kultury. Po ugryzieniu, w ciągu kilku lat, stajesz się jednym z nich. — Wskazał palcem na moje włoski na rękach, były teraz dłuższe i ciemniejsze. — Tak podbijają świat, za światem, usuwają to, co złe, zostawiają tylko to, co w ich przekonaniu dobre i przyjmują u siebie. — Wyciągnął książkę z szuflady. — To nie zadziała. Sztuczne mieszanie kultur nie zadziała. Nie można mieszać. — Uniósł się, jakby chciał mnie przekonać do czegoś, ale ja nie rozumiałem. — Uciekłem przed wymuszonym mieszaniem, uciekłem przed Nowomową, przed sztucznie poprawnym zachowaniem. To wymaga czasu, kulturę trzeba wytworzyć, a nie zdobyć. Oni upadną, tak jak my upadliśmy... upadniemy. Na własne żądanie.

W książce były ryciny spalonych domów, brudnych ulic i wojujących ludzi, ale nadal nic z tego nie rozumiałem. Przybysz patrzył się przez okno. Pierwsi ludzie wracali do wioski.

— Ale może gdyby wpierw oczyścić tę kulturę z brudu, to by zadziałało? — Patrzył na mnie, szukając potwierdzenia racji. — Jedno jest pewne. — Zgasił kran E. — Na pewno nie jest pan wilkołakiem.

— Nie jesteśmy my — poprawiłem.

Rozdział 3

Książd

Cyberpunkowe opowiadanie z nutą Boskości. Jak będą wyglądały opętania przyszłości? Przekonajmy się.

— Dzień dobry panu, przyszedliśmy zabrać pana na operację — powiedziało równocześnie dwóch agentów Poczty, stojąc w drzwiach mojego domu.

— Jaką znowu operację? — Dobrze wiedziałem, jaką operację. W końcu to się musiało stać. Jednak nadal nie wiedziałem, dlaczego akurat dzisiaj.

— Nie wie pan? — Agenci spojrzeli po sobie. Mniejszy zajął głos. — No tak, jak mógłby pan to wiedzieć, nie ma pan przecież jeszcze mrówki. Nie ogląda pan telewizji. Tak, tak. W związku z ostatnimi, niewytłumaczalnymi atakami spazmów u obywateli w całym mieście, Poczta stwierdziła, że dla bezpieczeństwa, wszyscy nieochipowani przy urodzeniu powinni obowiązkowo mieć zainstalowaną mrówkę.

— Ale przecież tylko osoby z właśnie takimi mrówkami doznają ataków, bezpieczniejsi będziemy bez nich. — Próbowałem się bronić, ale wiedziałem, że to i tak nie ma sensu i że to nie o bezpieczeństwo chodzi. — Poza tym operacja wszczepienia u dorosłych ma wysokie ryzyko niepowodzenia, nie stosuje jej się.

— Tak, tak. Niefortunne narodzenie w samolocie, awaryjne lądowanie na pustkowiu, nie można było wszczepić mrówki od razu, przykro nam. Ale teraz może być pan spokojny, wynaleziono nową, bezpieczną metodę. Dzięki niej każdy może cieszyć się swoją mrówką w dowolnym wieku. Czy to do- rośli, czy dzieci, teraz operacja jest bezbolesna, całkowicie bezpieczna i trwa tylko godzinę. W pełni refundowana przez Poczte. Zamów już dziś — agent wyrecytował reklamę, która prawdopodobnie leci w telewizji co pięć minut. — Zapraszamy z nami, chip jest dla bezpieczeństwa wszystkich. Przyczyny ataków nadal są nieznane i jest szansa, że nosicielami mogą być niezachipo- wani. Poczta musi wyeliminować taką możliwość. Chyba nie chce być pan

oskarżony o celowe wywoływanie zamachów? — Odsunął się pokazując miejsce w prywatnej kapsule na szynach, która zawiezie mnie prosto do głównego szpitala. Zastanawiałem się, czy jeszcze wrócę do swojego domu.

Kapsuła od razu wjechała na wewnętrzny tor szpitala i skierowała się do bloku operacyjnego. Wielki, płaski gmach złożony z setek małych pudełek spełniał zapotrzebowania na operacje całego miasta. Dojście do każdego z nich było możliwe jedynie wielkimi podajnikami, które przenosiły cały personel, chorych i towary jeżdżąc od kratki do kratki. Nadto skomplikowany cud inżynierii pocztowej, jednakże wymagany, aby zmieścić cały szpital w centrum miasta na tak małej powierzchni.

Wjechaliśmy na podajnik, który przeniósł nas razem z kawałkiem toru prosto pod tylne wejście sali operacyjnej 433. Pielęgniarki właśnie kończyły przygotowywać autochirurga do pracy, wielki pająk z tysiącem odnóży, przywiązany do sufitu zaraz będzie dobierał mi się do mózgu. I to dosłownie. Jaka ma być ta nowa metoda? Wyglądała dokładnie tak samo, jak standardowa operacja. No cóż, może zmieszczę się w tych 83% udanych zabiegów.

Kątem oka spojrzałem na pozostałe wejścia, kapsuły na podajnikach przychodziły i odchodziły od każdej z nich. Z prawej ktoś nadal próbował się siłować, szybko dostał środek uspokajający. W lewej sali widać było, że czekali na kapsułę już bardzo długo, pielęgniarki zasnęły z przemęczenia oparte o ścianę nad przepaścią. Gdzieś dalej dał się słyszeć krzyk i strzał agencckiego elektronowca. Agenci delikatnie, acz stanowczo powiedli mnie za bark w kierunku łóżka operacyjnego.



To było dzisiaj rano. W tej chwili wracam niebusem ze szpitala na stację górnego dworca, gdzie poczekam dziesięć minut na pociąg magnetyczny do domu. Jadę sto-trzydzieści-jeden metrów nad ziemią w wagoniku zawieszonym na szynie, z prędkością pięćdziesięciu-pięciu kilometrów na godzinę. Pode mną są slumsy, miejsce od którego powinienem się trzymać z daleka. To składowisko podejrzanych osób, niebezpiecznej technologii, mafii i wszystkich odpadów z miasta. Wyznają nawet swoją zakazaną [REDACTED]. Dziwne, nie mogłem znaleźć odpowiedniego słowa. Niebus dojedzie do stacji za dwadzieścia-trzy minuty.

Wiedziałem wszystko, nie musiałem nawet spoglądać na ekran z rozkładem, aby znać kolejność stacji. Dworzec górny, fabryki jedzenia, jezioro pocztowców, centrum handlowe klasy średniej, rezerwat. Byłem wszystkim, mogłem wszystko. Dzięki ci, Poczo za tę mrówkę. Ty, która zaczęłaś od dowożenia listów, tak się rozrosłaś przejmując firmę za firmą, że sprawnie zarządzasz teraz całym miastem. Jedyną myślą, która nie pozwala mi być

w pełni szczęśliwym, to myśl o atakach. Przecież prawdopodobieństwo dostania spazmów jest tak małe. Jest większa szansa na wygranę w loterię — kupon kupię na stacji za dychę — niż to, że jakiś atak nastąpi teraz w tym szynobusie. I nie stwierdzono, jakoby były zaraźliwe.

— Proszę się nie bać, w telewizji mówili, że liczba ataków maleje. Pewnie ten program komputerowy zaczął już atakować sam siebie. — Kobieta z obcisłej spódniczce z animowanymi kwiatami uśmiechnęła się, odsłaniając nienaturalnie białe zęby. — Naukowcy Poczty ciężko pracują na szczepionkę, jestem pewna, że wkrótce każdy dostanie aktualizację systemu.

— A jeśli to nie wirus, tylko taki... no... niekomputerowy wirus? Taki prawdziwy wirus, jak kiedyś były, albo bakteria jakaś? — zapytałem. Czyta mi w myślach, czy to pocztowy automat właśnie podsunął jej ten pomysł, gdy zobaczył, co zaprzęta moją głowę?

— Przy obecnej służbie zdrowia? Proszę pana, nie żyjemy przecież w XXI wieku! Musiałoby uciec chyba z muzeum. — Biodra jej zafalowały, to po tych lekcjach tańca na które chodzi z chłopakiem. — Chociaż w tym śmietniku pod nami, to nigdy nie wiadomo, co się czai.

— Wystarczy tam nie chodzić i wszyscy będą bezpieczni — wyrwało mi się niespodziewanie. — Pewnie wszystkie poszkodowane osoby same sobie były winne.

To były moje myśli? Jeszcze rano bałem się wyjść z domu bojąc się tej tajemniczej choroby, ale teraz coś mi mówi, że byłem w dużym błędzie. Tysiące informacji potwierdzających, że to nic groźnego, przelatuje przez moją głowę. Kierują mną, abym stwierdził, że sam doszedłem do takich wniosków. Albo też nic mną nie kieruje, wszystko jest tak, jak dawniej. To ja mam całkowitą kontrolę nad sobą.

Kupię sobie ładną nakładkę na czoło, w tej chwili goła mrówka jest brzydkim, wystającym trójkątem. Widzę, jakie inni noszą ciekawe rozwiązania, nie muszę szukać ich w sklepach po całym mieście, od razu wiem, gdzie sprzedają który model. O, ten ma taki fajny irokez, który świeci kolorowo w zależności od myśli. Patrzy w okno, różowy oznacza miłość. Wraca właśnie z udanej randki w kinie, grają tydzień starych filmów w 2D.

██████████. Ostatnimi siłami spróbowałem przywołać na myśl ██████████. Zarówno to, jak i ██████████, oraz ██████████ były zakazane. Same te słowa, jakby były wymazywane z głowy jeszcze przed interpretacją przez mózg. Ale przecież to nie problem, nie powinienem w ogóle zaprzętać tym sobie głowy. Tylko mieszkańcy slumsów robią ██████████, jestem porządnym obywatelem, trzymam się od tego z daleka.

Słabość, czuję się słabo. Tak, to pierwszy objaw ataku, ale nie ma się czego bać. Każdemu może się zrobić słabo, tak duszno jest w tym wagoniku, 50% stężenia CO_2 . Ale zaraz, przy takiej ilości już bym nie żył. Co się

zepsuło? Nogi odmawiają posłuszeństwa, dźwięk zanika, tracę kontakt z otoczeniem. Tracę władzę nad ciałem! Irokez zmienił kolor na czerwony. Karetka nie podleci do wagonika, jest zajęta innym atakiem! Nic mi nie będzie.

Wtem wychodzi z tłumu wysoki człowiek w płaszczu. Nogi skrywa su-tanna, pod szyją ma biały kołnierzyk, to musi być [REDACTED]. Patrzy na moją mrówkę, przeszywa ją na wylot, wzrok utkwiony w gnieździe do podłaczania. Słyszę teraz jego słowa, to stary język, łacina. Treść jest nieistotna, mrówka podpowiada, że nie muszę jej znać. Surowe spojrzenie, ręką wykonuje znak [REDACTED], w lewej dłoni trzyma wisiołek z [REDACTED]. W prawej butelkę z wodą [REDACTED], otwiera ją, wylewa na nas. Piecze, piecze! To kwas. Palimy się. Ciszej, ciszej! Tylko nie Ojcie Nasz, nie wypowiadaj Jego Imienia, nie przyzywaj Jej, nieee! Uciekać, trzeba uciekać. Zabije nas. Z tego śmiertelnika już nic nie będzie, odwołać atak. Gdzie uciekać? W dół, do slumsów. Tam, dwójka ma sprawne mrówki, rozdzielić legion! Ha, żegnaj, ojczulku, nie uratujesz go już. Chwila, czy to pendrive z Mrówixem? Cholera, ale to nic. Ten system też wkrótce padnie.

— Wolne oprogramowanie, tworzone przez wszystkich, dla wszystkich. Napisane z miłości, waszej największej słabości.

Ciemność. A potem szturchanie przez nieznanomego. Wysoka osoba w płaszczu była pochylona nade mną, uśmiechała się, jakby właśnie uratowała człowieka przed śmiercią. Pomogła mi wstać i utrzymać się na nogach, choroba ustąpiła natychmiast. Miałem mokrą twarz, ale nie od potu. Po co mnie oblała wodą?

— Czy dobrze się czujesz? — Jego głos pełen był nadziei. — Udało się, Bogu dzięki. Przy okazji, jestem Ojciec Tomasz, franciszkanin.

— Przepraszam, chyba trochę zasłabłem. — Ludzie wokół stali, jak zamrożeni. Nikt się nie poruszał, nie mrugał. — Czy...

— Dobrze, potem wyjaśnimy, goni nas czas. A dokładniej Poczta. — Ksiądz pociągnął rękojeść awaryjnego otwierania drzwi. — Tak na szybko. Zostałeś zaatakowany przez demona, udało mi się go przepędzić i zainstalować Mrówixa, wspinamy się na górę i uciekamy po szynie. Masz pełną kontrolę nad chipem, Poczta nie będzie wiedzieć, gdzie jesteś. Ci ludzie zostali zdalnie spauzowani, żeby nic nie widzieli i nic nie słyszeli. Oczywiście Poczta nadal wszystko przez nich widzi, możesz jej pomachać. Za kilka minut włączą ręczne sterowanie i ci wszyscy ludzie nas rozszarpia, dlatego spiesz się. Tu jest rączka, podnieś się, zaprzyj nogą tam.

— Przecież szyna jest pod napięciem! — Tak stwierdziłem wedle mojej wiedzy. — Sto-ileśtam metrów w dół!

— Tylko niektóre części są niebezpieczne, masz w głowie wykradzione plany budowy niebusa, poszukaj dokładnie, póki co, rób to, co ja i nie dotykaj

niczego więcej.

Wyszliśmy ostrożnie na dach i zaczęliśmy biec po szynie do najbliższej podpory. Niebus. Szynobus. Mam. Dokładne plany linii, przekroje, schematy budowy i działania. Pod napięciem są tylko zewnętrzne brzegi. Już nie byłem wszystkim. Byłem książką, dokładniej biblioteką. I to dość zakurzona. Brak bezpośredniego połączenia z internetem. Już nic mi informacji nie podsuwało, musiałem je sobie sam znaleźć.

Przeszło numer 23, będą schody na dół. Zamek szyfrowy przy wejściu to PoczLok-2122, zamknięty, ale zabezpieczenia dziurawe, jak ser. Znalazłem kilka exploitów i program do hackowania. Jest też instrukcja obsługi, ale to plik tekstowy, trzeba przeczytać samodzielnie.

Akurat dopadliśmy schodów, gdy pocztowy grawitowiec wysunął się zza budynku. Zbiegliśmy, prawie zeskoczyliśmy ze schodów. Zamek poszedł w kilka sekund, byliśmy w centrum slumsów. Miałem mapę, na niej zaznaczone kryjówki, dopadliśmy pierwszej z nich i zniknęliśmy w sieci starej kanalizacji. Notatka mówiła, że Poczta nie zna jej przebiegu. Jeszcze.



Mieszkanie Ojca było bardzo biedne, ale czyste i zadbane. Usiedliśmy pod oknem patrząc na ostatnie pocztowe grawitowce, opuszczające zawieszony w górze wagonik. Gdy ruszył, wszystko wróciło do normy, ludzie zostali odpauzowani, nikt nic nie pamiętał, nikt nie zauważył mojego zniknięcia. Z wyjątkiem mnie.

— ...i taka właśnie jest historia — Ojciec Tomasz skończył opowiadać o atakach. — Tym razem to ani nie wirus, ani nie choroba, ani żadna broń biologiczna, ale demony nie z tego świata. Przez setki lat ludzie mieli w mózgu naturalną obronę przed tymi pomiotami, ale wraz z nadejściem mrówek to się zmieniło. Kiedyś trzeba było interesować się voodoo, odprawiać czarne msze i wróżyć z kart, aby zaprosić szatana do siebie. Dzisiaj sam wchodzi, atakując chip i przez niego mózg. Nowoczesne czasy, nowoczesne opętanie.

— I może jeszcze szatan wgrywa tam swoje oprogramowanie? — zażartowałem. Trudno mi było uwierzyć w to wszystko.

— Nazywa się BorutOS, mamy jego obraz i inżynierią wsteczną opracowaliśmy exploity, aby przełamać go i zastąpić otwartym projektem Mrówixa. — Ksiądz skrzywił się, widząc uśmiech na mojej twarzy. — Nie wierzysz? To dzięki temu właśnie cię uratowałem, wykorzystałem lukę w systemie, który demony wysłały do twojej mrówki i zastąpiłem naszym. Póki co nie mogą znieść faktu, że ten system jest tworzony przez różne, niepowiązane osoby, non-profit, z miłości. Póki co, jesteśmy bezpieczni.

— No dobrze. W każdym bądź razie żyję, jestem uodporniony na ataki, ale co dalej? — Doszło do mnie, że nie mogę teraz tak po prostu wrócić do domu.

Ojciec otworzył okno, smród stęchlizny, spalonych silników elektrycznych i smarów wdarł się do pomieszczenia.

— Czekamy na koniec świata — powiedział, wskazując ręką na miasto. Grupa pocztowych grawitowców ponownie gdzieś zmierzała. — Albo pomożesz mi ratować ludzi. Każdy się przyda, trzeba zdobywać informacje, ulepszać nasz system, pisać wirusy, podkładać bomby, dbać o słabszych... czasem zabijać pocztowców. Nie żebyś miał jakiś większy wybór, do domu nie pójdziesz, legalnie nie popracujesz, właściwie to oficjalnie umarłeś.

— Zabijać? Szkodzić innym? Przecież Pismo Święte wyraźnie zakazuje.

— Chciałbym być doskonały, ale zobacz na nasz świat. Albo zabijesz pocztowca, albo on zabije dziesięciu z nas. To nie jest tworzenie dobra. To jest tworzenie mniejszego zła. Ja nie... — Tomasz wziął głęboki wdech. — umiem... tworzyć takiego dobra, jakie powinienem. Nie jesteśmy w stanie działać tak, jak nakazuje Biblia. Przykro mi. Nie mogę obiecać ci Nieba, bo mam wrażenie, że sam idę w złym kierunku. Czy zatem zgodzisz się popełniać ze mną zło przeciwko złu?

— Pomogę. — Nie zastanawiałem się długo. — I tym razem, to mój świadomy wybór.

Rozdział 4

Bitwa na klawiatury

Niepoważny dramat o całkiem poważnym temacie „Kto mieczem wojuje, od miecza ginie”. Poz żadnym pozorem nie wystawiać na prawdziwej scenie.

Ta komedia została znaleziona w Głównej Bibliotece w czasie jej digitalizacji z sześciokątnych płytek pamięci do komputera. Nie jest dokładnie wiadome, kto ją napisał, a i nikt się do tego nie przyznaje. Może to i lepiej.

BITWA NA KŁAWIATURY

Postaci:

- Doktor Evilion — człowiek.
- Przydupas — dziwna hybryda człowieka z czymśtam, stworzona przez Eviliona.
- Mikołaj — potwór.
- Nadar — człowiek.
- Ferro — potwór.

Wymagania:

- Puste miejsce w pierwszym rzędzie, dla Eviliona.
- Kilka osób o imieniu Mikołaj na widowni.
- Podstawiona osoba z telefonem i bombą pod siedzeniem.

Poniższy scenariusz powinien być zagrany w naszym jedynym teatrze na Księżycu Radości. Dla realizmu, powinno się zamiast aktorów użyć rzeczywistych postaci przedstawionych w skrypcie (z wyjątkiem Ferra, gdyż jest beznadziejnym aktorem i nie zagrałby dobrze nawet samego siebie).

Akcja rozgrywa się na Potworanie, w najbardziej strzeżonej części zbrojowni, przy naszej maszynie do nadpisywania zasad wszechświata (znanej też jako Maszyna Życzeń). Na scenie znajdują się dwie konsole do sterowania maszyną, po bokach, na podwyższeniach, zwrócone przodem do siebie. Na scenę wychodzi wpierw Nadar. Doktor Evilion siedzi w pierwszym rzędzie widowni.

NADAR

A oto najciekawszy punkt naszego zwiedzania.
Wielka maszyna, do życzeń spełniania.
Tutaj widać tylko dwie konsole.
Większość maszyny znajduje się pod ziemią, na dole.
Modyfikuje zasady wszechświata, wedle życzenia.
Czy to wartość π , czy kolor nieba, to bez znaczenia.
Jest tak potężna, że nikt jej nigdy nie dotyka.
Jednak nie zniszczymy jej, na wypadek nietypowego ryzyka.
Nie ma bardziej strzeżonej rzeczy na tej planecie.
A my oprowadzamy wycieczki. Humor autora czujecie?
Myślę, że nasz świat za długo by się nie ostał,
gdyby teraz jakiś wróg do konsoli się dostał.

*Z widowni na scenę wbiega Doktor Evilion i jego pomocnik Przydupas.
Zaraz potem z boku wbiega Mikołaj.*

DOKTOR EVILION

W końcu się udało! Dostałem się!
Maszyna Życzeń, teraz należy do mnie!
A tu konsola, zaraz zacznę nią sterować.
I problemy niespotykane będę generować.

MIKOŁAJ

Już po nas. To koniec wszystkiego.
Evilion robi z nami, cokolwiek chce jego ego.

DOKTOR EVILION

Przetestujmy ją, najpierw coś małego.
Coś bez zbytnich problemów, zbędnego.
W klawiaturę te słowa wpisywać bez liku.
Otóż — chcę loda na patyku.

PRZYDUPAS

Nic się nie stało, mój panie,
czy na pewno poprawnie podłączone sterowanie?

MIKOŁAJ

Wszystko poprawnie, wszystko tak ma być.
Inaczej moglibyśmy już wszyscy nie żyć.
Nikt z was nie wie, jak to wszystko działa.
Jak nadać maszynie poprawne sterowania.

PRZYDUPAS

Chyba Maszyna Życzeń to nazwa nieodpowiednia.
To nie tak jest, że ona cokolwiek spełnia.
Jeśli pozwolisz, przejmę sterowanie...

DOKTOR EVILION

...panie. Dla ciebie — „panie przejmę sterowanie”.

Mikołaj swoimi lodowymi mocami stwarza loda w ręce.

MIKOŁAJ

To może ja spróbuję... wielmożny panie.
Rękami pomacham, jakbym robił pranie.
Poczekaj chwilę, aż będą gotowe.
Lodowe lody, w smaku lodowe.
Oto i przysmak, którego tak pragniesz.
Chwileczkę, zaraz jeszcze więcej dostaniesz.
I w klawiaturę wpisać ten rymowany tekst.
Rozkazywanie maszynie, toż to sztuką jest.
Dzieje się tak, że — nad głową Eviliona
w każdej sekundzie pojawia się ilość takich lodów miliardowa.
Hmm. Nic się nie dzieje. Co to się stało?
Żeby tylko się nie zepsuło, bo problemów mamy niemało.

NADAR

Mikołaju!
Właśnie odczytałem coś na moim komunikatorze.
Spowodowaliście niemałą katastrofę. O Boże!
Wpisałeś Evilion, ale jaki?
Na Tirandii rządzi przecież jeszcze król taki.
To ta planeta, która ciągle na swą gwiazdę spada,
co im wielki silnik daliśmy, żeby im nie była biada.

Teraz góra lodów zamroziła go w mig,
siła nośna natychmiast zniknęła, o tak — pyk!

MIKOŁAJ

Zobacz, coś narobił Evilionie,
przez ciebie cała planeta teraz spłonie.

DOKTOR EVILION

Ach, to na mnie вина zwalona jest, taka?
Mikołaj właśnie umiera na raka.

Kilka osób z widowni osuwa się na ziemię.

MIKOŁAJ

Ja człowiekiem nie jestem, jak pewnie odkryłeś.
Komórek w ciele do zraczenia nie mam, być może nie zauważyłeś.
Ludzi do zabicia na Potworanie, o tym imieniu też nie znajdziesz,
ale na Ziemi, prawdopodobnie prezentów pod choinką, już nigdy nie odnaj-
dziesz.
Hej, czy tamta osoba też właśnie umarła?
Zobaczcie, jak prosto maszyna mu życie pożarła.

DOKTOR EVILION

Lodowy potworze,
mój ty Boże.
Mógłbym napisać, że po prostu znikasz,
ale lubię zabijać, gdy z innymi problemami się borykasz.
Poza tym ciężko wpisać tekst, żeby rymowała się każda komenda.
Po to, żeby osoba czytająca ten dramat, była jak zaklęta.
Zatem potrafisz produkować lód?
Zaraz będziesz mieć tu gorąca w bród.
I ze strachu i roztopów jeszcze bardziej zbielejesz,
klawiatura jest tak gorąca, że zaraz stopniejesz.

Mikołaj opiera się o rozżarzoną klawiaturę, jak nigdy nic.

MIKOŁAJ

Gorąca nie znoszę, ale co to są tysiące stopni temperatury.
Byłem zapraszany na herbatę, do lawowych smoków z Karkentury.
A więc myślisz pewnie, że jesteś nade mną górą?
Co zrobisz teraz z własną, gorącą klawiaturą?

DOKTOR EVILION

Zapomniałem. O ja głupi znowu.
Zmiana zasad wszechświata, dotyczy nas obu.
Jestem doktorem nauk. W rękawie mam jednak asa.
Przydupasie, już, zastąp mnie. Hopsasa.

PRZYDUPAS

Ależ jak, panie? Klawiatura płonie.
Rozumiem, że mam kompletnie spalić sobie dłonie?
Od zawsze chodzę posłusznie, po pana drodze,
a szacunku nigdy dostaję — zatem odchodzę!

DOKTOR EVILION

Głupi eksperymencie, aby cię wytworzyć,
lata nauki poszły, abyś mógł trochę pożyć.
Myślisz, że ja Evilion, jam jest idiotą?
Dałem ci odporność na ogień, niecnoto.
Wpisz zaraz, że ważysz całe tony, zaczyna coś trybić?
Wtedy skocz na niego, aby do ziemi natychmiast przybić.

Mikołaj lecący za scenę pod ciężarem Przydupasa.

MIKOŁAJ

Jestem potworem, podnoszę całe tony,
zaraz się wygramolę spod jego ciała zony.
O nie, widać wpisał także, że siłę mi odbiera,
Ferro, zastąp mnie, pokaż, że potwór nie popiera.

Na scenę wchodzi Ferro.

FERRO

Nie jesteś jedynym, który się pastwi nad swą ofiarą,
co powiesz na minutę milczenia? Z ust nie puść parą.
Kto następny w tym teatrze nie będzie cichy, jak ryba,
ten majestatycznie eksploduje. ...teraz enter chyba.

Po kilku sekundach dzwoni telefon podstawionej na widowni osoby. Eksploduje bomba pod jej siedzeniem.

FERRO

Co to było? Przecież ta konsola nie jest do maszyny podłączona!
To ma być tylko teatr! Komedia niedorobiona.
Czyli to wszystko, co wpisujemy, to się na prawdę stanie?
Co za pojeb pisał, całe to wypracowanie!

DOKTOR EVILION

W kieszeni znalazłem ognioodporne rękawice,
wielu tu ludzi na widowni widzę!
Na zabawy z wami, mam teraz branie.
Umrze ten, kto z miejsca tutaj wstanie.

FERRO

Mówi serio, nie wstawajcie, proszę,
zaraz się z nim rozprawię, aż spadną mu kalosze.
Lubisz rodeo? Zaraz polubisz.
Przez niekontrolowane wstrząsy konsoli, zaraz się zgubisz.
Patrz na mnie, ważę trzy tony.
W porównaniu ze mną, jesteś jakiś niedorobiony.
Jak myślisz, czy mnie to w ogóle ruszy?
Lepiej od razu szukaj na swoim ramieniu duszy.
Wpisuję kolejny tekst, możliwościami maszyna się chlubi.
Konsole trzęsą się tak, że Doktor Evilion nie polubi.

DOKTOR EVILION

Nic się nie dzieje, wiedziałem o tym,
zdziwiony? Wyjaśnię ci to wszystko potem.
A póki co, kolej teraz moja.
Mechanicznych komarów rzuci się na Ferra cała sfora.

FERRO

No to jesteśmy po równo, na mnie też to nie działa.
Dlaczego? Nasz język często robi ludziom w uszach „ała”.
Dlatego też, to tylko ludzie,
wymyślili nam te przydomki, żeby rozmawiać na luzie.
Mojego imienia, to nawet w pełni usłyszeć byś nie mógł.
A ty z kolei, nie jesteś doktorem. Oj — czyżbym twoje ego stłukł?

DOKTOR EVILION

Nie ma znaczenia, zaraz to naprawię.
Przedemną leży mój doktorat. Niech tak się stanie.

FERRO

Nie powiedziałaś jaki, a w nieokreślonym przypadku,
maszyna używa specjalnej przysadki.
Kto ją budował? Mikołaj — radośnie!
Spodziewaj się na papierze, jakiejś dziedziny sprośnej.
Bardzo ciekawe, co ci wyszło tam?
Nie pal tego, chcę wiedzieć! Powiedz proszę nam.
Ale wiesz, że doktoratu zniszczenie,
zasad wszechświata wcale nie zmieni?

DOKTOR SZAMBONURKOLOGII JANUSZ EVILION

Głupia maszyna. Teraz mi ukojenie.
Da tylko jej całkowite zniszczenie.

FERRO

Evilion to nazwisko, zagadka się wyjaśniła,
dlatego też, komenda Mikołaja, nie jego namierzyła.
Zasady wszechświata, raz zapisane,
nie zważają na dalsze maszyny poczynanie.
Jeśli ją zniszczysz, wszystkie zostaną,
zasada zapisana, pozostanie zapisaną.
Siedzieć wtedy tu wszyscy będziemy,
aż całkowicie z głodu pomrzemy.

DOKTOR SZAMBONURKOLOGII JANUSZ EVILION

Już widzę, dlaczego używać tej maszyny, jest tak niebezpiecznie,
sala z konsolą, powinna zamknięta być wiecznie.
Trzeba ten śmietnik, jakoś ogarnąć.
I zwycięstwo nad światem, do siebie przygarnąć.
Zasada z konsoli, z konsolą padnie.
Rozwiązałem ten problem, całkiem ładnie,
teraz tylko wyłączyć twoją.
I kontrola nad światem będzie całkowicie moją.
Druga konsola rozpada się, jakby dostała batem.
To mi da pełną kontrolę nad całym wszechświatem.

FERRO

Myślałeś, że ci się to uda, tak po prostu?
To moja konsola, do pierwszego gniazda, podłączona była kabli wiorstą,
to znaczy, że twoja część teraz pada, wiarę dasz?
Pamiętaj, że z potworami szans na zwycięstwo nie masz.

A na zakończenie wpiszę komendę wspaniałą, niczym angielski poem.
Ojej, moja konsola wzięła i się zrobiła złomem.

Przydupas wychodzi zza sceny z kluczem francuskim.

DOCENT PRZYDUPAS

W czasie waszej niepoważnej potyczki,
ja poszedłem na dół i zamieniłem wtyczki.

DOKTOR SZAMBONURKOLOGII JANUSZ EVILION

Zaraz, ale wstałeś z miejsca, jak to możliwe?
Jak w takim razie żyjesz? Powiedz skwapliwie.

DOCENT PRZYDUPAS

Moje miejsce, nie wiem czy wiecie,
to zawsze pomagać panu, gdziekolwiek we wszechświecie.
Teraz, które zasady padły, a które żyją?
Powieм panu na ucho, ruszyć proszę szyją.

FERRO

Teraz coś wam powiem, że aż wyjdą wam gały,
zapomnieliście, że potwory, mają słuch doskonały.
Nasz docent powiedział, jedną rzecz, od niechcenia.
Przyklejone na stałe nie muszą być już wasze siedzenia.

Prawdopodobnie wybucha teraz panika na sali i wszyscy uciekają.

DOKTOR SZAMBONURKOLOGII JANUSZ EVILION

Co za panika. Wszyscy w pośpiechu wychodzą.
Czy ta sztuka jest aż taką niedorobioną?
W takim razie, będę musiał streścić się zatem,
aby każdy z was doświadczył mojego triumfu nad wszechświatem.
Co by tu wpisać, teraz jestem bogiem,
może coś prostego, potem się zastanowię.
Nic mi nie zagraża, więc czemu mam was zabijać?
Nie mogę się ciągle o ten sam cel obijać.
Co mi po waszej śmierci, dobry władca dba o swój lud,
dlatego będę dawał wam wszystkiego w bród.
Jak zrobić, żeby między nami wszystkimi była zgoda?
Już wiem, na patyku dla każdego loda!

Rozdział 5

Uniwersalny tort

W czasie wesela do tortu wpada mały, uniwersalny meteoryt. Gdy zakażony uniwersalnością tort zostaje zjedzony, zaczynają się dziać dziwaczne rzeczy. Tematem pracy jest obraz Salvadora Dalíego „Gala desnuda mirando el mar que a 18 metros aparece el presidente Lincoln” (Gala podziwiającą morze, w odległości 18 metrów zmieniającą się w Lincolna).



Wesele rozkręciło się już na dobre. Podpici goście powoli przestali zwracać uwagę na dwie wielkie istoty z kosmosu, przemykające zwinnie między stołami. To był doskonały czas na najważniejsze wydarzenie wieczoru — tort. Gigantyczna góra lukru wjechała na środek sali, w akompaniamencie fajerwerków i gradu brokatowego konfetti. Malowany złotem lukier, pokryty brokatem, mienił się w świetle świec, półprzezroczyste żelki rozpraszały tę-

czowo światło, a w perłowych szlaczkach można się było przejrzeć. Było to wszystko na tyle mocno przesadzone, że jedna z rakiet wpadła do tortu i wysadziła w powietrze ostatnie, dziesiąte, piętro. Malutki pan i panna młoda, rozerwani, polecili w cztery strony świata. Nie żeby ktoś to zauważył, ludzie byli zajęci traktowaniem się aby dorwać jak najwięcej przepysznego deseru. Po kilku chwilach została już tylko wylizana patera. To musiał być bardzo dobry tort.

Do czerwonego kosmity mało osób się zbliżało, z wyjątkiem panny młodej i jej siostry.

— Ty musisz być jednym z tych sławnych potworów, tyle nam o was opowiadali, to zaszczyt was spotkać — siostra panny młodej zagadała do Pyrroqua. — Jestem Magda, a to mój mały synek. Tymek.

— Miło mi poznać rodzinę Anastazji. Jestem... — Pyrroq wydał z siebie niezidentyfikowany głos, przypominający dźwięk eksplodującej planety. Potem wyszczerzył ostre ząbki i wyciągnął pazurzystą łapę, z której wysunęły się trzy macki, chcące uścisnąć rękę Magdzie. Odruchowo cofnęła wyciągniętą prawicę.

Mojmira stojąca obok, wtrąciła się.

— Pyrroq, nazywamy go Pyrroq. Musisz mu wybaczyć, ma bardzo trudny i wredny charakter, ale spokojnie, nie jest groźny. Pyrroq, przestań, proszę, być sobą, zachowuj się po ludzku, nie rób mi wstydu. — Uśmiechnęła się. — Wybacz za to, ja jestem Mojmira, przyjechałam tu z tymi dwoma potworami, pilnuję ich, żeby nie zrobili niczego głupiego, jak teraz. A ten drugi, zielony, co tak się trzyma z boku, to Chronos.

— Więc ty także jesteś spoza Ziemi? Mieszkasz z nimi na jakiejś planecie? — Magda zapytała. — Nie przewidywałam, że kosmici będą tak podobni do ludzi.

— Dobrze przewidywałam. — Mojmira się zaśmiała. — Ja się urodziłam na Turandii, tej wysepce na Atlantyku. Jestem w stu procentach człowiekiem i Ziemianinem. — Zauważyła, że Magda wyraźnie się rozluźniła. — W kosmosie wcale nie ma tak wielu myślących istot, jak to mówią filmy. Najbliższe nam, pozaziemskie życie, jest bardzo daleko, poza naszą gromadą galaktyk. A i tak, to jakieś niedorobione szczeniopodobne cosie, głupsze od naszych ziemskich szcurek. Jednak niestety, żadne istoty nie są zielonymi ludzikami z wielkimi oczyma.

— Więc moja siostra, Anastazja, was zaprosiła. Od jak dawna znacie się z panną młodą? Jak to się stało, że poznała tak ekscentryczne osobistości? Musi to być bardzo nietypowa znajomość.

— Bardzo standardowo. Uratowaliśmy jej życie z płonącego pociągu, jak wielu innym osobom. Ci „obrońcy”, jak sami siebie nazywają, we własnym języku, są dostatecznie rozwinięci technologicznie i kulturowo, aby móc bez-

problemowo podróżować po wszystkich galaktykach. No i zdarzyło się, że byli tu na Ziemi i akurat uratowali twojej siostrze życie. A że wtedy i ja byłam z nimi, to panna młoda, wzięła sobie za życiowy cel mi się jakoś odwdziaczyć. I tak oto zaprosiła mnie, Pyrroqua i Chronosa na swoje wesele, nie zważając na nic, straszac, przy okazji, większość gości.

— Więc to wy ją uratowaliście? Nic mi nie mówiła.

— Oficjalna wersja to chyba wybuch pobliskiego wodociągu, który zgasił pożar. Znaczący, wodociąg rzeczywiście zgasił pożar, ale nie sam z siebie. — Mojmira westchnęła. — Wiesz, co by się działo, gdyby tak po prostu wszystkim, nagle objawić prawdę. Cześć, jesteśmy potężną, ludzko-potworową, organizacją kosmitów, będziemy wam zwalczać zło.

— To pewnie dlatego Anastazja powiedziała gościom, że zaprosi dwóch klaunów w kostiumach. Ciężka dola superbohaterów. Ale nadal wam trochę zazdroszczę.

— Jestem taką samą superbohaterką, jak ty. Właściwie, to w moim przypadku, sama przyszedłam do potworów, a nie oni do mnie. Odkryłam, że Turandia, to sztuczna wyspa, osiedlili tam garstkę ludzi w 1818 roku, stylizując to na katastrofę statku. Celem miało być stworzenie szczęśliwej cywilizacji od nowa. Moja wścibskość, doprowadziła mnie do prawdy i nawiązałam z nimi kontakt. Wyszło na to, że ten eksperyment dawno był zapomniany i od lat nikt się nim nie interesował! Ale zamiast wyczyścić mi mózg, pogratulowali, i pozwolili dołączyć. Okazało się, że w swoim świecie prowadzą całą akademię ludzi. Zrzeszają wiele osób, podobnych do mnie, bo po prostu chcieli mieć pomoc i podzielić się potęgą. Dali nam technologię i kazali razem ratować światy. Czasami wolałabym nadal siedzieć z rodzicami w chatce, na Turandii.

Mały Tymek podszedł do Pyrroqua. Miał małe, niebieskie oczka, blond włosy i słodki garniturek. Buzia umazana tortem. W ręku trzymał wymięty rysunek Pyrroqua.

— Jesteś smokiem? — zapytał — weźmiesz mnie do na lot do smoczego królestwa?

— Pewnie. — Pyrroq odwrócił się i nachylił. — Wskakuj.

Tymek spróbował wejść po jego kolecach na grzbiet, ale jak tylko złapał się półkolistego noża, zaraz przeciął sobie rączkę. Krew i łzy pociekły na podłogę, a płacz poszedł w nocne niebo.

— Co ty zrobiłeś mojemu dziecku! — Magda dopadła potwora, żeby okładać go torebką, ale zaraz się cofnęła ze strachu i złapała płaczącego synka.

— Ja? Nic. To twoja wina, że masz głupie dziecko, które nazywa potwora smokiem i łapie się jego ostrych koleców. I jeszcze traktuje mnie, jak jakiegoś konia, może specjalnie siodło mam założyć?

Mojmira złapała krwawiącą rączkę Tymka, wyciągnęła kamienną buteleczkę i psiknęła kilka razy na ranę, która zaraz zniknęła.

— Uwierz mi, ale on nie jest aż taki zły, na jakiego wygląda. Jest tylko wredny. Nie zabiłby twojego dziecka, przysięgam. — Mojmira uspokajała Magdę i Tymka. — Wiedział, że mam trochę antyczasu i zaraz ulecę Tymka i nic się nie stanie, jak zatnie się o kolce.

Magda jednak już zapomniała, o cierpieniu swojego dziecka, i utkwiała wzrok w magicznie leczącej rany, kamiennej buteleczce.

— Co to za magia? Gdzie można to kupić? Tymek potrzebowałby tego codziennie, to przebojowe dziecko, a ja wydaję fortunę na plastry. Co tam, każdy tego potrzebowałby, będziecie to sprzedawać? Sprzedawajcie.

— Tego nie można kupić, to trzeba wytworzyć. — Mojmira zaczęła tłumaczyć. — To jest antyczas. Środek, który, gdy się go dotknie, odwraca upływ czasu. Tak naprawdę, to nie uleczyłam rany Tymka, a cofnęłam jego dłoń o kilka minut wstecz. Spokojnie, to bardzo małe stężenie. Powstaje poprzez dodanie jakiejś antymaterii, do dodatniego płynnego czasu, który z kolei postarza przedmioty przy kontakcie. Jest w kamiennej buteleczce, właśnie dlatego, że kamień jest stary i długo może być odmładzany, a szklana butelka, zaraz zamieniłaby się w piasek. A pewnie zapytasz, jak powstaje ten dodatni, płynny czas? — Odwróciła się do Chronosa, który zabawiał jakichś gości, staniem na ogonie. — Każdy z potworów ma jakąś moc, Pyrroq potrafi wytworzyć bomby i zdalnie je eksplodować, a Chronos... cóż. Teoretycznie potrafi sterować czasem. — Nachyliła się nad ucho Magdy. — A w praktyce jest tak przerażony używaniem swojej mocy, że nigdy tego nie robi. Tyle się nasłyszał o paradoksach, rozerwaniach czasoprzestrzeni, czarnych dziurach, że jest sparaliżowany tym kompletnie. Teoretycznie więc, najsilniejszy ze wszystkich, w praktyce, najslabszy. Używa jedynie standardowych mocy: lasera i pola siłowego. Ale jak się go przymusi, żeby jakoś spróbował sterować cykaniem zegara, to po nieudanych próbach, zostaje taka zielona substancja, płynny czas.

— Czyli to jest taka jakby jego krew? Krew potwora?

— Potwory nie mają krwi, ani mózgu, ani żadnych organów wewnętrznych. To taka żywa materia. Bardziej to jako pot. Pot potwora. Co się wykrzywasz, chciałaś wiedzieć, to wyjaśniam. — Zwróciła się do Tymka. — A Chronos też potrafi latać, jak nadal chcesz, to z chęcią zabierze cię, do królestwa smoków. I specjalnie założy siodło.

— Zielony smok, to nie smok, ja chcę czerwoneeeeegoooo.



Sala bankietowa nie miała dachu, ciepła noc, i lekki wiaterek, orzeźwiały gości. Chmury zaczęły się przeredzać i niedługo miał wyjść księżyc. Moj-

mira, po spróbowaniu wszystkich dań zaczęła żałować, że nie dopchała się do tortu, ale pocieszała się tym, że na pewno nie był lepszy, niż niektóre kosmiczne przysmaki, jakie miała okazję skosztować, na swoich misjach. Wtedy też zauważyła, jak ludzie zaczynają się dziwnie rozglądać na boki. Podszedł do niej Chronos.

— Mojmira, czy to normalne u ludzi? Widzę, że wielu na sali, nabrało jakichś niespokojności. Co się z wami dzieje? Co to za anormalność? Wy tłumacz.

— Spokojnie, w sumie. Na pewno nic groźnego. Ja nie czuję nic dziwnego. A czy ty coś czujesz?

— Wszystko czuję. Patrz, połowa ludzi nie umie poprawnie tańczyć, przecież dla ludzi tańcowalność, jest wbudowana w mózg. To pewno owoce klonu, sprawdź, czy nie są roślinami, podszywającymi się za ludzi...

— Skończ.

— Księżyc wychodzi zza niebobrudów, w telepogodoprzepowiadarce było to przepowiedziane dopiero na za dwie godziny, czy to dlatego że, za horyzontem szaleje jakieś burzodziwactwo, modyfikujące pogodę? Musimy to zweryfikować.

— Proszę.

— Albo celowo źle nam oznajmili pogodę, pewnie mają w tym jakąś mordochęć. Lecimy to potwierdzić.

— Przestań.

— Racja. Za dużo teorii spiskowych. Pewnie po prostu ludziopaliwo jest zatrute. Nie dotykałaś, mam nadzieję, niczego co leży na stołach? Ani nie wąchałaś? Ani nawet nie podchodziłaś do nich? W rakiecie mamy sporo bezpiecznych ludzko-gębowkładów, specjalnie aby nie jeść niezweryfikowanego.

— Dość.

— No więc dlaczego posiadasz brak wiedzy, na temat tego co się tu aktualnie dzieje? Agent ALOPP musi być zawsze czujny, niespodziankośmierć czyha wszędzie. Może ktoś wypuścił coś do powietrza?

— Jedzenie nie jest zatrute. Zjadłam po trochu wszystkiego, co tu leży i nic mi nie jest.

— To koniec. Trujomateria o zwolnionym zapłonie, to ostatnia godzina twojej egzystencji, zaraz skrócę ci męki, nadstaw tętnicę.

— Chronos! Koniec! Czemu ze wszystkich potworów akurat wy dwaj, musieliście ją uratować? Nie mogę was znieść. Nic poważnego się nie dzieje. Jeden panikuje, drugi kroi dzieci. Ludzie są niespokojni, tak, ale przecież jedli to samo, co ja poza... — Mojmira odwróciła się w kierunku środka sali — tortem.

— Zatruty tort, klasyczne.

— Nie śmiej się, to poważne. To mogłoby się zdarzyć, na sali jest wiele ważnych osobistości. Doskonałe miejsce na zamach.

— A dlaczego dowiadujemy się tego godzinę po tym, jak ów tort zniknął w jedzeniówkach ludzi, których masz za zadanie chronić? Słucham? Czemu od początku nie spacerujesz z omnimetrem, nie testujesz wszystkiego, pod kątem każdej śmiertelności?

— Nie spodziewałam się, zaprosili nas jako gości, uznałam, że wszystkiego pilnują. Poza tym, ten tort tak szybko zniknął, nawet nie było się jak mu przyjrzeć. I hej, jestem od niedawna w ALOPP, jeszcze nie mam doświadczenia.

— Musimy ewakuować ludzi, brudny tortopodpieracz nadal emanuje śmiercią. To pewnie trucizna lotna.

— To się nazywa patera. Naucz się polskiego. Torty podaje się na paterach! Bycie kulturalnym człowiekiem, polega na rozróżnianiu wszys...

— Patera, ciastobaza, nóżkotalerz, podcukrogrzybek, deserotrzymadło. Co za różnica. Nie znam się na sztucologii, potwory nie używają paterów.

— Paterek.

— Idź już.

Mojmira wyciągnęła omnimetr i jeździła nim po resztkach ciasta, ale nie wykrył on żadnej trucizny, poza nieprawdopodobną ilością cukru. Jednak to, nie uspokoiło wcale Chronosa. I Pyrroq się zaciekał.

— Uniwersalność. Sprawdzaj zawsze uniwersalność. O ile trucizny są tylko na ludzi, to uniwersalność jest łatwobijaczem, dla całej Ziemi.

Wyciągnęła miernik uniwersalności i wypuściła zaraz z ręki, gdy wskazał wartości spoza skali.

— Uniwersalność, więc tak zginiemy. Zawsze to podejrzewałam. To konieczne. Nie. To gorzej. Nieprawidłowomateria, spoza naszego świata, jest obok nas, i w ludziach wokół. Sztuczny wytwór, łamiący dowolne prawa fizyki, znowu trafił na Ludziokulę. Cokolwiek może się zdarzyć, wyrosną wszystkim dodatkowe kończyny, a potem te kończyny, zmieniają się w koniczyny, rzucają się na nas i przywołują armię nożyczek, która wytnie wszystkie okoliczne drogopokazywacze w śnieżynki. A te z kolei zaczną się obracać, jak dyskopiły, i założą swój własny biznes tartaków, zniszczy on gospodarkę kraju i zmusi ludzi do rzucenia się z głodu w ocean, ale nie będą mogli wodoodetchnąć, gdyż podmorskie lawapluje, zasilane wiatrem z krów, które zjadły za dużo koniczyny, podniosą dno morskie i...

— Czy możesz wreszcie przestać?

— Przestać? Ale przecież tak właśnie działa uniwersalność. Magia, dowolnobyty, nieposkromienie, łamanie praw fizyki. Wszystko. Wszystko. Wszystko.

— Chronos ten jeden raz ma rację, Mojmiro. — Pyrroq był podejrzenie spokojny. — Uniwersalność nie ma granic. Żadnych. Już pomnę że, sam zjadłem całkiem sporo tego tortu. Cóż, nie sądziłem, że tak zginę. Ale uniwersalność to nawet zabawna śmierć, nie boję się. A jak i tak wszyscy zginą, to może, ach może, w końcu będę mógł bezkarnie mordować!

— Co oczoląpisz? Powiedz! — Chronos potrząsał Pyrrokiem.

— Sam nie wiem, wydawało mi się, jakby ludziom rozpraszało się lekko ubranie. A jak chciałem podejść, to wszystko wracało do normy. Panna młoda miała dłuższą suknię, tamten gość był jakiś większy, a ten dostał wi-siorek na szyi. To się działo przez chwilę, a potem zniknęło. Lepiej sprawdź, tym miernikiem, co było źródłem. Może ktoś, czegoś, w kuchni dosypał? Celowo, albo i nie.

Mojmira machała miernikiem na wszystkie strony. W kuchni nie było niczego groźnego. Był jednak cienki szlaczek na podłodze, który szedł do leżącego pod stołem, małego kamyczka.

— Och. Czy to możliwe? — Pyrroq się zastanowił. — Pamiętacie, jak do tortu, wpadła rakieta? To nie była rakieta, tylko meteoryt. Ten właśnie kamyczek, znalazłem go w swoim kawałku... znaczy piętrze i wyrzuciłem w cholerę.

— Dotykałeś uniwersalności! Nie zbliżaj się! — Chronos schował się za Mojmirę.

— Chodźmy na zewnątrz. — Mojmira rozejrzała się po ludziach, którzy przyglądali się, zwabieni rykami Chronosa. — Dlaczego nie powiedziałaś? To nietypowe, meteoryty nie wpadają na Ziemi do tortów, jak muchy do zup.

— Nie? Myślałem, że jak latają po kosmosie, to trafiają w planety i nie zawsze się palą w atmosferze. Mogą wtedy wpadać w różne, dziwne miejsca. I że to się zdarza cały czas.

— To się zdarza bardzo rzadko, a ich prędkość rozwalilaby cały tort, razem z paterą, stolikiem i kawałkiem podłogi. Ale to uniwersalność i nie musi słuchać się fizyki.

Mojmira ukradła szcypce z sałatki i podniosła nimi meteoryt. Wyglądał, jak całkowicie normalny kamyczek, z tym że stawiał dziwny opór w trakcie ruchów. Trzeba będzie go dokładnie zbadać i wymyślić sposób na neutralizację.



Byli akurat na zewnątrz, nad stawem, i obgadywali plan działania. Pyrroq formował płaskie bomby, a potem puszczał nimi kaczki, pomagając sobie mocą zdalnej manipulacji. Na końcu eksplodował je pod wodą, w majestacyjnych wybuchach.

Wtedy zza chmur wyszedł księżyc, w całej okazałości, razem z gwiazdami. Zbiegło się to z krzykami ludzi na weselu. Uniwersalność reagująca na światło serokuli? Chronos miał obawy. Lecz Mojmira stwierdziła, że równie dobrze może być to zależne od fal grawitacyjnych, powstałych przy zderzeniu się jakichś czarnych dziur, akurat będących w pewnej odległości lat świetlnych, równej liczbie ziarenek piasku w doniczce, z tulipanem, w jakimś domu, o adresie będącym liczbą pierwszą i na ulicy pamięci człowieka, który umarł w 1966 roku. Chronos pogratulował Mojmirze, że zaczyna rozumieć, na czym polega uniwersalność.

Szli szybko, z powrotem do drzwi, gdy wypadła z nich panna młoda, ścigana przez mały tłumek.

— Pokaż tę suknię, jest taka piękna.

— Muszę się przyjrzeć tym świecącym diamentom.

— Czy to białe złoto, oplecione platyną?

Aby uratować pannę młodą, Pyrroq zrobił to, w czym był najlepszy. Tupnął łapą, ryknął i wystraszył wszystkich z powrotem, aż jeden się przewrócił.

— Nie proszę, nie zjadaj mnie! Nie nadziewaj mojej głowy, na swoje kolce! Nie chcę dołączyć to twojej kolekcji! — krzyczał.

— O czym ty mówisz? Przecież on nie mógłby niczego bolcoprzebić na swoje ciało, bo ma półkoliste kolce— zdziwiony Chronos odpowiedział. — Zobacz, przecież nie ma żadnej kolekcji ludziomózgokulek.

— Czego? — Wystraszony gość wstawał. — Jak to nie ma tych głów! Jest wielki, brudny i śmierdzący. Pokryty zaschniętą krwią swoich ofiar. Ma wielkie szpikulce na całym ciele, na które powbijał głowy tych, których zjadł! Jeden, dwa, trzy... sześć wyschniętych czaszek, dziecięcych. I ten błysk śmierci w oku. Zabije mnie i całą moją rodzinę, w męczarniach.

— Chyba za dużo wypieś. Ja nie widzę w nim nic z tego, co opisujesz.

— Mojmira podeszła do niego, żeby pomóc mu wstać, ale sam się uwinął szybciej i uciekł. — Czy ta uniwersalność polega na tym że, ludzie widzą... Pyrroq! — Mojmira aż się przewróciła w tył, tak samo jak gość. — On miał rację, patrząc stąd, jesteś przerażający! I obrzydliwy.

— O co chodzi, ja nadal widzę go normalnego. — Chronos nie dowierzał.

— Czyli ma to związek z odległością?

Mojmira wstała i zaczęła powoli podchodzić do Pyrroqua, którego kolce z każdym krokiem stawały się coraz mniejsze. Zaschnięta krew znikła, a czaszki parowały. Będąc na wysokości Chronosa, widziała już dawnego potwora. Ale postanowiła iść dalej. Wtedy ponownie zaczął się zmieniać. Tym razem porósł futrem, półkoliste już kolce, zmieniły się z ostrych noży na pluszowe. W końcu go dotknęła. Nie był twardy i kanciasty, jak zwykle, a miękki i przytulaśny, a do tego ciepły, co było dziwne, gdyż potwory są zmiennocieplne. Ścisnęła go.

— Weź przestań. Nie jestem pluszakiem. — Pyrroq zaczął ją delikatnie odklejać od siebie. — Sama słyszałaś, jestem groźny i noszę czaszki zjedzonych dzieci na kołcach.

— Rzeczywiście, jesteś dziecięciskakiem. — Chronos także podszedł do niego. — Mojmira, nie wtulościskaj się do uniwersalności, na miłość Boską. To wygląda na jakąś zależność od odległości, z której aktualnie oczolapiemy. Ani ja, ani Mojmira, nie zjedliśmy tortu, ale nadal widzimy zmianę wyglądu Pyrroqua, który zeżarł cały tortosegment.

— To nie tylko wygląd, ja czuję rzeczywiste futro. I czułam także jego smród z daleka. A ty, Pyrroq, widziałeś jakąś zmianę w nas?

Pyrroq zaprzeczył. A potem spojrzał na przestraszoną pannę młodą, stojącą na małym półwyspie. W tej nienaturalnie uniwersalnej sukni, wyglądała absolutnie kosmicznie. W świetle księżyca, jej ubiór mienił się, prezentując wszystkie odcienie bieli. Tysiące diamentów, każdy dokładnie oszlifowany i wpleciony w jedwabne nici od jedwabników, karmionych jedynie kwiatami paproci. Na tle czarnej wody, wyglądała jak słowiańska bogini. Jak zakłęty łąbądź, albo tajemnicza zjawą. Jej welon, targany przez wiatr, niczym rosa na pajęczynie, zostawiał w powietrzu srebrny pył. Poświata sukni była tak jasna, że można było przy niej czytać. Odbicie w wodzie wręcz przestało się marszczyć, aby tylko nie skałać wyglądu postaci. Wokół latały świetliki i dopełniały wspaniałości.

Jednak Pyrroq, Chronos i Mojmira widzieli wystarczająco dużo skarbów wszechświata, żeby nie rzucać się bezmyślnie na białe złoto, oprawione platyną, jak robili to przed chwilą goście. Podobnie jak to było z Pyrrokiem, podchodzili do niej, a jej suknia gasła z każdym krokiem. Z bliska nie miała na sobie żadnej sukni, a jedynie proste ubranie. Całkowicie niepozorna, szara myszka.

— Czy ktoś mi wytłumaczy, co tutaj się do cholery dzieje? To wasza sprawka? — zapytała.

— Nic szczególnego, jedynie najgroźniejsza forma materii we wszechświecie, przez przypadek wpadła do weselociasta i zatrwała wszystkich gości, tak że widzą iluzjobyty — Chronos odpowiedział.

— Próbujemy ogarnąć, jak działa. Sytuacja jest poważna, ale jeszcze nikt nie umarł, więc mogło być gorzej. — Mojmira patrzyła to na szarą myszkę, to na krwawego mordercę w oddali. — Wiemy że, patrząc na osobę, która zjadła trochę tortu, widzi się trzy różne rzeczy. Pyrroq z daleka jest wściekłym mordercą, ze średniej odległości normalny, a z bliska słodkim kotkiem. Ty natomiast, z daleka nosisz nieprawdopodobną, diamentową suknię, ze średniej odległości, jesteś ubrana w twoją zwyczajną suknię ślubną, a z bliska, nosisz bardzo niepozorne ubranie. Coś musi łączyć te trzy rzeczy.

— Pyrroq, chodź tu i pomóż nam! — Chronos zawołał. — Nie stój tam

i nie sercozawalał ludzi.

— Mnie nie przeszkadza. Jest dobrze. — Patrzył na lustra zdobiące zewnętrzne sali i robił groźnie pozy. — Poradzicie sobie beze mnie. Na co wam bezużyteczny kociak. I zawołajcie kilku gości, niech się przestraszą.

— Byłam w sali bankietowej, gdy to się zaczęło, ludzie otrzymywali góry pieniędzy, kobiety, samochody. Ale zawsze, jak podchodziłam bliżej, to wszystko znikało. Zmieniało się w coś odwrotnego. Te osoby, które dobrze znałam, one z bliska zmieniały się w... siebie? Prawdziwych siebie. — Panna młoda wpatrywała się w swoje odbicie w wodzie. — Zawsze chciałam mieć niewyobrażalnie doskonałą suknię ślubną, ale w głębi duszy... chyba właśnie jestem takim nikim. Trzy odległości. To jacy chcemy być, to jakimi widzą nas inni i to jacy jesteśmy wewnątrz.

— Czy może być to aż tak proste? — Mojmira się zastanowiła. — Wiem, że Pyrroq chciałby być taki, taki obrzydliwy, budzić postrach. A jednocześnie jest aż za dobry wewnątrz i do końca nie skrzywdzi nikogo. A to całkiem logiczne, że chcąc mieć diamentową suknię, wewnątrz, wybac mi, wcale nie jesteś diamentowa. Uniwersalności pokazującej pragnienia i wygląd serc jeszcze nie spotkaliśmy.

— Wszystko to nieprawda. To, jacy chcemy być, nie ma znaczenia, bo i tak nigdy się to nie stanie. Nigdy nie będę mogła kupić takiej wymarzonej sukni i nosić gigantycznych diamentów, a przecież biedna nie jestem. Marzenia nie mogą przyćmić naszego aktualnego życia, gdyż nigdy nie marzymy o realistycznych rzeczach. Suknia, której nie da się wyprodukować, samochody, niespalające paliwa, doskonałe żony i dyplomy uczelni, bez przykładania się do nauki, ludzie o tym marzą, ludzie tego nie mogą dostać. — W odbiciu luster, jej suknia zaczęła marnieć i się rozpadać.

— Ale nie tym razem — Chronos odpowiedział — wszystko to, się dzieje naprawdę. Uniwersalność rządzi się własnymi prawami. Tutaj wszystko jest możliwe. Czujesz słodki zapach śmierci Pyrroqua? Zobacz, na trawie został jeszcze srebrny pył, z twojej wstążkoczapki. Zdejmiesz suknię, przejdiesz kawałek i nadal tam będzie. — Chronos zdjął polem siłowym czaszkę z kolca Pyrroqua i przyciągnął ją do siebie. — Dziewczynka, pięcioletnia, jeszcze żyła, gdy przebijano jej głowę. Możesz ją palcokontaktnąć, możesz jej doświadczyć, nie jest żadną iluzją. Poza tym. Czy nie dałoby się wyprodukować takiej sukni atomolącząc ją, w jakimś teleporterze? Albo podobnie, zmienić ci mózgoośmiornice w głowie, abyś zdobyła potrzebną wiedzę? To, co dziś wydaje się niemożliwe, często może być uzyskane w przyszłości. Zapewniam, że dawno temu ludzie, marzyli o niestworzonych rzeczach, całkowicie normalnych dzisiaj.

— No właśnie. Zawsze marzymy o rzeczach, dla nas aktualnie nieosiągalnych. A kiedy jednak jest okazja do spełnienia arcymarzenia, to okazuje

się jakąś sztuczną uniwersalnością. — Na te słowa panny młodej, Chronos wypuścił z rąk czaszkę, przypominając sobie swoją awersję do uniwersalności. — Suknia może i będzie mogła być ubrana, ale co dalej? Jeśli akurat się zdarzy, że nie będzie powodowała jakichś kłótliwych efektów, to co ze mną? Jeśli będę miała suknię, to będzie koniec. Największe marzenie spełnione, pora umierać. To właśnie dążenie do sukni, trzyma nas przy życiu. Spełnienie najwyższego marzenia, koniec drogi. Nacieszysz się nim dzień, a potem ono uświadomi cię, że nie masz już w życiu celu. Wesele nie może wiecznie trwać, nie ma nieskończonej ilości dróg, do jazdy supersamochodem, a dyplom nie służy do powieszenia na ścianie. — Odbicie w lustrze przedstawiało makabryczną pannę w sukni zjedzonej przez mole. Ale jej bliski wygląd wracał z szarej myszki do normalności.

— Ale jeśli nasze najwyższe marzenie, nie może być nigdy osiągnięte, to po co żyć? — Mojmira nie płakała.

— Po to, żeby zastępować je mniejszymi. To nas pociąga do działania, nie sam główny cel, ale pomniejsze. Nie można mieć diamentowej sukni, ale można mieć mniej magiczną. Można mieć bardzo ładną, normalną suknię. Taką, jak ta.

Diamentowa suknia w odbiciu, rozpadła się zupełnie, a ubranie myszki, ewoluowało do standardowej sukni, jaką panna młoda początkowo nosiła. Mojmira przyłożyła do panny miernik uniwersalności, który teraz wskazywał całkowite zero.



Już nikt nie krzychał. Ludzie stali w równej odległości od siebie, patrzyli w lustro i na siebie nawzajem, robiąc dziwne ruchy. Każdy podziwiał swoje odbicie. Panika się skończyła. Była jedynie martwa cisza.

Nikt nie zwrócił uwagi na pannę młodą, która była jedyną ruszającą po sali postacią. Chronos i Mojmira patrzyli z okna, jak jej idzie. Sunęła w swojej sukni przez surrealistyczne widoki nierealistycznych postaci, skąpanych w świetle księżyca. Wysunęła się zza sportowca, obwieszonego medalami z olimpiady ze wszystkich dziedzin, zwłaszcza tych które odbywały się jednocześnie. Przejechała ręką po karoserii termojądrowego samochodu sportowego, swojego wujka. Doszła do wielkiej góry mięśni, która była bardziej szersza, niż wyższa i kilkukrotnie większa od potwora. Wszyscy bohaterowie komiksów złączyli razem. Postanowiła jednak przejść przez środek. Mięśniak rozmywał się pod jej obecnością, w centrum zobaczyła chudego patyczaka, nie rozpoznała, który to był z gości. Jej stryj siedział na kupie papierów i coś pisał, wszystko to były badania medyczne i przepisy na lekarstwa, do leczenia każdej choroby. W oczy rzucił jej się dokument naprawiający uniwersalność,

dokument naprawiający samego siebie. W końcu jej siostra Magda, z bliska nie wyglądała niezwykle, ale panna wiedziała, jaka będzie z daleka. Odchodziła, a u stóp siostry wyrastała mównica. Magda pozdrawiała swoich wyborców. Widziała swojego ojca, jak obraca jej nowego męża na ruszcie nad ogniskiem. Sama czasami z chęcią by to zrobiła. Nagle z powietrza wyłonił się jej kuzyn. Niczym upiór z mgły. Ale gdy przeszła bliżej, zniknął ponownie. Depresja. Mały Tymek bawił się klockami i całkowicie nie zważał na to, co się dzieje wokół. W żaden sposób także nie zmieniał się pod wpływem odległości. W końcu doszła do końca sali. Pan młody spoglądał na lustro. Zobaczyła w nim samą siebie. Drugą siebie. Weszła w swoje odbicie, a jej mąż odwrócił się i uśmiechnął. Powiedział, że szukał jej wszędzie, aż zobaczył jej postać w lustrze i nie mógł oderwać wzroku. A może niektóre marzenia rzeczywiście mogą być prawdziwie spełnione? Trzy osoby i potwór, została jeszcze reszta gości i drugi potwór.

Anastazja miotła się po sali.

— Tego nie ma naprawdę, nie istnieje. Nigdy nie wygrasz całej olimpiady, to niemożliwe. A nawet jeśli byś wygrał. Jakim wrakiem człowieka się staniesz? Umrzesz rok później. — Medale odpadły i potoczyły się po podłodze. — Wujku, nigdy nie będziesz mieć samochodu na wodę, a nawet jeśli. Ile by ważył? Gdzie byś go bezpiecznie parkował? Kto by go naprawiał? Przecież nawet nie ma porządnej drogi z waszego domu do miasta. Gdzie byś nim pojechał, mając radioaktywny tokamak pod maską? Pewnie prosto do kostnicy, cięższy o całe mnóstwo dodatkowych neutronów, przewoziliby cię w pudle do radioaktywnych odpadów. — Wujek zamrugał, wyprostował się. Samochód zmienił się w jego własnego poloneza i zniknął. Już sześć dusz. — Siostrunio, wybacz. Ty akurat nigdy nie będziesz rządzić krajem. I nie dlatego, że nie będziesz umiała, a dlatego, że ludzie są za głupi, aby zaakceptować twoje odważne zmiany. Jak myślisz, jak zareagowaliby wyborcy na twój pomysł tego dziwnego, wspaniałego prawa, o którym mi ciągle tyle opowiadasz? — Mównica przewróciła się z łoskotem. Siedem. — Wasze marzenia nigdy się nie spełnią, tak jak tego oczekujecie. — Osiem. — Po spełnieniu ich i tak byście żalowali. — Dziewięć. — Nie da się, nie możesz, nie zrobisz. — Wszyscy. —

Mojmira i Chronos powoli podchodzili do Pyrroqua. Jego kolce zmniejszały się tak, jak wcześniej.

— Dlaczego uważasz, że nie jesteś dość groźny? — Mojmira zapytała.

— Bo ciągle słyszę, jak to mało spiczasty jestem. Małe dzieci wolą mieć na mnie przejażdżkę, niż uciekać z krzykiem. „Ha, ha, Pyrroq. Twoje kolce wyglądają, jak noże do pizzy”. Ile razy to słyszałem.

— I jak pizzotnarkami, jesteś w stanie nimi obracać i ciąć wszystko z chirurgiczną doskonałością — Chronos opowiadał. — A do tego jeździć, jak

na kółkobutach. Każdy z nas jest w czymś lepszy, a w czymś gorszy. A ja? — Westchnął. — Ciągłe mi dźwiękoprzekazują. „Jesteś najbardziej bezużytecznym potworem ze wszystkich”. „Jak można bać się używać własnej mocy”? „Co to znaczy, że nie umiesz cofnąć czasu i uratować mu życia”? „Szkodzisz nie tylko sobie samemu, ale nam wszystkim”. „Sam potrafię bardziej nagiąć czasoprzestrzeń magnetyzmem, niż ty dedykowaną zdolnością”. „Wstyd, wstyd”. „Prędzej wynajdziemy wehikuł czasu, niż ty sam nauczysz się używać własnej mocy”. Ile razy już to dźwiękoodbierałem.

— Widzisz? Obaj nie jesteście doskonali i nigdy nie będziecie dokładnie tacy, jacy chcecie. — Mojmira jeszcze bardziej się zbliżyła. Spiczaste kolce zniknęły zupełnie. — Ale czy to powód, żeby nie mieć w ogóle marzeń? Zapewniam cię, Pyrroq, że większość kosmitów trzęsie się na wasz widok ze strachu. I nie ma znaczenia wygląd, wasza zła sława niesie się wszędzie i działa znacznie potężniej, niż jakieś igły. Mniejsze marzenia, Tymek nadal czeka na swojego czerwonego smoka. — Mojmira ostatecznie ścisnęła Pyrroqua. Był zimny, twardy i kanciasty. Taki, jak zwykle.

Goście po tej przygodzie, na pewno nie chcieli kontynuować wesela. Wszyscy, z wyjątkiem najbliższej rodziny Anastazji, pakowali się do odjazdu. Ale czy wesele okazało się klapą? Ludzie powyciągali lekcje z tej przygody, co jest znacznie ważniejsze, niż dotańczenie tańca do końca.

Rozdział 6

Bankiet w Kuli

Wioska jest atakowana przez literackie demony. Tylko dzielny, acz niedoświadczony wojownik jest w stanie je pokonać, używając do tego swojego miecza kreatywności i worka z alternatywnym wszechświatem.

Gdy tylko czubek głowy Wielkiego Neofantasora wyłonił się zza gór, odpalono armaty załadowane gorącym atramentem. Katapulty wystrzeliły litery, a papierowe samoloty wzniosły się w powietrze. Wszystko na darmo, wielkolud ani drgnął.

Wojownicy z wioski, uzbrojeni w pióra i kałamarze, ruszyli do boju. Atakowali wroga, używając całego swojego doświadczenia. Opowiadania cyberpunkowe, fantasy i fantastyki naukowej cięły powietrze. Horror, wiersze i dzieła detektywistyczne rozbijały się o jego ciało. Jednak niewzruszony Neofantasor pozostawał niewzruszony. Stał przed wioską i wysypał z rękawa, niczym wytrzepując piasek z buta po całodniowym siedzeniu na plaży, dziesiątkę straszliwych demonów. Demony szybko i sprawnie rozprawiły się z całą obroną wioski, rzucając po jednej gwiazdce, w każdego z wojaków. Nikt z obrońców nie przeżył, wieś została bezbronna.

Ale jak to w baśniach zwykle bywa, znalazł się młody syn doktora — Antyrax. Trochę ułomny językowo i bez jakiegokolwiek doświadczenia, postanowił dzisiaj zginąć w walce. Nie miał, jak wszyscy, zbroi, pióra, czy zapasu atramentu. Posiadał jedynie szklany miecz, wypełniony płynną kreatywnością, dmuchawkę z serum śmiechu, lateksowe buty i worek z alternatywnym wszechświatem.

Najbliższa demonica, Obudzona, została z zaskoczenia kopnięta z lateksowego buta prosto w pupę, i nawet nie poczuła. Dopiero serum śmiechu, wstrzyknięte prosto w szyję, zwróciło jej uwagę. Wtedy Antyrax sięgnął do swojego worka i wyciągnął... rzecz. Obudzona popatrzyła na zagubionego wojownika, to na przedmiot, który trzymał, po znowu na wojownika. Zamru-

gała, nie rozpoznając zupełnie, co to jest i czy się tego bać. Ostatni pisarz też obracał w dłoni i oglądał rzecz ze wszystkich stron, ale i on nie wiedział, co właściwie właśnie wyciągnął. Wyrzucił za siebie i spróbował ponownie.

Po kilku minutach wyrzucania różnych, nieokreślonych obiektów z worka, spostrzegł że grupka demonów go otoczyła i z zaciekawieniem obserwuje jego zmagania z samym sobą. Nie umiał używać własnego wszechświata. Co za matoł. Postanowił więc wykonać swoją powinność w tradycyjny sposób, zamachnął się i wbił swój miecz w najbliższego demona, który odskoczył z bólu. Stare, sprawdzone metody zawsze działają. Nie długo cieszył się z sukcesu, zaraz wszystkie straszydła razem wzięły i dmuchnęły w niego strumieniem przecinków — jego największą słabością.

Pierwszy lecący znak interpunkcyjny ominął, podskakując na lateksowych butach, drugi skontrował mieczem, lecz tysiąc kolejnych odrzuciło go na kilkaset metrów w tył. Upadł obolały w błoto, po drugiej stronie wioski nad którą chyba właśnie przeleciał. Jakimś cudem nic sobie nie poламаł. Lecz to nie był koniec kontrataku, lecący błąd ortograficzny prawie rozciął go na pół, Antyrax zdążył odskoczyć, lecz puścił miecz, który pękł na drobne kawałeczki, zmiażdżony przez „Ó”. Kreatywność wsiąkła w błoto, tworząc nowe królestwo błotnych mrówko-androidów, zasilanych parą z wody basenowej.

Antyrax był teraz bezbronny, a bezbronnym człowiekiem żaden z demonów się już więcej nie interesował. Wstał i zobaczył, jak jego wioska właśnie jest równana z ziemią. Cień Wielkiego Neofantasora, wychylającego się zza góry, wyglądał jak dłoń dziecka, które zagarnia klocki z ziemi, aby je zaraz obsłinić i połknąć. Czy to był już koniec dla niego i dla wszystkiego co znał?

—Nie, to nie koniec —pomyślał, sięgając po worek. —Jestem pisarzem i to ja ustalam zakończenia.

Wtedy jego lateksowym butom wyrosły śmigła, wspomagane programem w C, i poniosły go prosto pod nos Obudzonej, zostawiając za sobą linuksowy ślad. Zaciekawiona demonica rozpoznała niedojdę, którego wcześniej zmiażdżyła. Antyrax nie miał już żadnej broni, tylko worek. Sięgnął do niego i długo nie wyciągał ręki.

— Mam coś specjalnie dla ciebie, Obudzono.



— Kolejny dzień w pracy, kolejny dzień robienia bezużytecznych czynności dla bezużytecznej korporacji w tym bezużytecznym świecie — pomyślałem.

Wziąłem komórkę i zacząłem przeglądać maile. Spam z reklamą talerzy, zaproszenie do znajomych na Facebooku, oczywiście od obcej osoby, powiadomienie o komentarzu na YouTube, powiadomienie o mailu na innej

skrzynce pocztowej, przypomnienie o opłacie za subskrypcję tej bezużytecznej gry komputerowej i tysiąc innych bezużyteczności. O, znowu rozpętałem gównoburzę na Mirko i zablokowali mi konto Twittera za niepoprawną politycznie myślozbrodnię. Bez użyteczność do kwadratu.

Z nadmiaru bezużyteczności zdrzemnąłem się w ubraniu na godzinę. Obudziło mnie głośnie gruchanie z okna. Czyżby jakaś użyteczność w końcu mnie spotkała? Na oknie siedział biały gołąbek, w dzióbku trzymał kopertę. Nie będąc pewnym, czy nadal nie śnię, odebrałem przesyłkę i przyjrzałem się kopercie. Gołąb zaraz zniknął, oddalając się bezszelestnie.

Koperta była z papieru czerpanego. Adresowana była elegancką kursywą do mnie, do Mateusza Mechalycznego, zamieszkałego na ulicy Szerokiej w Gdańsku. Województwo Pomorskie, Polska, Ziemia, Układ Słoneczny, Galaktyka Droga Mleczna, Gromada Lokalna, Czwarta Kwadra. Z tyłu widniała pieczęć z wosku pszczelego, wypukły obraz kuli i jakiś napis z niezrozumiałych znaków. Przecież był 2017 rok, kto dzisiaj jeszcze wysyła papierowe listy, zamiast maili? Zatem to był kawał. To musiał być kawał. Pytanie jeszcze, po co ktoś mi go wyciął?

Ostrożnie otworzyłem kopertę, trzymając ją obcęgami, spodziewając się że coś strasznego zaraz z niej na mnie wyskoczy. Nic takiego się jednak nie stało. Pisany odręcznie list był tym, co zwykle znajduje się w kopertach.

Szanowny Panie Mateuszu Meczalpczym.

Mam zaszczyt zaprosić Pana na uroczysty bankiet z okazji wyboru na jednego z przyszłych członków ALOPP. To wielki zaszczyt, móc gościć nowych agentów tej organizacji na pokładzie mojej ☺. Mam najskrytszą nadzieję, że zostanie Pan przyjęty i będzie mieć Pan we współpracy z ☺ udział w walce o wspólne dobro.

Zapraszam do siebie dnia 20 października, roku Pańskiego 2017. Myślę, że marina w Głównym Mieście Gdańska będzie doskonałym miejscem na lądowanie mojej kuli i tam się spotkajmy w lokalne południe. Po obiedzie wybierzemy się w podróż na Felicję, gdzie pozna Pan swoich przyszłych, mam nadzieję, członków przpbrancj rodziny.

Przypominam, że w ☺, oprócz najwyższej kultury osobistej, od zawsze obowiązywał rokokowy styl ubioru. Wszyscy goście powinni przypiąć najwyższą dbałość o szczegóły swojego wyglądu. Uprzejmie proszę także, aby nie posiadać na pokładzie żadnych urządzeń użytkujących elektryczność.

Ż Bogiem.

— Profesor ☺

Kilka dziwnych znaków zostało wtrąconych pomiędzy litery. Zaczynało się robić ciekawie. Autor tego dowcipu chciał, abym za trzy dni, w XVIII wiecznym stroju pałacowym, udał się w sam środek miasta w dniach szczytu, nie zabierając ze sobą żadnej elektroniki. Potem tajemniczo miałem przejść tajemniczy test na zostanie tajemniczym członkiem jakiejś tajemniczej organizacji. Trzeba dokładniej przestudiować ten tajemniczy list.

Szybkie szukanie Felicji w internecie wskazało jedną stronę o teoriach spiskowych. Felicja miała być planetką, stworzoną przez kosmitów, na której hodowano ludzi, aby przeprowadzać na nich straszliwe eksperymenty. Jeśli to prawda, może zabrakło im tam królików doświadczalnych i porywają kolejne ofiary? Ale wtedy przecież nie dawali by mi wolnej ręki do odmowy.

Na tej samej stronie podano: ALOPP jest pozaziemską organizacją terrorystyczną, zrzeszającą ludzi w celu mordowania mieszkańców własnej planety. Ale od czego był to skrót, to nikt nie wiedział.

„Czwarta Kwadra” dawała za dużo losowych wyników, aby wywnioskować z nich, o co mogło Profesorowi chodzić.

Lokalne południe w Gdańsku, czyli dwunasta godzina czasu słonecznego, uwzględniając jeszcze czas letni, to trochę przed trzynastą czasu strefowego. Przyjdę o 12:00, najwyżej trochę poczekam.

Wikipedia natomiast wskazała, że gołębie pocztowe w żadnym wypadku nie mogłyby doręczyć listu bezpośrednio do odbiorcy. Ich mechanika polega na wracaniu do macierzystego gołębnika, z dowolnego miejsca na świecie, i tylko tyle. Listów z pewnością nie wsadzano im do dzióbka, a przywiązywało się je do nóżek. Rozejrzałem się po pokoju, czy przypadkiem nie miałem w nim gołębnika, aby hodować gołębie pocztowe, ale nie. Moja teoria o dowcipie zaczęła się lekko sypać.

Kilka razy, w różnych częściach świata, widziano w tym samym momencie kuliste UFO i ludzi w strojach rodem z Wersalu. Podobno zdjęcie zrobione kuli nigdy nie wychodziło poprawnie, a większość ludzi magicznie zapomniała o zdarzeniu chwilę po odlocie tajemniczej struktury. Nieliczni pamiętali i rozpowiadali to dziwo, ale nikt im oczywiście później nie wierzył. Kulę widywano w różnych miejscach, nie ograniczała się, jak na filmach, tylko do USA, przelatywała przez centra miast, pływała pod wodą, cumowała do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, straszyla samoloty, ślizgała się po biegunowych lodach i toczyła bitwy z wojskami wszystkich krajów świata.

Następnego dnia zabrałem list do znajomego chemika. Potwierdził on moje obawy, list wykonany był oryginalną techniką sprzed kilkuset lat. Skład chemiczny papieru i atramentu, odpowiadał tym, używanym dawno temu. W dodatku narzędzie pisanie z pewnością było ptasim piórem. Na myśl o bezużyteczności otaczającego mnie świata, postanowiłem pojutrze zrobić coś użytecznego.



Pod naporem nietypowości i kreatywności dzieła, Obudzona zaczęła krzyczeć, zwijać się w konwulsjach i palić czarnym ogniem. Zmieniła się w mały księżyc i poleciała, jak frisbee, z powrotem w kierunku Wielkiego Neofantadora.

Triumf Antyraxa nie trwał długo, za chwilę, od tyłu, złapała go Dederid. Jej czarna ręka owinęła się wokół delikatnego światostwórcy, jak czarny worek na zwłoki. Poczęła go zacieśniać, niczym lekarz mierzący ciśnienie. Zaraz wycisnie naszego bohatera, jak tubkę pasty do zębów. Wywijając się rybio, Antyrax zanurkował do worka i długo nie wychodził. Demonica przez godziny nachylała się nad otworem, aby capnąć go jak tylko wystawi głowę. Gdy tylko coś się wysunęło, porwała to z ochotą. Była to jednak kolejna opowieść, zabójczo eksperymentalna, niesamowicie abstrakcyjna. Nietypowość poparzyła jej łapska.



Mateusz wypożyczył wymaganą górę z wypożyczalni kostiumów. Zastanawiał się, czy nie podkraść jakiegoś szustokora z muzeum, ale to chyba nie było by zbyt poprawne zachowanie. Bał się, czy mierna jakość kaftana, spowodowana nieoryginalnością, nie będzie zwracać nadmiernej uwagi w świecie najprawdziwszych atlasowych pasów i perłowych guzików. Postanowił kupić więc kilka ozdób ze sztucznej biżuterii, które wyglądały dość kosztownie, a stworzone były z byle-czego, i doszyć w losowych miejscach. Miał nadzieję, że Profesor i inni goście nie zauważą różnicy.

Z pończochami nie było żadnego problemu, znalazł je w damskim sklepie. Tak samo coś, co można było podciągnąć pod starodawną koszulę. Musiała być flanelowa z wystającymi rękawami. Ogarnął także puder.

Peruka, cóż. Przynajmniej znalazł za szafą trójkątną czapkę piracką po poprzednich lokatorach. Najgorzej, że zazwyczaj chodził na łyso, gdyż rodzice nie obdarzyli go mocnymi włosami. Potrzebował więc na szybko przykleić coś sobie na łeb. Liczył w głowie, ile lat może dostać za kradzież peruki sędziemu, gdy spostrzegł wyprzedaż starych futer. Używając magii nożyczek, kleju i starego mopa, wygenerował coś, co po przykryciu trójkątną piracką czapką wyglądało dość znośnie.

U zegarmistrza kupił za grosze kopertę zegarka, pustą w środku, z brakującymi wskazówkami, całość zaczepioną na łańcuszku. Zegarek nie musiał działać, ważne aby był.

O dziwo, to buty przysporzyły mu najwięcej problemu. Niby lakierki z klamrą nie są niczym bardzo skomplikowanym, a jednak nikt ich nie produkuje. Może właśnie dlatego, że były modne trzysta lat temu? Wpadł na pomysł, aby kupić coś podobnego i przerobić. Znalazł buty dla zakładów pogrzebowych, gdyż tylko te odpowiednio się błyszczały, i przyszył im klamry od spodni. Z daleka nie było widać różnicy.

W domu ubrał się i przejrzał w lustrze. Połączenie Napoleona, Ludwika XIV i informatyka z Gdańska. Muszą zrozumieć.

O jedenastej godzinie, owego wielkiego dnia, wdział pełny strój. Nie mógł się przecież tak pokazać w mieście. Pończochy zatem przykrył spodniami dresowymi. Na elegancki szustokor nałożył nieco za dużą bluzę z kapturem. Lustrzane lakierki przykrył jakimiś szmatami, żeby nie zwracały zbytnej uwagi. Tylko pseudo-perukę schował do plecaka.

To nie mogło pójść tak łatwo. Z daleka zobaczył kordon policji i wojska, stojący w Zielonej Bramie, blokował wstęp każdemu wychodzącemu z Długiego Targu. Ucieszył się i kamień spadł mu z serca. Oznaczało to, że jednak nie padł ofiarą żartu. Znalazł w końcu promyk użyteczności w ocenie bezużyteczności. Każda normalna osoba, wiedząc że wielka latająca kula-zapominajka wylądowała w centrum miasta, ewakuował by się z niego jak najdalej. Mateusz jednak nie był normalny, i może dlatego właśnie został

zaproszony na najbardziej nienormalną ucztę w świecie.

Do mariny spróbował dostać się okreżną drogą, przebiegł przez Krowi Most na Wyspę Spichrzów. Klucząc uliczkami zbliżył się do portu, jednak tutaj też była blokada. Widział w każdym bądź razie kawałek wody w basenie jachtowym, nietypowe fale odbijały się od brzegów, coś się tam jednak działo. Popatrzył smutno w kanał i pomyślał, że chyba zostanie mu wskoczyć do wody i popłynąć wpław, pod mostem omijając strażników. Ale przecież pewnie nie zostałby wpuszczony mokry do rakiety. No i co z pudrem, który już sobie wcześniej pieczołowicie nałożył? Głupi. Podziurawią go zaraz jak ser, gdy tylko zobaczą kogoś płynącego kanałem wpław. To był koniec.

Szustokor był bardzo gruby, rozpiął więc bluzę żeby się nie ugotować, teraz wszystko było mu jedno, czy ktoś go zauważy. Był tak blisko, a jednocześnie tak daleko. Wszystko miało prysnąć, jak bańka. Czuł się jak rybka w siatce, wrzucona do oceanu. Zaraz będzie widział swoją życiową porażkę, jak na dłoni. Co robić? Co robić?

Wybawienie przyszło nieoczekiwanie. Oto bowiem mama z małą dziewczynką podpłynęły do niego skuterm wodnym, oferując szybką podwózkę. Myśląc, że to pomyłka, zdjął bluzę, pokazując swój strój w połowie okazałości. Kobieta jednak nie uciekła, nie przestraszyła się dziwaka, tylko się uśmiechnęła.

— Chyba się teraz nie poddasz? — zapytała.

— Skąd... kim...

— Kula miał wielu gości. — Położyła rękę na piersi. — Jak tylko zobaczyłam, że wrócił do miasta, wiedziałam. Ktoś będzie potrzebować pomocy.

— Ja... — Mateusz milczał przez chwilę. — ha, ha. Prawie się nabrałem. To niezwykle, jak wynajęliście żołnierzy, żeby zastawili miasto specjalnie dla mnie?

Tajemnicza osoba przewróciła oczyma, zdjęła swoją córkę na chodnik i zeskoczyła, wrzuciła klucze od skutera głównemu bohaterowi do kieszeni szustokora i poszła, nie odzywając się więcej, trzymając dziecko za rękę.

Mateusz w rokokowym stroju wersalskim zasował na skuterze wodnym kanałem Nowej Motławy, ozdoby szustokora mieniły się w pełnym słońcu tak samo, jak latające wokół niego krople wody i stalowe kule, wystrzelone z mostu przez żołnierzy zabezpieczających lądowanie wielkiej białej kuli w centrum miasta. Schował się na chwilę pod mostem, jak zagoniony przez wilki królik w norze, a gdy wypłynął z drugiej strony, wtedy ją zobaczył.

Była wielka, jak budynek, wypolerowana, biała i doskonale kulista. Dołem dotykała lekko powierzchni wody, tworząc promieniste fale. Odbijała w sobie cały Gdańsk. Mateusz zobaczył w niej malutkiego siebie na łódeczce-zabawce, malutkie budynki, żołnierzyków, spichrze, basenik, niebo, helikopter jak muchę i blask pełnego słońca. Już nikt nie strzelał, już tylko wszyscy

patrzyli. I bali się. On się nie bał. Przyszedł tu na bankiet. Przyszedł we francuskim stroju. Przyszedł tu, bo został zaproszony.

Zszedł ze skutera na pomost i poprawił perukę, wtedy też włąz w dolnej części zaczął się otwierać. Tak jak się spodziewał, był to dźwięk szczęku łańcuchów, a nie elektrycznego silnika. Ze środka powiał zapach kurzu, wosku i lekkiej stęchlizny. U dołu rozwinął się elegancki, czerwony dywan. W przejściu stanął On. Nosił strój wspanialszy, niż Mateusz mógł sobie kiedykolwiek wyobrazić, tak inny od jego własnego, a przecież z tego samego okresu historycznego. Przy jego ozdobach, sztuczna biżuteria Mateusza rzeczywiście wyglądała na sztuczną. Jego najprawdziwsza peruka przyćmiła wielkością cały futrzany twór z głowy gościa. Lakierki błyszczały się tak samo, jak jego statek kosmiczny z którego wyszedł. W rękę trzymał laskę z białą kulką, pomniejszoną wersją tego, co znajdowało się tuż za nim.

— Jestem Profesor Kula. Miło mi pana gościć na moim statku.



Antyrax wyszedł z worka, gdy z Dedirid została już tylko kupka popiołu. Jeszcze ośmiu. Tym razem demony nie bardzo chciały go atakować. Antyrax więc wskazał jednego z nich palcem, niczym sędzieja nowoskazanego na śmierć. Lenna. Pora na mikropomysły. Sięgnął do worka i od razu złapał to, czego szukał.



— Waćpan Mateusz Mechalczny, jak mniemam — powitałem gościa. — Waćpan Mateusz Mechalczny niepewnie, acz żwawo podszedł, uklonił się, i schował za framugą wjazdu, znikając przed przeszywającym wzrokiem miasta.

— Proszę wybaczyć mi mój ubiór i maniery, Panie Profesorze Kula. — Uklonił się ponownie, prawie do ziemi. — Musiałem przedrzeć się przez kordon wojska i ominąć grad pocisków, aby przybyć do pańskiego statku.

— Nazywam się Kula, mości Mateuszu Mechalczny, nie Kula — poprawiłem, zamykając korbą wjazd. — A ta kula nazywa się Kula. I nie jest jakimś statkiem kosmicznym, a Kulą.

— Kula... — niepewnie odpowiedział.

— Nie Kula, Kula. Moje nazwisko, nazwa tego miejsca, typ urządzenia, i bryła geometryczna. Kula, Kula, Kula i kula. To trzy różne słowa, zupełnie inaczej wymawiane. Zupełnie inaczej zapisywane.

Mateusz Mechalczny podrapał się po głowie, ścierając puder.

— Ignoruj go, on mówi i słyszy na częstotliwościach poza zakresem naszych uszu. — Katarzyna Kosmata zjechała po faliściej poręczy schodów i przysunęła do nas, nawet się nie witając. — Jestem Kasia, cześć.

— Droga Katarzyno Kosmata! — skarciłem ją. — Maniery! Niech panna nie prezentuje złego przykładu naszemu gościowi. Panie Mateuszu, mam zaszczyt przedstawić panu...

Gość jednak utopił wzrok w olbrzymiej sukni Katarzyny, nachalnie gapiąc się na każdy jej detal. A już się radowałem, że chociaż on będzie potrafił tu zachować maniery. Nadaremnie. Najgorsze w tej sytuacji było to, że ona sama wręcz go do tego zachęcała. Zamiast się przedstawić, zaczęła tłumaczyć skąd i jaka część ubioru pochodzi.

Najpierw zawiesił oczy na jej biuście, wodząc źrenicami to w lewo to w prawo. Najprawdopodobniej podziwiał plecionkę z anielskich włosów, którą obszyta była góra. Anielskie włosy są całkowicie przezroczyste, gdy odpadną od właściciela, więc aby stworzyć ten element ubioru, trzeba było prawdopodobnie zbierać je z niebiańskich podłóg w całym raj.

— Trafiłam przez to na dywanik anielskiego ministra poprawnego zachowania, chciał to podciągnąć pod brak szacunku dla zarządu Nieba, ale wybroniłam się tym, że wszyta w suknię świętość będzie dodatkowo ochraniać mnie przed demonami, czy jakoś tak.

Następnie zszedł niżej, aby przyjrzeć się lepiej pasu. Katarzyna gustowała się w nieprawdopodobnie kosztownych ubiorach, lecz jej pas był wykonany ze zwyczajnego, ziemskiego jedwabiu. Może chciała tym pokazać, jakoby jej suknia była w równym stopniu wykonana ze składników z całutkiego wszechświata?

— Ten jedwab pochodzi od jedwabników karmionych nektarem jedynie z najrzadszych gatunków orchidei, podlewanych krystaliczną wodą źródlaną z Himalajów — wyjaśniła cały sekret.

Po pasie, przyszedł czas na szyję. Katarzyna założyła tym razem kolie ze zmutowanych pereł Khaliniskali... czy to była Rezurma? Nie pamiętam, kto ostatnio przejmował stolicę i nazwę tej przeklętej... Planety Wojny, jak ją wszyscy nazywają. Kulki mieniły się i pulsowały wszystkimi kolorami tęczy. Od podczerwieni, po nadfiolet. Te perły można było znaleźć tylko w małżach, żyjących w skażonym jeziorze, na północy pustynnego kontynentu Terb. Chwila, teraz to już nie był już Terb... no na północy tego największego kontynentu planety. Zdaje się że to albo Czarna Armia, albo Komodowa utopiła tam kiedyś zbiorniki z kancerogennym żelem, w celu wewnętrznego wyniszczenia przybrzeżnego miasta Hirten... wtedy to było Hirten. Nie udało się, mieszkańcy Hirten wyczuli podstęp i zamiast umrzeć na nowotwory, od picia skażonej wody, poumierali z pragnienia. W każdym razie flora i fauna w jeziorze przeszła nieprzyjemne zmiany fizyczne.

Buty. Był to wspólny wytwór czterech Khrnzrhkh. Najpierw poprosiła Chrrkrhkrkk o stworzenie lodowej podstawy. Potem pewnie Iliścirr obudował to swoją czarną rkkizniisi, Buffsirr dodał czerwone wkładki z buffzerda,

a Fluszschriss utwardził ogniem.

— Te buty zostały zrobione przez potworów, najpierw Mikołaj stworzył lodową podstawę, Psychit zalał ektoplazmą, Pyrroq dodał czerwone klejnoty-bomby, a Plazma utwardził ogniem. — Katarzyna Kosmata właśnie spowodowała, że kolejna osoba będzie nazywać Khrnzaalk potworami, zamiast porządnie w ich własnym języku.

Zahaczył o wachlarz. Ten był stworzony z półprzezroczystych łusek białego cyrkowca. Te smoki wyginęły doszczętnie po ataku czerwonych kartaczy na ich wyspę. Właściwie, jedyne pozostałe cyrkowce można teraz znaleźć w zoo w Capitalu. Szkoda ich, miały wspaniałą kulturę. Cyrkowe baśnie do dziś opowiada się małym smoczkom do legowiska, a cyrkowi malarze są nie-doścignionym przykładem talentu w wielu kulturach. Kartacze to zwykłe zwierzęta. Żeby chociaż te barbarzyńskie pasowce ich rozbiły, ale nie. Największy i najbardziej bezmózgi gatunek smoków zaatakował, rozszarpał i pożarł najwspanialszych.

Ostatecznie Mateusz popatrzył się na jej twarz. Nie, nie na twarz, a na makijaż. Oczywiście, Katarzyna Kosmata nie mogła spocząć na wyrwaniu łusek prawie wymarłym smokom. Jej puder był stworzony ze zmieszanych ciosów mamuta. Jak ona odkopała je z syberyjskiego błota i wybieliła, tego nie wiem.

— Przekonałam Chronosa, jednego z potworów, żeby odwrócił trochę czas i przywrócił im świeżość.

Nikomus się nie udało przekonać kiedykolwiek Pfishuss do jakiegokolwiek używania swojej mocy! Jak ona to zrobiła?

To jednak nie był koniec podziwiania, poszedł wzrokiem wyżej. Fryzura Katarzyny była przeogromna. A wszystko to z naturalnych włosów. Wiem na pewno, że Floria... znaczy Hhurnna przywiązuje podobną uwagę do wyglądu, co ona. Na pewno nie odmówiłaby Katarzynie podkreślenia jej cebulek włosowych w celu przyspieszenia ich wzrostu. Ale w sumie Chronos także mógł to osiągnąć.

— W Rossmanie sprzedają taki super szampon do włosów. Nic więcej nie potrzeba. Może na twoją łysinkę też pomoże.

Na jej fryzurze osiadły wielobarwne motyle. Co jakiś czas, któryś wzbijał się w powietrze, robił pętlę wokół jej głowy i lądował z powrotem. Były to najprawdziwsze motyle, hodowane i tresowane w tajnej placówce pod motylarnią w Burggarten. Ciekawe, jak je zdobyła. Znając Katarzynę, pewnie jak gdyby nigdy nie weszła przez tajne wejście, w tej pełnej sukni, z naładowanym szyfratorem w ręce, i powiedziała: „Dajcie mnie tych tresowanych motyli na głowę, bo zaraz mam bankiet we wielkiej, latającej kuli.” Być może tylko po to w ogóle przyjechała dzisiaj do Wiednia. Przyjechała po motyle, i żeby przyprowadzić o zawał serca całą Austrię. Więc tym razem postanowiła

wsiaść do Riesenrad i pojechać wagonikiem na sam szczyt, gdzie wcześniej specjalnie umówiła się ze mną, abym podleciał po nią Kulą. Oczywiście, jak tylko przyleciałem, wybuchła panika. Koło się zatrzymało, uwięzieni w wagonikach ludzie próbowali uciekać po konstrukcji koła, przed wielką białą kulą, cumującą właśnie do najwyższej budki. Katarzyna otworzyła drzwiczki i robiąc krok nad przepaścią, weszła do pojazdu. Pomachała wachlarzem pozo-
stałym, ledwo żywym ze strachu osobom w budce, i odlecieliśmy. Następny razem pewnie stanie na szczycie Empire State Building, a ja będę robił za King Konga. I też będę potem uciekał przez myśliwcami. Czy można się uzależnić od amnezji, którą pokryty jest statek? Uzależnić od siania paniki w ludziach, którzy i tak za chwilę o wszystkim zapomną?

Przeczyściłem gardło.

— Znaczący... witam... bardzo mi miło, dzień dobry... eee... Kasiu-azyno.

— Stał bez ruchu kilka pulsów, aż zdecydował się delikatnie ująć jej dłoń i pocałować. Ważne, że się starał. — Ja Mateusz... jestem.

Katarzyna zarumieniała się. Widać zostało w niej jeszcze trochę kultury osobistej. A może to był makijaż?

Mateusz dostał oczopląsu, jego wzrok skakał od ozdoby do ozdoby. Każdej falki, każdego wgłębienia musiał dotknąć, niczym sprawdzając czy rzeczywiście wykonane są z hebanu i masy perłowej. Poprowadziłem ich po schodach do salonu, w którym nakryty był już stół dla czterech osób. Gość aż przysiadł z wrażenia.

— Na naszym bankiecie spodziewamy się w sumie trzech gości — oznajmiłem zgromadzonym. — Zatem dołączy do nas jeszcze jedna osoba. Będzie to Nadar Nocny, który aktualnie bada, albo szabruje, wrak Titanica. Podróż potrwa około dwa i pół kilopulsa, to jest niecałe dwie godziny. — Poprawiłem żabot. — Pan Nocny jest dość... ekscentryczny. Dla jednych jest najlepszym przyjacielem, a inni go nienawidzą. Szczerze powiedziawszy, nie popieram jego charakteru, ale obawiam się że może pan, panie Mateuszu, należeć w nim bratnią duszę.

— No dobrze, gdzie są ukryte kamery? — Mateusz niespodziewanie wypalił.

— Proszę pana, zaręczam, że w całym tym miejscu nie znajduje się ani jedno obrzydliwe elektroniczne urządzenie. Ta strefa jest wolna od nieprzyjemnych pól magnetycznych i elektrycznych.

— On chyba nadal nie wierzy, Profesorze. — Katarzyna zaproponowała.

— Nadal nie wierzy w Kulę? Pomimo, że sam w niej stoi? — Uśmiechnąłem się. — Nigdy nie widziałem takiego zaparcia przy obronie własnych idei. Panie Mateuszu, wierzę, że będzie pan wspaniałym agentem.

Położyłem rękę na lasce. Lekko ścisnąłem małym i wskazującym palcem, aby obniżyć lot. Następnie przycisnąłem w dół otwartą dłoń, aby poko-

nać siłę wyporu. Zaczęliśmy się wtedy zanurzać coraz głębiej i głębiej w Atlantyku, zostawiając za sobą pióropusz tęczowych rozbryzgów.

Tymczasem zacząłem oprowadzać naszego gościa po Kuli. Wycieczkę rozpoczęliśmy, wracając do głównego wjazdu na najniższym piętrze. Ta otwierana w dół, mająca od wewnątrz kształt schodów, wykrzywiona płyta, była jedyną, niepokrytą czerwonym futrem, częścią pancerza. Zamiast tego posiadała czerwony dywan i wysuwaną poręcz, automatycznie rozwijane przy kontakcie z podłożem. Operowana za pomocą skomplikowanego systemu łańcuchowo-sprężynowego na korbę.

Nie zmieniając piętra, przeszliśmy do garderoby. To właśnie tutaj trzymałem awaryjne suknie, habity, koszule i trzewiki, w razie gdyby któremuś z gości zdarzyło się nie posiadać wystarczająco odświętnego ubioru do uczestniczenia w uczcie. Mateusz zwrócił mi uwagę na grube kombinezony, wiszące w kącie. Wedle jego wizji, były to stroje nurkowe. Wyjaśniłem, że pomimo mylącego dla niektórych wyglądu, w rzeczywistości nadawały się zarówno do nurkowania w oceanie, jak i w próżni kosmicznej. Są integralną częścią Kuli, wyjaśniałem, trochę jak ściany i meble. Czerpią z niej energię do podtrzymywania życia. Będąc w takim kombinezonie, nigdy nie zabraknie ci tlenu i pożywienia. Na szczęście nie zauważył, iż jeden z haków był pusty. Nie chciałem się tłumaczyć, że zgubiłem kawałek wyposażenia swojej rakiety.

Zapytany o służę ciśnień, aby bezpiecznie wychodzić na zewnątrz, opowiedziałem mu o niewidocznej tarczy rozciągniętej na włącz, chroniła ona wnętrze przed różnorodnymi hazardami zewnętrznymi, takimi jak próżnia, uniwersalność, demony, czy brak kultury osobistej. Nie był przekonany, więc kręcąc jeszcze raz korbą, otworzyłem ponownie wjazd. Płynęliśmy aktualnie tuż przy samym dnie morskim, zostawiając za sobą chmurę wzburzonego piasku. Falista, lekko wypukła powierzchnia wody, utworzyła się na głębokości framugi. Mateusz z niedowierzaniem zamoczył rękę w głębiach oceanu, wyciągając garść osadzającego się piasku. I meduzę.

Na kolejnych piętrach znajdowały się pokoje gościnne. Gość uprzejmie podziękował za pokój, ale nalegał, abyśmy szli dalej.

W centralnej części Kuli znajdowała się łaźnia, muzeum i mój gabinet. Do tego ostatniego nikogo nie wpuszczam. Ludzie snują różne domysły na temat tego, co znajduje się za dębowymi drzwiami. Zasilanie całej Kuli, mój zwyczajny pokój, jakieś kosmiczne artefakty, prawda o moim pochodzeniu? Nikt z nich nigdy nie miał racji, a ja nikomu nigdy prawdy nie pokażę.

W wyłożonym terakotą pomieszczeniu panował standardowy zaduch. Gość zdziwił się niemiłosiernie, znajdując tutaj basen, jacuzzi, saunę fińską, masażery wodne, a także mały wodospad. Pośrodku stał wielki piec na węgiel. Bez niego zimna pustka kosmosu szybko by nas dopadła. Mateusz powiedział, że w XVIII wieku nie używano łaźni i że po stylu wnętrza spodziewał

się co najwyżej wychodka w kącie. Zaśmiałem się na myśl, iż wziął Kulę za stuprocentowy wycinek pałacu w Wersalu. Kultura idealna nie istnieje, zacząłem wykład, z każdej należy wyciągnąć najlepsze części. I tak, łącząc na przykład rzymskie starożytne łaźnie, francuski nowożytny wystrój, średniowieczne królewskie dania i słowiańską mowę przyszłości, stworzyłem tę właśnie latającą wyspę kultury idealnej.

Najciekawsza część statku teraz. Moje muzeum zawiera artefakty z różnych zakątków wszechświata. Gość zapytał o wartość zebranych przedmiotów. Nie wszystko da się sprowadzić do liczby pieniędzy, dałem mu wykład, nie wszystko ma tak zwaną cenę. Jeszcze się o tym nie raz przekonasz.

Wskazałem skałę przyczepioną widelkami do podstawy. To na przykład jest kawałek meteorytu, który uderzył w księżyc planety Tos. Wartość tego kamienia jest równoważna wartości losowego polnego kamienia z Ziemi, znajduje się tutaj ze względu na historię, jaką ze sobą niesie. Otóż, uderzenie meteorytu było tak silne, że wybiło księżyc z orbity, popychając go w kierunku Tosa. Po stu latach ciągłego zbliżania się do powierzchni, w końcu satelita zahaczył o atmosferę, gwałtownie zwolnił i zderzył się z planetą. Każdy organizm, większy od jednokomórkowca, został zniszczony.

Co ciekawe, mieszkańcy tego świata byli na tyle rozwinięci naukowo, że doskonale widzieli i rozumieli zbliżającą się katastrofę. Jednak nadal za mało rozwinięci technologicznie, aby móc jej uniknąć. Przewidzieli dzień swojego końca co do dnia, a koniec rzeczywiście nastąpił.

Tak, wiem że to smutne, ale cóż począć? Gorsze rzeczy zdarzały się w zbiorowej historii życia. Tylko pierwotne grzyby przetrwały katastrofę. Toksyczna atmosfera, brak słońca i wysoka temperatura post-apokaliptycznego świata wręcz przyspieszyły ich ewolucję. Na przykład, tutaj masz dziób takiego latającego ptakochochora. To grzyb i ptak jednocześnie, ładnie świeci w ciemności. Da się go spożywać, niestety nie jest bardzo wysublimowany w smaku.

Przeszliśmy dalej. Kamień z lodowej strony Kryonii, nic niezwykłego. No może poza tym, że musiał być wydobyty spod kilku kilometrów litego lądolodu. Co w tej planecie jest takiego wspaniałego? Obraca się ona wokół swojego słońca jak Księżyc wokół Ziemi. Wiecznie zwrócona tą samą stroną. Na Kryonii nie ma zatem dni oraz nocy, a gwiazda zawsze jest w tej samej części nieba. Nocna część jest lodową pustynią, dzienna ma pośrodku wiecznie szalejące tornado. Może kiedyś zobaczysz Pałac Nadiru, położony w centrum wiecznej zmarzliny, jest przepięknym dziełem sztuki lodowej. Wielka iglica z kryształowych łuków, kopuł, balkonów i kolumn. Podświetlona trytowym światłem na przeróżne kolory. Freon, wielki lodowy król, rządzi swoim państwem dobrze i sprawiedliwie. Szkoda, że część jego ludu tego całkowicie nie rozumie. Demokraci, socjaliści, libertarianie, i reszta niepoliczalnych ru-

chów społecznych chce go dosłownie zwać z tronu i pogrążyć cywilizację w chaosie.

— Skąd wie pan, że byłoby gorzej, niż jest teraz? — zapytał.

— Może kiedyś zostanie waćpan zaproszony przez Freona do siebie i wtedy, na własne oczy zobaczy pan, że na pewno nie byłoby lepiej, niż jest teraz — odpowiedziałem. — Zresztą, prędzej czy później to i tak się pewnie stanie. Freon się starzeje i nie znalazł jeszcze na swój tron godnego następcy. Nikt inny nie może go zastąpić. Więc albo rozkaże wybrać kogoś głosem ludu, albo znajdzie kogoś godnego spoza planety. To mogłoby doprowadzić do wojny domowej, rozumiecie, nikt nie chciałby być rządzony przez obcego kosmitę z kosmosu, nie ważne jak dobrze by rządził.

— Jak spoza planety?

— To jedna z tych cywilizacji, zwanych zapoznanymi. Na tyle rozwinięta technologicznie i kulturalnie, przede wszystkim kulturalnie, że ma dostęp do warstw wszechświata. Warstwy to takie jakby obszary „pod”, „nad” i „z boku” czasoprzestrzeni. Pozwalają na szybką i dowolną podróż w każde miejsce, do każdej galaktyki, do każdego układu, używając minimalnej ilości paliwa.

— Jak to? Czyli taka na przykład Kryonia może w każdej chwili przelecieć jakąś warstwą i zaatakować Ziemię? — Złął się. — I czy Ziemia także jest zapoznana?

— Powiedziałem, rozwinięta kulturalnie cywilizacja. Czy waćpan jest absolutnie pewien, że ludzkość nie zaatakowałaby obcej planety, gdyby lot do niej byłby tak trudny, jak do Księżyca? No właśnie. Poza tym, Ziemi bronią jeszcze Khrnzhki.

— Kto?

— Potwory — westchnąłem. I ja też się w końcu poddałem. — Robią za policję wszechświata, dbają o pokój na wszystkich zapoznanych planetach i poza nimi. ALOPP, do którego waćpan został zaproszony, to skrót od Akademii Ludzkiej Otoczonej Protekcją Potworów. Jako agent Akademii, będziesz im wać pomóc, będziesz dbał o pokój we wszechświecie, zatrzymywał wojny, walczył ze złem w różnych postaciach. To niebezpieczna i bardzo ciężka praca, ale jakże ciekawa. Raz będziesz uciekał na skuterze grawitacyjnym przed stadem czerwonych kartaczy, a innym razem zasiądziesz w sali obradowej Pałacu Nadiru. Znaczący, oczywiście jeśli okażesz się godny.

— Godny?

— Chodzi o charakter. Do ALOPP należy odpowiedzialność przed przyszłością. Każdemu agentowi może zdarzyć się stanąć przed wyborem decydującym o milionach istot. Dlatego kandydaci są poddawani testowi osobowości, żeby mieć pewność że zawsze wybiorą większe dobro. Test ma kilka faz, sprawdza reakcję na zaistniałe sytuacje.

— Kilka faz? Jak mam je pozdawać? — Zaczął panikować.

— Spokojnie, pierwszą ma pan już za sobą. Przecież jest pan tutaj z nami. Pierwsza faza sprawdzała reakcję na abstrakcyjne sytuacje. Można było wyrzucić ten list, można było zgłosić go władzom, można było pokazać w internecie, a można było, jak pan, potraktować go poważnie. Jest test sprawdzający zaangażowanie, posłuszeństwo, wykonywanie rozkazów, siłę psychiczną itp.

Kontynuowałem oprowadzanie. Zapytałem go, czy potwierdzi, iż wskazany przeze mnie kawałek zegarkowatych mechanizmów wygląda intrygująco. Polecilem zgadnąć, co to było, podpowiedziałem jakoby to nie był żaden zegar. Nie zgadł, jak mógłby zgadnąć?

— Otóż, jest to mózg reprezentanta pewnej wybitnie nieprzyjemnej nacji robotów. I mówiąc roboty, nie mam tylko na myśli ludzików zasilanych na prąd, jak to się przyjęło w ziemskiej kulturze. Mam na myśli wszelkie żywe istoty zbudowane z nieżywych składników. Pozornie zwykła materia, lecz natchniona myślą.

— Proszę mi wybaczyć, ale wygląda dla mnie trochę, jak kupka śmieci.

— Bo nią jest! Te... struktury, powstały z ludzkiego złomu, jako sztuczne ciała dla głodnych demonów. To jest tak, że niektóre demony są za słabe, aby pożywiać się ciałami prawdziwych istot, zatem muszą się zadowalać martwą materią, najlepiej tą, towarzyszącą ludziom przez jak najwięcej lat ich życia. — Położyłem rękę na gablotce ze szkła wymiarowego. — Ludzki złom. Wszystko, co ludziom w czasie życia było tak bliskie, jak własne części ciała, ale jednak nadal sztuczne i wymienne. Protezy kończyn, sztuczne szczęki, wózki do poruszania się, kule do chodzenia, rozruszniki serc, inhalatory, tego typu rzeczy. Te roboty mogą więc także składać się z metalu i elektroniki, ale nie są zasilane energią elektryczną, lecz szatańską!

Na te słowa Mateusz zrobił krok w tył.

— Szatańską — powtórzyłem z grodzą. — Szatańska opętana kupka śmieci. Powstały, jako wcielenie najczystszej zła, zasilanie parą z palonych zwłok, stworzone z ludzkich odrzutów, zlepione na ślinę i cyrograf. Może pan się przyjrzeć, ten element przykładowo, jest wykonany ze sztucznej szczęki.

— Dziwna ta szczęka.

— Nie, no. Nie ludzkiej sztucznej szczęki, czy ludzie mają po dziesięć półkolistych zębów, jak te tutaj? Wiele istot we wszechświecie ma przecież zęby i większość z nich, tak jak ludzie, czasami potrzebuje sztucznych.

Mechaliczny przysunął się z powrotem, chociaż nie krył obrzydzenia. Ciekawość brała górę.

— To rurka, od kuli od podpierania się, tym razem ludzkiej kuli. Właściciel był jakimś wielkim gangsterem, skazali go bodajże za morderstwo na własnych dzieciach, powiesił się w więzieniu, oczekując na śmierć. Im większy grzesznik, tym dla takiego demona smaczniejszy. A to jest wężyk, który

był kiedyś w rozruszniku do serca... smoka.

— Mam wrażenie, że wciąż się porusza. To znaczy że nadal żyje?

— Absolutna racja, nadal żyje, lecz akurat nie pamiętam imienia demona, który go zasila.

— A... a to nie jest trochę niebezpieczne go tutaj trzymać?

— Tylko trochę. W najgorszym razie, w razie ucieczki, i tak pierwsze co by ten demon zrobił, to czmychnął jak najdalej od tego świątecznego miejsca. Poza tym, jest zamknięty w gablocie wymiarowego szkła, przez wymiarowe szkło nic się nie przebije.

Powiodłem wzrokiem tam, gdzie wskazywał Mateusz.

— Ta nie jest ani atomowa, ani termojądrowa, zwyczajna na proch.

— Otrzepałem kurz ze starego, pokrytego wyschniętym smarem pocisku.

— Kiedyś zadarliśmy trochę za bardzo z wojskiem Stanów Zjednoczonych. Mocno nadszarpnęli nam ochronne powłoki i w końcu ta mała bombka przebiła się przez pancierz i wpadła prosto do pieczonego dzika. Było blisko, gdyby wybuchła, długo bym musiał czyścić ściany z resztek jedzenia.

— Czyli goście przeżyliby wybuch?

— W Matrycy jest zapisana gwarancja na odbudowanie ciała, w razie gdyby coś mu się stało na pokładzie. Innymi słowy, nie można tutaj umrzeć, gdyż twoje ciało zaraz zostałoby automatycznie odbudowane. Również dusza nie ucieknie, jest zamknięta tutaj jak w śnieżnej kuli. Z definicji śmierć nie jest utratą ciała, lecz duszy. Dusza ucieka, gdy nie ma ciała do zamieszkania. W związku z tym szybkie odbudowanie ciała przyjmie duszę z powrotem.

— Matrycy?

— Widzę, że nie masz pojęcia, jak zbudowany jest nasz wszechświat. Nie wiesz pewnie, czym są kwadry, warstwy, Wielki Filtr, pompa energii, Niebiańskie Słoje Symulacji... polecam książkę z mojej biblioteczki. A tak na szybko, Matryca ma zapisane prawa sterujące wszechświatem. Od prędkości światła, po wymiary prześcieradła na twoim łóżku piętro niżej, ale nie historię.

— Po moim doświadczeniu z wojskiem w Gdańsku, widzę, że Kula często jest atakowana.

— Prawie zawsze, gdy składam wizytę na Ziemi — powiedziałem oczywiście. — Piekielni amerykańcy. Zbudowali swoje pociski z żelaza, wydobywanego przez niewolników w Afryce. Wypełnili je prochem wyciągniętym z fajerwerków, które miały być wystrzelone na szatańskie święto Halloween. Na koniec pokropili zapalniki krwią z abordowanych dzieci. Takie coś znacznie prościej przebija kadłub stworzony z sacroterii.

— Przepraszam, czego?

— Materii pod bezpośrednim sterowaniem Matrycy, na górze jest książka.

Przy okazji, wytłumaczyłem mu ochrony zastosowane w tym latającym pałacyku. Były trzy powłoki, z tym że trzecia to już fizyczny pancerz z sa-croterii pokrytej amnezją. Pierwsza powłoka zatrzymuje wszystkie szybko poruszające się obiekty. Druga chroni przed naporem niepożądanych substancji, już ją widziałeś jak blokowała oceaniczną głębię przed wdarciem się do środka.

Mateusz zapytał się, jak to możliwe, że nie w internecie prawie żadnych informacji o Kuli, pomimo że często ląduje, jak gdyby nigdy nic, w centrach miast.

— Dlaczego ludzie zapominają... to dobre pytanie. Otóż Kula pokryta jest amnezją. Każdy, kto na nią spojrzy, nawet pośrednio, zapomina. Pamiętają tylko ci, którzy wierzą. Wierzą w Profesora Kulę, wierzą w bankiety w niebiosach, wierzą w złocene wnętrze. — Objąłem rękami całe otoczenie. — Na pewno nie będzie to dla pana zaskoczeniem, że większość osób uważa Kulę zwykle za balon meteorologiczny, fatamorganę, dowcip, sztuczkę magiczną, nowoczesny samolot wojska, itp. Pan uwierzył w prawdę, dlatego pan tutaj jest.

Wycieczkę przerwał dźwięk otwieranego włazu i chlapanie wody. Poszliśmy zatem przywitać trzeciego gościa. Mateusz był bardzo podekscytowany i pobiegł przodem.



Lenna popatrzyła się na Antyraxa i pokiwała w aprobachie głową. Potem sama skierowała swoje kroki w kierunku Neofantasora.

Demony były już chyba przerażone, gdyż teraz poczęły wszystkie uciekać. Jednak Antyrax był szybszy. Złapał jednego z nich za nogę (a właściwie to jego lateksowy but złapał nogą nogę), przyciągnął do siebie, i włożył mu swój worek na głowę. Piotr Lekter zaczął się dusić, trująca abstrakcja wgryzała się w jego demoniczne płuca, a lateksowy but, z siłą wolnego oprogramowania, ścisnął mu szyję.

— Dość, wystarczy. Dam ci te dwie gwiazdki! — Z worka słychać było jedynie stłumione jęki. — Trzy! Niech będą trzy gwiazdki. I komentarz.

Antyrax jednak nie odpuszczał. Ruchy Piotra Lektera stawały się coraz wolniejsze i wolniejsze.



Nadar. Czemu to akurat jego musiał ten Kula zaprosić? Planowaliśmy eleganckie przyjęcie, a ta niewychowana świnia pewnie pociągnie w swoje odmęty i Mateusza.

Jak tylko usłyszałam szcęk łańcuchów, przerwałam robienie makijażu, i wystawiłam głowę z pokoju. Zobaczyłam nowego gościa, zbiegającego po schodach do szatni, biegł tak szybko, że spłoszył mi motyle z głowy. Nie spieszyło mi się powitać Nadara równie prędko, ale ciekawiło mnie zobaczyć reakcję Mateusza, gdy po raz pierwszy zobaczy tego szaleńca. Z trudem precyzyjnie się w tej sukni przez drzwi na korytarz i ostrożnie podeszłam do pierwszego schodka w dół. Oczywiście suknia zahaczyła o balustradę, od razu zrobiłam hyc i resztę drogi koziołkowałam, wywijając podwójne salto, lądując na głowie, z nogami majtającymi się w powietrzu.

Wiedziałam, co zaraz usłyszę i nie zawiodłam się.

— Ale dupa, co nie? — Nadar zamykał korbą włącz, gapiąc się na moje machające w górze nogi.

— No, nawet... — Mateusz okazał się równie niewychowany. Nie wierzę, że się z nim zaprzyjaźniłam.

Zaraz przybiegł Kula i pomógł mi się postawić do pionu. Był czerwony ze złości. Ale czy dlatego, że właśnie ze statku z sykiem uchodziła kultura, czy dlatego że świnstwo uzyskało nowego członka?

— To ty! — Kula trzymał laskę w górze, niczym śmiertcionośny laser krojący Nocnego na pół. — To ty wzięłaś czwarty kombinezon z mojej garderoby! Szukałem go po całym wszechświecie. Kombinezon jest integralną częścią Kuli, generuje go Matryca tak samo, jak meble, dywany i ozdoby. Jest niereplikowalny. Nie wolno go zabierać!

— Przecież nie zabrałem, a pożyczyłem. Zresztą i tak zawsze się kurzył w tej twojej półkulistej szafie. — Nadar uznał to za wystarczające wytłumaczenie, rozpiął strój. Pod spodem miał swoje standardowe dresy. — A na przeprosiny mam prezent. Wyłowiłem ci, Profesorze, zestaw kieliszków i butelkę najdoskonalszego wina, prosto z kapitańskiego mostka. Mieli ją wypić na ukończony rejs, ale wiadomo co się stało. Niech więc Kula ukończy swoją własną wyprawę i nie uderzy w żadną lodową kometę po drodze.

Profesor Kula w jednym pulsie zmienił się z czerwonego z powrotem w białego.

— Och. To bardzo miło z twojej strony — odpowiedział miękkim głosem. — A teraz wybaczenie, muszę dopilnować ostatnich poprawek przy naszym bankiecie. — Porwał butlę i kieliszki, poleciał na górę.

Nadar był arogancki, jednak pomimo wad, potrafił jak nikt, walczyć z uniwersalnością. Nie miał własnej mocy, jak niektórzy, lecz wcale jej nie potrzebował.

Mateusz wpatrywał się w jego, jak Kula w obraz, namalowany przez białego cyrkowca. Jego największe zainteresowanie wzbudzały dwa pistolety, zawieszane przy pasie, i laserowa pałka na plecach.

— To urządzenie pozwala zaszyfrować i odszyfrować dowolną osobę w

splocie czasoprzestrzeni. — Nadar tłumaczył działanie swoich zabawek. — Zachowuje się tak, jakby była zamrożona w czasie. W pełni bezpieczny sposób na unieszkodliwianie wrogów bez zabijania. Wadą jest tylko to, że naboje do niego są takie olbrzymie i jednorazowe. W środku takiego wkładu zapisuje się symetryczny obraz klucza, jedyny sposób na przywrócenie zaszyfrowanej osoby z powrotem do życia. Strzelając można zamrozić, a potem odmrozić daną osobę. Kosma, właśnie zgłosiła się na ochotnika, aby zaprezentować naszemu gościowi ten wynalazek. — Wycelował we mnie szyfrator. Co za świ...



Antyrax podniósł lekko worek, Piotr Lekter spróbował złapać oddech, ale zaraz znowu światło zgasło mu przed oczyma.



...nia z niego. — Nie nazywaj mnie Kosma! Jestem Katarzyna.

— Jak widzisz, działa znakomicie. — Spostrzegłam, że w czasie gdy byłam zaszyfrowana, zdążył już się przebrać w elegancki, pożyczony z garderoby strój. Właśnie nakładał puder na swojego irokeza.

— Nadar, coś ty? Od kiedy ubierasz się elegancko dla Kuli? — zapytałam z niedowierzaniem. — Przecież nie gustujesz w niczym innym niż dresy.

— Od kiedy wywalił mnie w pośrodku kosmosu w tym skafandrze, za przypadkowe rozlanie barszczu na obrus. Lewitując w bezkresnej pustce, miałem sporo czasu na przemyślenie swojego zachowania i stanie się nowym człowiekiem. — odpowiedział.

— Naprawdę? — Wtedy coś mną tknęło. — Oczywiście, że nie na prawdę. Znowu się zgrywasz tak? — Tylko się wrednie zaśmiał.

— To drugie to pikler — kontynuował. — Potrafi zapekłować kogoś do umieszczonego tutaj słoika ze szkła wymiarowego, żeby nigdy się nie dostał. Wystarczy tylko odłożyć go na najniższą półkę w jakiejś głębokiej piwnicy na całą wieczność. — Spostrzegł, że gość niekoniecznie rozumie. — Szkło wymiarowe to takie coś, które przechodzi równo przez wszystkie wymiary, także w czasie. Wygląda jak szkło, ale istnieje od zawsze na zawsze. Ma nieskończoną długość, szerokość, głębokość i... wszystkie inne ości. — Nadar nie przestawał wyjawiać sekretów naszej organizacji.

— A to jest miecz świetlny?

— To jest laserowa pałka, laserpała, taki przecinak. Po uruchomieniu zaczyna wirować, wzdłuż pojawiają się promienie dasera. Czyli trochę jak

miecz świetlny. Daser (Death Amplification by Stimulated Emission of Radiation) przecina prawie wszystko jak masło, a pozostałe rzeczy jak ser. No, mózg przeciąłby jak powietrze. Fajna zabawka.

— I szkło wymiarowe też przetnie?

— Mateusz zapytał, widać że uważnie słuchał.

— Nadar, on nie przeszedł jeszcze wszystkich testów — wtrąciłam. — Nie zdradzaj mu tylu sekretów, bo nie wiadomo, czy na pewno z nami zostanie.

— No popatrz na niego, Kosma. — Nocny obchodził i studiował Mateusza ze wszystkich stron. — Myślisz, że sobie nie poradzi? Poza tym, już pierwsze części testu przeszedł doskonale. Odpowiedział na abstrakcyjny list Profesora, ubrał się w najprawdziwszy strój francuski, a potem odważył się wsiąść do wielkiej, latającej kuli z kosmosu.

— Niby racja, ale doskonale wiesz, jak chory test potwory mogą tym razem wymyślić. Pamiętasz, jak Mikołaj przetestował Ziemowita? Kazał mu się przebrać za klauna, przyjść na zabawę urodzinową dla dzieci i robiąc magiczną sztuczkę, zamordować jednego z nich, bo był złym owocem klonu. Coś nie wyszło, morderstwo nie było czyste, wszyscy skąpali się w zielonej krwi tego podrabiańca. Drugim zadaniem było uciec z więzienia, do którego go wrzucili po aresztowaniu.

— Przecież zdał.

— Albo tego, jak mu było, Błażeja, co Hdro zostawił w Capitalu i kazał jakimś sposobem wrócić na Ziemię. Człowiek sam na planecie w całości zamieszkaną przez wszystkie gatunki smoków. — Kontynuowałam rozmowę, zupełnie ignorując osobę, na której temat ją toczyliśmy.

— Nie zaliczył, bo ukradł rakietę jakiejś rodzinie błękitnych celebrytów, będącej wakacjach w Capitalu, zamiast rozegrać to w pokojowy sposób. Nawet się nie przejął że w środku statku wciąż były ich jaja! A gdy rzucił się za nim opłacony pościg bordowych pasowców, on ich bezwzględnie pozabijał, strzelając do nich z raketowego działka. Na szczęście nie miał klucza warstwy, nie mógł uciec z ich kwadry, doleciał do końca i rozbił się o ścianę wszechświata. W dodatku to była ściana drugiej kwadry, nie czwartej! Idiota tylko się oddalił od Ziemi, może postanowił zaatakować Potworan zamiast tego? — Spostrzegłem, że Mateusz chyba przestał rozumieć. — Jak się rozbił, to lewitował w smoczej przestrzeni, w chmurze resztek rakiety, przez pół megapulsa, prawie umierając z głodu. W końcu te małe smoczki, których jaja były w rakiecie, się wykluły i zjadły go żywcem. Dobrze mu tak.

— Przepraszam, że wam przerwę, ale co ze mną? To jakiś test zręczności, albo inteligencji? Zginę, pożarty przez coś? — Mateusz bezwstydnie przerwał. — Co mam zrobić, żeby go zdać?

— Masz być sobą. — Odpowiedziałam równocześnie z Nadarem.

— Ciebie chyba będzie testował Plazma. — Zamyślił się. — On lubi mili-

tarne klimaty, pewnie trafisz na Planetę Wojny. Albo będziesz wyżywał jakieś miasto, albo sam będziesz wyżynany. Musisz sam zdecydować. To bardziej test charakteru, niż umiejętności. Jest to niebezpieczne miejsce. Najlepsza śmierć... rozerwanie na kawałki przez jakąś futurystyczną wunderwaffe, najgorsza, pewnie wcielenie do Czarnej Armii. Obedrą cię tam ze skóry, wylupią oczy i zęby, wcisną w cyber-zbroję i zaleją powodującym szaleństwo smarem khaki, będziesz umierał powolną śmiercią, dobrze się bawiąc przy mordowaniu niewinnych. Ja tam wolę robić to samo, nie będąc rozpuszczanym przez czarny kwas.

Tymczasem rozległ się dźwięk dzwonu, oznajmającego posiłek. Poszliśmy zgodnie na najwyższe piętro statku, Mateusz tym razem trzymał się z tyłu. Przechodząc przez muzeum, Nadar poklepał radośnie gablotę z demonicznym mózgiem, który w odpowiedzi kłapnął groźnie szczerbatą protezą zębów.

Na najwyższym piętrze, znajdował się salon, biblioteka, scena teatralna, ogród i kapliczka. Dach przyjmował tutaj miłą, półkulistą wypukłość, ze szczytu zwisał żyrandol na lampy oliwne. Mateusz zapytał mnie, dlaczego w ogródku rosną tylko ziemskie kwiaty.

— Nie wiem czy wiesz, ale Ziemia jest uważana przez wielu za najpiękniejszą planetę wszechświata — odpowiedziałam. — A przynajmniej na pewno przez naszego Profesora.

— Tos? — Mateusz zwrócił się w kierunku muzeum.

— Tos jest bardziej niezwykły, niż piękny. Poza tym, grzyby trzeba by hodować w amoniakowej szklarni. No i nie powąchasz ich jak kwiatów

— wyjaśniłam. — Aha, jeszcze Tosowe życie puszcza wszędzie zarodniki. Jeden wdech atmosfery tej planety i grzyby zaczną ci rozpuszczać żywcem nos. Dwa wdechy i spleśnieją ci płuca. Trzy wdechy i grzybnia wkłęci się w mózg.

— A kaplica? — Zwrócił uwagę na mały budynek w rogu.

— Jak pewnie zauważyłeś, Profesor jest bardzo religijny. Poza tym, dobrze mieć miejsce, gdzie można pomodlić się o ratunek, będąc atakowanym przez kosmicznych bandytów. Każdy większy statek morski ma przecież kaplicę, to czemu statek kosmiczny także nie miałby mieć?

— Kto zbudował ten statek?

— On jest bardziej strukturą wszechświata, niż konstrukcją, jest zapisany w Matrycy. Profesor otrzymał go w prezencie od Nieba, kiedyś zrobił coś bardzo wielkiego i dobrego, dzięki czemu zyskał nadzwyczajną przychylność aniołów. — Rozejrzałam się, gdzie jest nasz gospodarz. — Ale on nie lubi, gdy się o nim rozmawia.

— Tyłko, kim on jest? — Mateusz nagle zapytał.

— W sumie nikt nie wie dokładnie, kim, lub czym, jest Profesor. Niektórzy mówią, że aniołem, inni, że dziwnym człowiekiem, jest też teoria jakoby był ostatnim z jakiejś umarłej cywilizacji. Posługuje się jedynym w swoim rodzaju pismem i językiem, którego nikt inny we wszechświecie nie rozumie. Widzi szerszy zakres barw, słyszy więcej dźwięków, nie wiem jednak, czy jest supersilny...

Przed kontynuowaniem nieprzyjemnej rozmowy uratował mnie dzwonek, zwiastujący rozpoczęcie bankietu.



Antyrax podniósł worek, Piotr Lekter był sztywny, jego wyraz twarzy poskręcany był w dziwności. Tylko jedno oko lekko mu drgało.

Tymczasem wszyscy inni uciekli. Nie było już ani demonów, ani Neofantasa. Antyrax nie był aż taki głupi, żeby uwierzyć, że niebezpieczeństwo minęło. Na pewno czyhali na niego, pochowani w ruinach miasteczka.

Stąpał cicho. Pomimo to, jego kroki były doskonale słyszalne w grobowej ciszy, spowijającej dolinę. Zero wiatru, zero ptaków, zero mieszkańców. Wszystko umarło. Za chwilę on sam umrze, śmierć przyjdzie po cichu i autor nawet nie spostrzeże się, kiedy.

Wtedy wysunęła się zza winkła Winkla.

— Pisz się „wysunęła” — powiedziała i cisnęła w niego błędem ortograficznym. Ostrze wbiło mu się w pierś do połowy.

Antyrax poczuł, jak trucizna dyktanda rozplywa mu się po żyłach. To był koniec. Żadna ilość abstrakcji nie wygra ze zwyczajną poprawnością językową. Choćby stworzył kompletny, co do atomu, świat, to i tak niewiele by to dało. Powinien wrócić, i pisać programy komputerowe, zamiast tworzyć epikę. Przynajmniej tam kompilator powie mu o brakujących średnikach.

— Daj mi jeden powód, dla którego miałabym cię oszczędzić. — Demonica zawiesiła nad pisarzem olbrzymie ostrze z poprawnie zastosowanych dialogowych myślników.

— Mateusz musi dolecieć na miejsce, prawda? — odpowiedział.

— Jakoś leci i leci, a nadal nie wiadomo gdzie tak dokładnie jest. Rzucaś na prawo i lewo pojęciami, zupełnie ich nie tłumacząc. Uniwersalność, światłografy, warstwy, potwory. O co chodzi?

— Chciałem opowiedzieć o nich później, akcja rozwija się powoli, ciekawiej jest najpierw rzucić hasło, a potem dopiero je opisać. Poza tym, obowiązkową częścią fantastyki naukowej, jest nieopisywanie niektórych zagadnień.

— Od kilku stron ta opowieść to jeden wielki opis! I nie jest to żadna fantastyka naukowa, nie ma w tym nauki. Są kule z sacroterii.

— Nic byś nie zrozumiała, gdyby nie opisy. Jakbym napisał, że polecili na Felicję, używając górnej warstwy, chociaż Kula nie posiadał do niej kluczy, to co byś sobie wyobraziła?

— Że to jakaś nadprzestrzeń, coś w stylu alternatywnego wymiaru. A klucze to pewnie wysokotechnologiczne urządzenia do wchodzenia w nią.

— Prawie. Górna i dolna warstwa odpowiadają za obieg energii we wszechświecie. Górna rozprowadza, a dolna zbiera. Dolna warstwa czasami ma gejzery, niekontrolowane wybuchy energii, które tymczasowo uniemożliwiają korzystanie z niej w tym miejscu. Bez opisu nie wiedziałabyś, że nie wolno korzystać z górnej warstwy, gdyż wprowadza to zawirowania w energii w czasoprzestrzeni pod nią. Zawirowania powodują niedomiary i nadmiary Boskiej Energii, co się objawia większą skłonnością ludzi do popełniania grzechów, lub dobrych uczynków. Każda ziemską wojna była spowodowana podobnym zawirowaniem. W ogóle wszechświat składa się z czterech kwadr...

— Znowu aniołowie i chrześcijaństwo, wszyscy już o tym piszą. Nudne się to robi.

— Ale gdybym napisał, że statek Kula jest zasilany przez samego Belzebuba, a Profesor ma na swojej łasce czaszkę dziecka, oraz potwory były by tylko od niszczenia światów, to nie było by w tym nic niezwykłego, prawda? Może dostałbym porównania do Warhammera 40K? Otóż nie. Statek Kula działa na energię Boską, potwory służą aniołom, a ALOPP składa się z białych katolików polaków. Nikt nie opisał wcześniej takiego świata, a ja będę pierwszy.

— No więc opowiadaj. Masz kilka minut, zanim trucizna dotrze do twojego mózgu, a wtedy już nigdy więcej nie popełnisz żadnego błędu ortograficznego.



Zasiedli do stołu. Srebrne sztuce z diamentowymi akcentami oraz ręcznie rzeźbione talerze, dobrze współgrały z tkanym obrusem ze złotych nici. Nigdy nie widział tyle zastawy dla jednej osoby. Otrzymał po trzy noże i widelce, łyżkę, łyżeczkę, widelczyk, pałeczki, dziwny szeroki nóż, trzy kieliszki różnych kształtów, duży talerz, dwa małe talerzyki i głęboki talerz. Do kryształowych kieliszków Profesor nalał wszystkim titanicowego wina.

Na przystawkę było sushi z kawiozem i truflami. Gdy przyszli, było już nałożone na talerzu. Profesor odmówił krótką modlitwę, dziękując za dar egzystencji, w imieniu wszelkiego życia, czasu i przestrzeni.

Jedzenie, jak wszystko, było bardzo kosztowne, a jakże, lecz w stu procentach pochodzenia ziemskiego. Mateusz spodziewał się jakichś nieziemskich przysmaków, dziwacznych owoców, grzybów z Tosa, czy steku ze smoka. Czy

to była prawda, że wszechświat jest całkowicie pusty, a Ziemia jest jedynym znośnym miejscem w kosmosie?

Bardzo zaskoczyło Mateusza to, jak kulturalnie zachowywał się Nadar. Jest arogancki i nie leżą mu galowe ubrania, lecz z zachowania jakby wychował się na dworze królewskim. Z kolei Katarzyna przywiązała olbrzymią wagę do ubioru, ale nie potrafiła poprawnie złapać pałeczek. Profesor miał naturalnie i jedno i drugie.

Kula wstał i przemówił.

— Tradycją jest, że przy głównym daniu, wybieramy się w jakieś malownicze miejsce, dezaktywujemy tarcze i otwieramy dach, spożywając posiłek na świeżym powietrzu. — Rozpoczął tajemniczo. — Proponuję, aby tym razem, nasz główny gość wybrał miłą okolicę, w której będziemy mogli najlepiej delektować się dzisiejszą pieczeńią z bażanta.

— Tylko nie środek oceanu, ani malownicza plaża. — Nadar bezwstydnie się wtrącił. — Mam na jakiś czas dosyć wody.

— To może pustynia? Piaskowe wydmy są bardzo ładne w promieniach zachodzącego słońca — odpowiedziała Kasia.

— Nie, piasek wpada do jedzenia i chrzęści w zębach.

— Szczyt Andów? Ładne widoki z jednej strony na puszcę, z drugiej na ocean.

— Zimno tam jest, będzie ci zamarzać zupa na talerzu. Potem będziesz cała mokra od topniejącego śniegu.

— Amazonia.

— Komary.

— Antarktyda.

— Pingwiny.

— To chyba zaleta.

— Nie, jeśli podkradają ci jedzenie z talerza.

— Nie wiem, może Paryż?

— Śmierdzi.

— Gejzery na Islandii.

— Dla mnie okej.

— Przepraszam bardzo, ale wyjątkowo nie przepadam za zapachem siarkowodoru. — Kula nagle się przyłączył.

— Sawanna?

— Za dużo turystów na safari, ciągle robią zdjęcia. Poza tym lwy łaszą się o kawałki ze stołu.

— A może Etna? — Mateusz niespodziewanie wypalił.

— Etna? — Kosma nie kojarzyła.

— Środek wulkanu, kula do połowy zanurzona w płynnej lawie, fontanny

ognia, oświetlające otoczenie. Subtelne pomruki z wnętrza Ziemi. Jeśli dobrze zrozumiałem, tarcze powinny nas przed magmą ochronić.

Nastąpiła niezręczna cisza. Czy Profesor śmiał się w duchu, że Mateusz przecenił zdolności statku, czy może rozpatrywał pomysł poważnie?

— To doskonały pomysł. Aktywujemy wszystkie warstwy na raz. Normalnie spowodowałoby to, że czulibyśmy się jak w szklanej kuli, bez wiatru, bez temperatury. Lecz w tym przypadku byłoby to i tak wskazane, ze względu na toksyczne wyziewy. Nie ma nic lepszego od podziwiania lawowych rozbryzgów z odległości metra.

Mateusz nie spodziewał się takiego obrotu spraw, ale cieszył się niemiłosiernie na myśl o zapatrzeniu się w przelewający się żywioł.

Tymczasem statek wynurzył się z Morza Śródziemnego. Profesor niepostrzeżenie przemknął przez Cieśninę Gibraltarską i skierował się prosto w kierunku włoskiego wulkanu. Ponieważ jednak Kula nie posiadała żadnych okien, goście mogli jedynie uwierzyć mu na słowo. Przynajmniej do poki nie otworzył dachu salonu.

— Nie wierzę, że nie zapytałeś się jeszcze Profesora, jak działa ten niezwykły twór, Mateuszu. — Nadar zrobił sobie przerwę od jedzenia tłustego żurku i przykrył chlebową miszkę, chlebową przykrywką.

— Czyli to nie jest tajemnica na równi z gabinetem Profesora? — Mateusz zapytał. — Myślałem, że nie wolno mi było tego wiedzieć. Albo powiem inaczej. Nie chciałem być wywalony przez Profesora Kulę w kosmos tylko dlatego, że zadałem niewłaściwe pytanie w niewłaściwym momencie.

— Panie Mateuszu Mechalczy. — Profesor uśmiechnął się tajemniczo. — Co innego wyciąganie od innych zakazanych informacji, a co innego rozlewanie barszczu. Ciekawość jest wysoko ceniona w ALOPP, a także przeze mnie. Proszę śmiało pytać.

— Zatem skąd to jedzenie? — Zaczął od najbliższej mu rzeczy. — Nie widziałem tutaj żadnej kuchni, nie widziałem spiżarni. To jedzenie po prostu się tutaj pojawiło, jak przyszliśmy. Po przystawce z sushi, odwróciłem się na chwilę i znalazłem zaraz przed sobą bochen chleba z zupą. Co to za czary? Co to za materiał? Co może być na tyle silne aby wytrzymać napór gorącej lawy? Skąd w skafandrach bierze się nieskończona ilość powietrza? Jaki jest tutaj obieg wody? Gdzie ucieka dym z pieca w łaźni? Jak się tym czymś w ogóle steruje? Skąd czerpie energię? Gdzie ma silniki?

— Odpowiedź na twoje wszystkie pytania znajduje się za tobą na ścianie. — Kula oznajmił, jakby to było oczywiste.

Na ścianie wisiał elegancki zwój papieru, oprawiony w polaryzacyjnie mieniące się szkło. Podobnie wyglądało do gabloty z diabelskim mózgiem i słoika na piklerze. Musiało więc to być szkło wymiarowe.

ŚWIATŁOGRAF

§ Moczy Najwyższego, potwierdza się nadanie specjalnej właściwości Profesorowi
E.

Sacroteriowy twór, w formie uniwersalnego statku kosmicznego, jest niniejszym przekazany Profesorowi od zawsze na zawsze, dla dowolnych celów. Dokładny projekt został nieodwołalnie zapisany w Matrycy.

Nie pobiera się żadnej opłaty od właściciela.

§ Bogiem.

Departament Światłografów.

Fragment papieru u dołu wyglądał na pozapłatywany w dziwaczne supełki.

— Światłograf to odwrotność cyrografu. Daje ci, jak to jest ładnie opisane, pewną właściwość. — Nadar zaczął opisywać, zamiast Kuli. — Może dawać ci życie wieczne, strzelać promieniami z rąk, wygrywać w lotka, eksplodować innym mózgi za pomocą pstryknięcia palcami, czy właśnie posiadać taką oto okrągłą rzecz.

— A sacroteria?

— Sacrum i materia. — Tym razem Katarzyna rozpoczęła wyjaśnienia. — Materia, która wygląda i reaguje tak samo, jak zwyczajna materia, lecz może zachowywać się w pewnych przypadkach całkowicie po swojemu. — Wzięła w palce końcówkę obrusu. — Z czego to jest zrobione? Powiedzieliśmy że z nici i złota, może jakiś jedwab, albo z czego tam się robi obrusy. Ale to jest sacroteria. Może i się zachowywać i plamić jak obrus, ale może równie dobrze zrastać po przerwaniu, jak żywa skóra, albo automatycznie solić leżące na niej potrawy. W Matrycy jest zapisany algorytm działania tego obrusu, jak i zasady działania całej sacroterii we wszechświecie. Cała kula i to jedzenie także jest z sacroterii.

— Prawie, w Matrycy zapisano, że wytworzone jedzenie jest całkowicie zwyczajną materią. — Gospodarz poprawił. — Jednak to nieistotne, gdyż nie byłby waćpan w stanie w żadnym stopniu doświadczać tego stwierdzić, jedynie zaglądając do Matrycy ma się całkowitą pewność. Matryca to prawdziwe miejsce, ma kształt wielkiej płyty, położonej nad całym wszechświatem, powyżej górnej warstwy. Naturalnie, nikt śmiertelny nie ma do niej dostępu.

— Zwykle za światłograf pobierana jest opłata, ilość dobra do wytworzenia. — Znowu Nadar zaczął. — Może opierać na liczbę uratowanych dusz, jakiś wielki czyn, czy właśnie, jak tutaj, na nic. Ale myślę, że jednak nasz Profesor, kiedyś coś tak fajnego wykonał, że Niebo go polubiło.

— A ta plamka?

— To odcisk duszy Profesora Kuli. Światłograf musi być podpisany. Nie jakąś przyziemną krwią, lecz czymś wiecznym i niezniszczalnym, twoją duszą.

— Pora na widowisko — właściciel kuli przerwał rozmowę.

Stuknął laską i wtedy cały dach począł się otwierać na osiem stron, niczym kwiat. Żyradol poleciał na jednym płatku na bok i spoczął w specjalnym do tego miejscu, nad sceną.

Czerwona śmierć przelewała się przez otwarte kawałki dachu i obijała o niewidzialną barierę, spływając majestatycznie. Płomienne światło tworzyło wspaniałą, bankietową atmosferę. Rozsunięte fragmenty dostawały z pełną siłą żywiołu, lecz czerwone futro wcale się nie paliło, lawa po nim spływała, jak po mokrej kaczce.

Tak, jak Kula zapowiedział, na główne danie pojawił się pieczony bażant w sosie kurkowym. Ponownie eleganckie jedzenie i ponownie z Ziemi. Czy dałoby się wygenerować potrawę idealną? Coś perfekcyjnego, lecz nieistniejącego?

A potem zdał sobie sprawę, że równie dobrze mógłby delektować się pizzą, pijąc aromat pizzy z próbowki. To właśnie nieidealność nadaje prawdziwość.



— Akcja, Antyrax! Daj mi akcję — przerwała mu Winkla. — Mam nadzieję, że w czasie tego bankietu zdarzy się coś ciekawszego.



Wtem poczuł silne uderzenie. Wstrząsnęło statkiem, porozlewało wino z kieliszków i spowodowało, że Kula nie trafił widelcem w ziemniaka. Zobaczyli na niebie całą armię latających helikopterów, jeden z nich wystrzelił drugi pocisk i zaraz druga eksplozja wstrząsnęła otoczeniem.

Profesor wstał, uklonił się, i zbiegł po schodach. Zaraz też wrócił, niosąc olbrzymią, ozdobną tubę od gramofonu wmontowaną w taboret. Tuba była podłączona wężykiem do lejka, który to przyłożył sobie do ust. Skierował otwór w górę.

— Jakim prawem przerywacie nam uroczystą konsumpcję bażanta, ciskając w nas wybuchowymi pociskami? — powiedział pretensjonalnym tonem, a tuba wzmocniła jego dźwięk do potęgi megafonu. — Proszę natychmiast

opuścić krater wulkanu, inaczej komuś może stać się krzywdą! — Odpowiedziała mu trzecia rakietą, kolidująca z tarczą.

— Wojsko Stanów Zjednoczonych, tajny oddział do walki z kosmitami.

— Nocny wyciągnął z kieszeni okrągłą komórkę i podawał informacje.

— Proszę was. Nie musimy uciekać się do używania prądowych urządzeń. Schowajcie je z powrotem. — Nikt się jednak nie przejął uwagą starszego pana.

— Nadar. Masz coś mocniejszego, niż laserpała? — Katarzyna grzebała sobie pod suknią, niemal odwracając się na lewą stronę.

— Mogę tak ustawić dasery, aby strzelały w górę. Lecz wtedy potnie ich na kawałki.

— To może bierz tego dużego szyfratorem, wystraszysz resztę.

— Nie, bo spadnie do lawy i zginą ludzie.

— To ostatnie ostrzeżenie! — Kula nie brzmiała przekonująco nic a nic.

— Mam znikarkę, zniknę komuś pół kadłuba.

— Oszalałaś? Jeszcze uderzy w tarczę statku i sami znikniemy.

— „You are being arrested under UN law.” — Dało się słyszeć stanowczy głos z góry.

— „You are being destroyed under ummm... our own law.” — Nadar wyrwał Kuli lejek.

— Cokolwiek zrobimy, to spadną do wulkanu i umrą.

— No to zostaje pikler, potem trzeba będzie ustalić z Niebem, żeby cudownie wyciągnęli ich ze szkła wymiarowego.

— A co jeśli trafimy po drodze na uniwersalność? Wsadzisz ich razem, żeby się pozabijali? Nie mam zapasowych słoików.

— „Please leave your spaceship right now!”

— Sam jesteś „spaceship.” — Profesor nie dawał za wygraną.

— Profesorze, czy ma pan jakąś defensywną broń na pokładzie?

— Owszem. Dobre słowo i miłość do wrogów.

— „You have no power against army of the United Stat...”

— „Shut up!” — Katarzyna przekrzyczała ryk lawowych fontann i wirników.

— Patrzcie! — Jednej z maszyn, pod wpływem gorąca, eksplodował silnik. Pilot wykatapultował się tak niefortunnie, że spadł prosto na szczyt półkulistej wypukłości tarczy.

— Kula wpuść go! Helikopter spada! — Profesor wskazał na żołnierza laską, który przesiąkł przez tarczę, zaraz w to miejsce uderzył wrak śmigłowca. Pomarańczowe światło przyćmiło na chwilę poświatę wulkanu. Kasia wystrzeliła szyfratorem w nieproszonego gościa.

— Mamy zakładnika, odpuście, albo go zab... coś mu zrobimy. — Profesor krzyczał do tuby.

— Oni nie rozumieją po polsku, Profesorze.

— „You out, or he die.” — Mateusz nie spodziewał się po Kuli tak słabej znajomości angielskiego. Jednak amerykańanie zrozumieli i przerwali ogień.

— „We will negotiate, please open your forcefield.” — Statki powietrzne zniknęły z pola widzenia, zjawił się za to jeden mały helikopter, z przywiązaną białą flagą. Zbliżał się powoli i stanął w powietrzu, oczekując aż zniknie ochrona.

— To pułapka! — Nadar naskoczył Katarzynie na plecy i skulił razem ze sobą. Chwilę potem olbrzymia eksplozja wstrząsnęła światem. Wszyscy upadli tam, gdzie stali.

— Ja pierdołę. — Nocny pomógł wstać Kosmatej. — Drugiej nie przeżyjemy. Musimy uciekać.

— A zatem to koniec rozmowy. — Kula odłożył lejek na widelki, dotknął kulki na lasce, i wielki kwiat począł zamykać swe płatki. Zaczęli się wznosić.

— Stop! Tam, to chyba daser! — Katarzyna wskazała palcem zieloną linię nad kraterem.

— Skąd...?

— Zaraz przekroją nas na pół!

— A może uciekać do dołu? — Mateusz zaproponował.

— W dół?

— Do wnętrza Ziemi.

— Dałoby się. — Kula popatrzył w podłogę.

— Nie polecą za nami w lawę.

— I też spali się, cokolwiek wystrzelą.

— W spokoju wylecimy potem innym wulkanem, nawet na dnie oceanu.

— A zatem w dół. — Profesor opuścił laskę.

Białe zwierciadło poczęło się zanurzać coraz głębiej w Etnie. Po kilku sekundach, zniknęło pod fontannami płynnych skał. Hałas kotłującego się wnętrza wulkanu wolno niknął i nastała absolutna cisza. Panowała atmosfera przegranej walki, goście podziwiali tekstury dywanów i uciekali wzrokiem od siebie nawzajem, jak gdyby chcieli się przeproszać za wyrządzone szkody. Zaszyfrowane, pokryte niebieskawą poświatą, ciało żołnierza, leżało w kwietniku. Połamane tulipany mizernie wyłaziły spod nietypowej osoby.

— Co powiecie wszyscy na deser? — Profesor przerwał milczenie.

— Jemu też? — Mateusz spojrzał na połamane kwiaty pod pilotem.

— Oczywiście. Tylko trzeba go odpowiednio ubrać.

Wylecieli, rozbijając jeden ze szczytów Islandii. Śnieżna chmura wzbila się w powietrze. Turyści cykali im zdjęcia, z których później i tak nic nie wyjdzie.



Winkla popatrzyła się krzywo.

— Eeee, nieee. To ma być akcja?

— Tak na wymuszenie, ciężko coś dobrego stworzyć. — Antyrax kładł się powoli na ziemi. Trucizna robiła swoje.

— Daj mu spokój, mnie się podobało. — Z cienia wyszedł Everywhere Man. — Ale tylko trochę.

— Trochę za mało, musi być idealnie.

— Nigdy się nie da napisać nic idealnie.

— Przepraszam, ja tu umieram! — Pisarz ledwo siedział.

— Niech mu będzie. — Winkla westchnęła, wyciągając strzykawkę z antidotum. Wyciąg z prac pierwszoklasistów. — Ale czekamy na prawdziwą walkę, w której na prawdę mogą przegrać.



Przed chwilą spadałem prosto w objęcia kulistego UFO. Zaraz potem obudziłem się, przywiązany do krzesła, ubrany w jakieś cyrkowe ubrania. Siedziałem przy eleganckim stole, przede mną, na srebrnym talerzyku, leżał kawałek czegoś, co przypominało ciasto. Jedną rękę miałem wolną. Trzy osoby tajemniczo się mi przyglądały. Wolałbym standardowo trafić na stół operacyjny, z próbnikiem w dupie.

— „Here, have a dessert” — powiedział gość z irokezem. Miałem ochotę rozsmarować mu to ciasto na twarzy, ale może rzeczywiście skończyłbym wtedy z próbnikiem.

— Nadar, co z nim zrobimy? — Jeden z nich, młodszy, zapytał go po polsku. Niesamowite, rozmawiają po polsku! Lepiej nie zdradzać, że rozumiem ten język.

— Damy mu zjeść, a potem rozkroimy i wsadzimy próbnik w dupę, żeby przeprowadzać chore eksperymenty.

— A nie warto wcześniej trochę go przepytać? Zaraz, co?

— Sam nam wszystko wyśpiewa, gdy będzie mutował się w krowę.

— Co, ale... auć... aha, tak najpierw w krowę, a potem w osła. Będzie boleć, oj będzie. — Młody nagle zmienił biegun.

— Potem podrzucimy jakiemuś niewyżytemu seksualnie farmerowi w Afryce.

— Mam lepszy pomysł. Wytniemy mu mózg, wsadzimy do słoika, i podłączymy do sztucznego ciała. Będzie prawdziwym cyborgiem.

— Sprawdźmy, ile taki wojak znesie orgazmów na godzinę. Pewnie wytrzyma z dwa dni seksualnej męki, a potem wysiadzie mentalnie. — Dziewczyna się odezwała.

— Podobno całkiem dobrze sobie radzą w dziczy. Ciekawe, jak długo przeżyje sam w dżungli czerwonych kartaczy. — Starszy pan się odezwał. —

Te smoki bardzo lubią ludzi, najpierw pieką żywcem w swoim ogniu, a potem zjadają kawałeczek po kawałku.

— Albo od razu w całości na surowo, żeby ofiara utopiła się w kwasie żołądkowym.

— Nie, to za szybka i za prosta śmierć. Proponuję zawieść go na Tos, żeby wgryzły się w niego pasożytnicze grzyby.

— Super, przejmą nad nim kontrolę wystarczająco mocno, aby sterować ruchami i jednocześnie na tyle słabo, by zachować pełną świadomość.

— A może po prostu uwolnimy go? Odwieziemy prosto do domu.

— Doskonały pomysł, wsadzą go do wariatkowa i będą męczyć, żeby im coś powiedział. Wyrećzą nas z roboty. Ciekawe, jak zareagują na jego opowieści o bankiecie w kuli?

— Pewnie trafi na stół operacyjny podziemnego laboratorium, z próbnikiem w dupie.

— Dość, zrobię wszystko, co mi rozkażecie! — zawołałem. Nie wierzyłem w ich opowieści, ale też nie miałem ochoty przekonywać się, czy rzeczywiście mam rację.

— Mówiłem, że to Polak? Swoją, swojego wszędzie pozna. — Ten, którego nazwali Nadar, wykonał triumfalny gest. — Więc na początek zjedz ten przepyszny jabłecznik.

Nie za bardzo miałem wybór. Gdyby chcieli mnie otruć, już by dawno to zrobili. Poza tym, rzeczywiście wyglądał przepysznie.

Niepewnie wzięłem widelec w wolną rękę i zjadłem trochę kosmicznego jedzenia. Smakował, jak ciasto które robiła moja babcia, gdy jeździłem z wizytą do Polski. Miękkie, kruche, i lekko ciągliwe. Zjadłem całe i czekałem, aż zacznę mutować w krowę.

— Teraz do rzeczy. Skąd do cholery macie daser? — Nadar wyjął długą pałkę i uruchomił. Zielone lasery wystrzeliły równolegle do trzonu, a całość zawirowała. — Wnioskuje, że domyślasz się, co to robi?

— Nie. Nie mam pojęcia. Nic nam nie mówili, nasz oddział dostał ten laser całkiem niedawno, nie pozwalali nawet go przetestować — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Byłem pewien, że i tak nie uwierzą.

— Zademonstruję ci zatem, jak działa. — Wziął mój karabin i skrzyżował z pałką. Przeszła, jak przez masło, dzieląc moją broń na dwie części. Stalowe ścinki posypały się na stół. — Skąd macie naszą technologię?

— Przysięgam, nie mam nawet pojęcia, co ona robiła! Nie mówią nam tam niczego, wszystko jest w tajemnicy wojskowej. Lecąc na misję, nawet nie wiedziałem, z czym będziemy dzisiaj walczyć!

— Nadar, on chyba mówi prawdę, na pewno nie wtajemniczaliby go w zdobycie broni kosmitów — dziewczyna powiedziała.

— Jak wyglądało pudełko dasera? Co w nim było? Jak je przewozili? Do czego podłączali? — kontynuował.

— Tylko przez chwilę mi mignęło. Było w specjalnym śmigłowcu. W asymetrycznym pudle z dziurą w środku. Dwóch naukowców je obsługiwało. Chyba nie podłączali do niczego zewnętrznego.

— Jedno pudło?

— Tylko jedno, mówili że bardzo cenne.

— Gdzie je przetrzymują?

— Ten śmigłowiec dołączył do nas później, od innej strony, nie leciał razem ze wszystkimi.

Mój rozmówca się rozluźnił i nawet trochę uśmiechnął. Zdziwiłem się, tak samo jak pozostali.

— Chyba mówisz prawdę. To by znaczyło, że musieli ukraść nam kiedyś jakieś daserowe urządzenie, ale wciąż nie wiedzą, na jakiej zasadzie działa.

Milczałem.

— Mateusz, to będzie twoja pierwsza misja. Dowiesz się, gdzie trzymają ukradziony daser i odbijesz go z powrotem.

Mateusz przełknął ślinę.

— To co z nim w takim razie zrobimy? Teraz już na serio. Nie możemy go przecież tak po prostu wypuścić — dziewczyna zapytała poważnym tonem.

— Trzeba pokazać go potworom na sąd. Pewnie wsadzą naszego mordercę do kubistycznego więzienia.

— Czy to nie za ostro? Przecież trochę go armia do mordowania zmusiła. Jest poza tym ta nowa planeta koncentracyjna do zsyłek.

— SS-manni także byli zmuszani do mordowania, żadna ulga mu się nie należy. I nie może być umieszczony z innymi ludźmi, jest za dobrze wyszkolony, wymorduje wszystkich pozostałych. To ma być zsyłka, a nie raj dla psychopatów.

— To może, nie wiem. Zaszifrować go aż do końca wszechświata. To będzie, jak podróż w przyszłość, nawet nie zauważy.

— Przecież to równa się śmierci. Obudzi się po bilionach pulsów tylko po to, aby zobaczyć Apokalipsę.

— Ja spróbuję go naprawić. — Starszy pan odezwał się po dłuższym czasie. Zdziwiłem się.

— Panie Profesorze, ta osoba jest niebezpieczna! Zdradzi i zabije pana.

— Ja wierzę, że każdy może się zmienić. Zrobimy z niego porządnego obywatela Felicji.

— Felicja jest przepełniona, nikt się tam więcej nie zmieści. Chyba nie chce pan wolny domowej?

— To zrobimy drugą Felicję, większą, dzikszą, o ustalonym prawie i dowolnej liczbie obywateli. Będzie równość i tolerancja dla wszystkich istot, będą

mogły żyć w spokoju przed prześladowaniem. Miejsce bezpieczne od przemocy, opresyjnych rządów i odrzucenia. Różnorodne i wspaniałe. Wszystkie kultury wszechświata stanowiące wspaniałą jedność. Prawnie ustale system który dla każdego będzie równy. A to będzie jej pierwszy obywatel.

Wszyscy, prócz Profesora parsknęli śmiechem.

— To już lepiej na zsyłkę. Przynajmniej będzie miał szansę na dożycie starości — Nadar zakończył.

Starszy pan, czerwony ze wściekłości, rozwiązał mnie i poprowadził od stołu. Za plecami słyszałem tylko kolejne wizje, co by się na tej „lewackiej” planecie działo. Chłopacy rzucali obleśnymi pomysłami co do nowych praw, dziewczyna rozpatrywała kto, i jak musiałby ich przestrzegać.

— Zakaz jedzenia mięsa, bo zabijamy biedne zwierzątka.

— Ale takie zesłane smoki, jak mogłyby to przeżyć? One jedzą tylko mięso.

— Myślę, że potajemnie pożywiałyby się innymi obywatelami.

— Na pewno dałoby się napisać ustawę, rozwiązującą ten głodowy problem.

— No co ty, to przecież element ich kultury. Nie możemy zabronić innym być sobą, ty pieprzony rasisto, ha ha...

— ...nie wolno ci zabronić mi być rasistą... musisz tolerować moją nietolerancję...

— ...codzienne ćwiczenia seksualności...

— ...płeć będzie ustalona jako prosta?... jako przestrzeń może?

— Dzisiaj jestem w 49 + 12*i* procentach kobietą.

— ...kwateriony lepsze...

— ...identyfikuję się, jako kamień... nie możesz mnie zjeść...

— ...jestem zjadaczem kamieni... mam takie prawo...

— ...czekaj, czekaj... czy kamienie mają prawo do aborcji?

— ...ustawą...

Schodziliśmy w dół po schodach, śmiechy na górze stawały się coraz bardziej niewyraźne. Ten statek był gigantyczny w środku. Profesor Kula, jak mi się przedstawił, zapytał o moje imię. Zaprowadził mnie do własnego pokoju i zostawił, nawet nie zamykając drzwi. Powiedział, abym dowolnie korzystał z dobrodziejstw Kuli i nie bał się prosić o pomoc. Zaproponował nawet kąpiel w basenie, ale oczywiście odmówiłem. Pokój był bardzo mały i bardzo elegancki. Wszystko w tym obrzydliwym, rokokowym stylu. Większość stanowiło podwójne łóżko z daszkiem i firanką. Do tego kilka krzeseł, stoliczek, szafka, toaleta. To miejsce nie służyło do długotrwałego przesiadywania. Gdyby urwać podpórkę od łóżka, rozbić lustro, związać firanę, rozłożyć na części krzesło, to mógłbym sobie stworzyć jakąś włócznię i tarczę.

Kogo ja oszukuję, jestem bezsilny wobec ich technologii. Zamroziliby mnie ponownie w czasie, gdybym tylko próbował coś odwalić. Albo przezną na pół tą laserową pałką. Będę musiał jakoś uciec. Na każdym statku kosmicznym są kapsuły ewakuacyjne. Trzeba się rozejrzeć pod pretekstem zwiedzania.

Uchyliłem drzwi. Po drugiej stronie był podobny pokój do mojego. Ujrzałem tam, tą dziewczynę w sukni. Malowała się przez lustrem, spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i pokiwała palcem, jak małemu dziecku. Nigdzie nie pójde.

Czyli to jest UFO, a oni są kosmitami. Ale nie byli kosmitami. Tego jednego byłem pewien, no może poza Profesorem Kulą. Bardziej przypominali gości z Ziemi, tak inni od właściciela. Pewnie ich zaprosił do siebie. Gdzie w takim razie lecą? Na wakacje, na inną planetę, czy do swojego kosmicznego domu? Na pewno nie mieszkają na Ziemi, bo używają abstrakcyjnych technologii. To oznacza, że istnieje jakaś pozaziemska cywilizacja ludzi, a może nawet polaków, poza naszą planetą. Skomplikowane to wszystko, nie mniej jednak, z pewnością nie zabiją mnie tak od razu.

Dopiero teraz zwróciłem dokładniejszą uwagę na swój ubiór. Bardzo kosztowny i elegancki. Nie wiedziałem, gdzie jest mój oryginalny mundur. Nie miałem ze sobą nic innego, więc postanowiłem go zachować, może się przydać. Usiadłem na łóżku. Było miękkie i wygodne, dawno nie leżałem na czymś takim, na chwilę położyłem się na plecach. Nawet nie wiedziałem, kiedy zasnąłem.

Obudziło mnie głośnie chrobotanie. Metaliczny dźwięk rozchodził się po całym statku. Szklane ozdoby lekko dygotały, coś atakowało kulę. Stwierdziłem, że skorzystam z zamieszania i wymknę się niepostrzeżenie. Uchyliłem delikatnie drzwi, lecz na korytarzu nikogo nie było.

Moje eleganckie trzewiki hałasowały, jak na występie stepperów. Posuwałem się, zagłuszając swój ruch zewnętrznym dźwiękiem. Jeśli schodziliśmy w dół, a nie widziałem po drodze żadnego wyjścia, to znaczy że musiało być ono na najniższym piętrze, na którym jeszcze nie byłem. Udało mi się dojść do schodów w dół, ostrożnie wychyliłem głowę zza sufitu niższego piętra i zobaczyłem włącz w ścianie kuli. Tego szukałem.

Hałas wyraźnie był tu głośniejszy. Ktoś próbował przewiercić się przez drzwi. Byłem pewien, że reszta mojej grupy przybyła mnie odbić. Któż inny mógłby zaatakować latającą kulę?

Złapałem korbę do otwierania włączu i zacząłem kręcić, jakby od tego zależało moje życie. W tym samym czasie usłyszałem za sobą zbieganie po schodach.

— Puść tą korbę! — Mateusz przybiegł, miał w ręce nóż do masła.

— Wypchaj się, wrócili tu po mnie — odpowiedziałem, odwracając głowę.

— Nikt po ciebie nie wrócił, jesteście pośrodku... — nagle zamilkł i otworzył szeroko oczy, jakby właśnie zobaczył ducha.

Ostrożnie się odwróciłem, podejrzewając, że to wcale nie moja grupa przyszła mi z odsieczą. To, co zobaczyłem, zmroziło mi krew.

W otwartym na oścież włącz, na tle rozgwieżdżonego nieba, lewitował dziadek w wannie. Patrzył się na nas tajemniczo, uśmiechając się. Na głowie miał czepek kąpielowy, w ręce trzymał słuchawkę prysznica, wszędzie były góry piany.

— Witam panów. Czy nie macie może pożyczyć trochę szamponu? Lecę już tak milion lat i wciąż nie mogę dokończyć kąpieli.

Pokręciłem lekko głową.

— Nie szkodzi — zaśmiał się. — Umyję się tobą.

Zamachnął się słuchawką, jak lassem, rzucił do środka i owinał ją wokół mojej nogi. Począł ciągnąć z nadludzką siłą, przewrócił mnie. Złapałem się korby w ostatnim momencie. Owinięta wokół stopy końcówka prysznica była jak macka, próbowałem ją strząsać, lecz zahaczyła się o sznurówki butów. Szarpnął mocniej i obrotowa rękojeść korby zaraz wyslizgnęła mi się z objęcia, poleciałem dalej, w kierunku próżni. Czepiając się palcami puszystego dywanu zobaczyłem, jak Mateusz nadal stoi, zahipnotyzowany. Włosy dywanu były za słabe, aby mnie utrzymać. Wciąż ciągnął mnie do siebie. Złapałem się ostatniej rzeczy przed śmiercią, framugi drzwi. Wtedy też, połową mojego ciała, poczułem zimną pustkę kosmosu. Ktoś delikatnie objął mnie dłonią za kostkę, szarpnął, i plusnąłem w ciepłą wodę.

Wanna lekko się zachybotała po moim wejściu. Zobaczyłem obok siebie wyszczerzoną twarz staruszka. Adrenalina nie pozwoliła mi poczuć, że duszę się w próżni kosmicznej. Złapałem się boku wanny, aby wyskoczyć, lecz moja ręka ześlizgnęła się, jakby była z mydła. Popatrzyłem na swoje dłonie, które topiły się jak воск. Dziadek przejechał gąbką po mojej twarzy, poczułem, jak zabiera mi cały policzek.

Nagle różowy promień wystrzelił ze środka kuli. Znalazłem się w nurcie rwącej rzeki, która ciągnęła wszystko z powrotem.

— Ojojjoj! Nieszczęście — zawołał dziadziuś.

Zobaczyłem Nadara z wyciągniętym pistoletem, jego różowy promień wciągał nasz obu. Wpadłem do lufy i zaraz uderzyłem we wklęsłą, szklaną, ścianę, rozplaszczając się. Wielka twarz obserwowała mnie czujnym wzrokiem. Zaraz od tyłu dobiła mnie lecąca wanna, a potem wpadający do niej dziadziuś. Woda przyszła ostatnia, zalewając wszystko, rozpuszczając mnie. Czułem, że umarłem, wciąż mając świadomość.

Po schodach zszedł Profesor Kula.

— Panie Mateuszu, specjalnie dla pana, wyszliśmy na chwilę z podróży górną warstwą, z powrotem do czasoprzestrzeni. — Nawet nie zauważył, co

się tutaj przed chwilą stało. — Znajdujemy się pomiędzy galaktykami, w wielkiej pustce kosmosu. Najbliższa materia jest się trzy miliony lat świetlnych od nas. Proszę spojrzeć, o tam, to Droga Mleczna, nie jest niesamowita? Tak wygląda z zewnątrz, niczym biała spirala... — Przerwał, rozejrzał się. Popatrzył na Mateusza, Nadara i na mnie, zamkniętego w szklanej bańce.



Winkła opuściła swój miecz i schowała. Nikt nic nie mówił, nikt nie reagował. Antyrax poczuł się obserwowany ze wszystkich, ciemnych zakamarków zaułka.

— Za bardzo skomplikowane i chaotyczne — odpowiedziała.



Miałem dość. Omal nie zamieniliśmy się wszyscy w szampon. Chciałem spać, chciałem wreszcie uciec od kosmosu, latającej po nim uniwersalności i kręcącego w nosie pudru. Obudzić na miejscu, na Felicji. Jednak nie byliśmy nawet w połowie drogi.

Zastałem Profesora i Kosmę w salonie, zasnęli przy kawie. Z biblioteczki dobiegał głos wertowania książek. Na stole leżała zabezpieczona kulka wymiarowa. Mały dziadzius w środku mył się w najlepsze, niesamowitą ilością piany. Od czasu do czasu kupka bąbelków poruszała się samoczynnie, jakby chciała uciec z wanny, lecz nic jej to nie pomagało. Zasłużył na to.

Obudziłem śpiochów i poinformowałem, że mam dosyć i idę myć i spać. Kula coś jeszcze mówił o jakimś występie kabaretowym na scenie, cieście biskoptowym i chińskiej herbacie. Katarzyna podniosła się i wolno poszła w kierunku schodów. Znowu spadła.

Miałem wrażenie, że wszyscy mieli dość, wszyscy z wyjątkiem Mecha. Po przejrzeniu chyba całej biblioteki męczył mnie, żebym mu wyjaśnił jak zła pałem uniwersalność do nieprzekraczalnego szkła wymiarowego, co się stanie z porwanym żołnierzem, gdzie żyją smoki, kto to są potwory itp. Siedziałem akurat w jacuzzi, uważając żeby nie zasnąć i się nie utopić i nie miałem żadnej ochoty na rozmowy o infrastrukturze.

— Wasza praca zawsze tak wygląda? — męczył mnie.

— Tak.

— I często natrafiacie na takie dziwne zjawiska?

— Tak.

— I zawsze udaje wam się wygrać?

— Tak.

— Nie wierzę w to, kłamiesz.

— Tak.

— No dobra, a na górze w bibliotece jest Atlas Wszystkich Istot Wszechświata, ale jest trochę cienki. Większość zajmuje Ziemia.

— Tak.

— Czy to prawda, że istnieje tak mało żywych istot? Ledwo kilka planet? Kilkadziesiąt gatunków smoków?

— Tak.

— Zawsze będziesz odpowiadał mi „tak?”

— Tak.

— Jesteś chamski.

— Tak.

Poszedł sobie w końcu.

Wtem fala zimnej wody wylała mi się na głowę. Mech trzymał puste wiadro z wodą do polewania pieca.

— Zabiję cię — wyszczałem przez zęby.

Nie uciekł, a stał tylko z wyrazem twarzy, który ja sam bym przyjął w takiej sytuacji. Nienawidziłem go za to, że potrafił być tak podobny do mnie.

— Dobra Mech, włącz. Pogadamy. — Już mi się nie chciało spać. więc równie dobrze mogłem obudzić się rozmową jeszcze bardziej.

— Mech?

— A jak mam cię nazywać? Mateusz to takie nudne imię, a twoje nazwisko brzmi jak „Mechaniczny”, to prawie jak Mech. Ja bym był dumny z takiego przezwiska, znaczy gdybym nie lubił swojego własnego, słowiańskiego imienia.

— Niech będzie Mech, co właściwie tam się stało? — zapytał, zdejmując ubranie.

— A jak myślisz? Powiedz, co wywnioskowałeś z tego zdarzenia?

— No więc, uniwersalność to... taka jakby magia. — Zanurzył się w bąbelkach.

— Poprawnie. Zachowuje się jak stereotypowa magia, jaką znasz z książek i filmów. Jednak z tą różnicą, że nie można jej w żaden sposób kontrolować.

— Ale... — Myślał przez chwilę. — Jak ją więc przechwyciłeś?

— Sacroteria jest silniejsza. Sacroteria może być wszystkim, w szczególności może sterować uniwersalnością. Jest sterowana bezpośrednio przez zasady Matrycy.

— To nie wyjaśnia, jak dziadzio znalazł się w zamkniętej kuli.

— Pikler ma mały moduł tunelowy. Działa trochę, jak kwantowy efekt teleportacji cząstek. Z jednej strony wchodzi dowolna materia, zaraz pojawia się kilka centymetrów dalej, w słoiku...

— ...a ściana jest ze szkła wymiarowego, przez którą nic nie przejdzie.

— Poprawnie.

— A czy ten uniwersalny dziadzio nie może po swojej stronie sam stworzyć czegoś podobnego do modułu tunelowego? I przeteleportować się z powrotem?

— Nawet jakby stworzył, nie będzie on działał, gdyż wewnątrz kuli nie działają zasady Matrycy, moduł tunelowy nie będzie miał swego rodzaju zasilania. To trochę jak klucz bez zamka, albo silnik bez prądu. To Matryca mówi, że w miejscu, gdzie jest nasz moduł, ma powstać tunel. A nie, że moduł sam z siebie tworzy tunel. Moduł jest jedynie wskaźnikiem dla Matrycy. Rozumiesz?

— Chyba tak, czytałem coś o tym przed chwilą w bibliotece.

— Co innego czytać, co innego zobaczyć. Dopiero jak ujrzysz Matrycę przez sufit górnej warstwy i dotkniesz ręką ściany wszechświata, zrozumiesz.

Obudził mnie dźwięk opuszczanego włazu. Wygramoliłem się z elegancckiego, acz niewygodnego łóżka, przebrałem w normalne ubrania i zszedłem na dół. Przy wyjściu spotkałem naszego Profesora. Trochę nafukał na mnie, że jak śmiem chodzić po Kuli bez należytego ubioru, lecz miałem to gdzieś. Wrota były otwarte na oścież, a czerwony dywan rozłożony w całej swej długości.

Rześka atmosfera porannej Felicji dobudziła mnie. Było już jasno, lecz słońce chowało się jeszcze za horyzontem. Wylądowaliśmy na głównym placu w centrum, uliczny bruk mienił się od rosy, w gazowych lampach tańczyły małe płomyczki, choć nie rozjaśniały już nocy. Nikt jeszcze nie kwapił się do wyjścia na ulicę. Albo Profesor Kula tak często odwiedza ten świat, że wszyscy przywykli, albo nikt nie wyszedł, ponieważ akurat była niedziela. W oddali z mgły wyłaniały się wieże lądownicze dla statków kosmicznych. Na jednej z takich, sądząc po kształcie, stał prawdopodobnie śmieciolot. Na ławeczce siedział Mech i popijał poranną herbatę. Wszystko było w należytym porządku.

— I jak ci się podoba Felicja? — zapytałem.

— Wygląda bardzo przyjemnie, mógłbym tu mieszkać. Ale nie wiem, czy by mi pozwolili. Czytałem, że ta planetka została stworzona sztucznie, jako oaza szczęścia dla ludzi. Segregacja kandydatów na mieszkańców jest bardzo duża.

— Oaza szczęścia w teorii. W praktyce, oaza niestabilności, permanentnie leżąca na skraju wojny domowej. Albo dokładniej mówiąc, biorąc pod uwagę ilość obywateli nie przekraczającej setki, na skraju sprzeczki rodowej.

— Wiem, początkowo był tutaj perfekcyjny komunizm, jako poprawnie działający w bardzo małych społecznościach, na przykład w rodzinach, ale niedoszacowano ilości osób, dla jakich będzie poprawnie działał i teraz wszyscy szukają alternatywnej ideologii do zastosowania.

— Ideologia i system społeczny zmienia się regularnie. Mieliśmy już megapuls monarchii absolutnej, megapuls czystej demokracji, megapuls tyranii rasowej, megapuls jakiegoś czegoś gdzie każdy miał chodzić w anonimowej masce, już nie zliczę.

— Jak myślisz, co teraz jest?

Wzruszyłem ramionami.

Poprosiłem Mateusza ze sobą i poszliśmy w kierunku ratusza głównego. Wszędzie było dziwnie pusto, jak gdyby nikt tutaj nie mieszkał. Chyba to jednak nie było z powodu niedzielnego poranku. Na wszelki wypadek trzymałem rękę na szyfratorze.

— To logo ALOPP, co masz na piersi, czy ma jakąś symbolikę? — zapytał.

— Potworan z księżycami. Nasza główna planeta. Na środku jest mały okrąg z pionową średnicą, oznacza bazową planetę i drzwi do lepszego świata, czy jakoś tak. Drugi, większy okrąg z poziomymi połączeniami wewnętrznego to cywilizacja potworów, jeśli dziewiątkę istot można w ogóle nazwać cywilizacją. Nadbudówka na planetę, wielkie mosty, jakieś wieże, laboratoria, elektrownie, fabryki. Wszystko automatyczne. Ciągnie się od horyzontu po horyzont oznaczony poziomymi kreskami. I jeszcze osiem kółek wokół to niezliczone księżyce.

— Nieźle.

— Ja wiem, mało ludzi, wielka pustka, nieistniejąca prawie przyroda, brak gwiazd na niebie, nie ma z kim pogadać. Wolę chyba tutejsze planety, ciekawsze.

— Zazwyczaj dom nie jest tym, co jest najbardziej niezwykle na świecie, prawda? Musi być jedynie przytulny i bezpieczny.

Wtem zza rogu wyskoczyło na nas wielkie monstrum. Było wysokie na kilka metrów, ważyło pięć ton i miało pomarańczowe łuski. Wylądowało metr od Mechalycznego i ryknęło mu z całej siły prosto w twarz, strosząc kolce. On jednak nawet nie zareagował.

— Plazma, nie wygłupiaj się — powiedziałem.

— Dziwne, nawet się nie poruszył — ryknął w odpowiedzi.

— Może umarł ze strachu tak szybko, że nawet nie zdążył podskoczyć? — zaproponowałem.

— Ja cię kiedyś widziałem — Mateusz się odezwał, oglądał Plazmę, jak eksponat muzealny. — Byłeś kiedyś na targach fantastyki w Poznaniu, prawda?

— I to nie raz. — Plazma wyszczerzył trójkątne zębiska. — Widziałeś mnie tam? Miło czasami pochodzić wśród obcych, nie martwić się że zaczną uciekać z krzykiem.

— To ty zawsze wygrywasz konkurs na najlepszy cosplay, tak? Od początku byłem pewien, że to jednak nie był strój. Zbyt realistyczny. Do tego czasami zapominałeś się i nie chodziłeś sztucznie sztywno, jak z kartonu. Wyginałeś pod sobą parkiet, żadna osoba nie utrzymałaby na sobie tak ciężkiego kostiumu — Mech się rozgadał. — Ale oczywiście, jak mówiłem wszystkim że to nie jest żaden sztuczny twór plastyka, tylko prawdziwa istota z kosmosu, to mnie wyśmiewali.

— Widzę, że jesteś szczegółowy.

— Ja żyłem twoją tajemnicą przez kilka miesięcy! — opowiadał. — Ty nawet nie wiesz, jaką histerię wśród innych przebiegających się spowodowałeś. Wszyscy chcieli wiedzieć kim jesteś i z jakiej gry była twoja postać. Właściwie to nawet stworzyli twój trójwymiarowy model ze zdjęć, chcąc zbudować sobie twoją kopię.

— To by wyjaśniało, dlaczego ostatnio tak często mnie fotografują.

— Obejrzyj YouTuba czasami. Teraz wiem, że od początku miałem rację!

— To może następnym razem zrobię tak: — Plazma podniósł łapy, z których wystrzeliły ogniste płomienie i uformowały się w kształt Mateusza. Ognisty Mateusz spojrzał na prawdziwego Mateusza, prawdziwy Mateusz popatrzył z powrotem. Potem pomarańczowy duch rozmył się na wietrze. — Ciekawe, ile wystawcy zapłaciliby mi za zrobienie tak z ich logami?

— Zrób to, nie mogę się doczekać jak YouTuberzy zaczną studiować książki od fizyki, próbując wyjaśnić to zjawisko. Może któryś spali swój dom, chcąc cię potem naśladować.

— Znamy się od niecałego kilopulsa, a ja już cię lubię. — Zamachał ogonem. — Nie myśl jednak, że dam ci fory. Lecimy na Planetę Wojny, dołączysz do Komodowej armii.

— Ta armia z pustyni, która ubiera się w pancerze wspomagane? — zapytał. — Kula miał u siebie książkę na temat tego świata. Tylko nie napisali, skąd nazwa.

— Sam się przekonasz, dlaczego Komodowa. Będziesz tam nowym rekrutem, odbędziesz wyczerpujące szkolenie na ich żołnierza. Komody szykują się na ofensywę Hirten, po tym jak grupa imigrantów z północy wprowadziła się do wyludnionego miasta, uciekając przed wirusem rozpylonym nad ich krajem przez Czarnych. Czarni rozpylili go, jako odwet za zajęcie złóż ropy na biegunie i sprzedaż jej po konkurencyjnej cenie do Kraju Adezeli, przez co spadł im eksport i... no sytuacja polityczna jest tam na tyle skomplikowana, że nawet politycy się w niej nie ogarniają.

— Ciekawie się tam dzieje.

— Niektórzy mówią też na nią Planeta Chaosu. Będę cię potajemnie obserwował i wydobędę z opresji, gdyby coś się działo...

— Przypomniało mi się. — Wręczyłem potworowi kulkę z dziadziem i półpłynnym szampo-żołnierzem. — O mało nas także nie zmydlił.

— Cholera, to już drugi, mnożą się, czy coś?

— Ten ma różową słuchawkę od prysznica, tamten miał zieloną.

— Czyli pewnie wylał się z głównego słoja jakiś wszechświat wannodziadziusiów? Ilu ich jeszcze może być?

— Gorzej, że jego wąż nie jest uniwersalny, więc ignoruje tarczę przeciw uniwersalności wokół Kuli. Przypadkowo uratowaliśmy takiego żołnierza, dziadzius wyciągnął go ze statku jak lassem, wrzucił do wanny i zmienił w pianę.

— Wąż jest z normalnej materii? Skąd oni wzięli te węże w pustce kosmicznej?

— Dziadzius nie był rozmowny, ale wydusiłem z niego, że kupił je w pewnym sklepie Kanadzie. Zadzwoiłem do sprzedawczyni i potwierdziła, że kilka razy zjawił się u nich nagi dziadzius, odziany jedynie w czepek i pianę.

— I nie zadzwoniła po policję?

— „To byłoby rasistowskie zachowanie.” — Imitowałem wysoki głos.

Przerwały nam wołania dwójki osób z daleka. Przymoczarscy.

— Hej, to zakazane pokazywać swoją postać! — Magda Przymoczarska dopadła naszą grupkę. — Wedle obecnego prawa, każdy obywatel ma obowiązek być niewidzialny.

— Co wy znowu odpierdalacie. — Przewróciłem oczyma. — Gdzie jest twój małżonek Michał?

— Michał przestrzega prawa. Wytlumaczę wam zaraz tą wspaniałą ideę. — Wciągnęła dużo powietrza. — Zatem. Nosząc pelerynę niewidkę, obywatel nie ma poczucia, że musi żyć tak, jak większość. Nie sugeruje się czynami innych, w związku z tym popełnia lepsze decyzje dla siebie.

— Ale także nie zostanie nigdy sprowadzony do bezpiecznej normalności, gdyby odleciał w swoje własne widzimisie, gdyż normalność nie jest w tym momencie zdefiniowana przez nieistniejącą społeczność. — Mateusz zauważył.

— Tak, ale skąd wiadomo, że powszechnie przyjęta normalność, zdefiniowana przez społeczność, jest najlepszym wyznacznikiem dla wszystkich? A może to właśnie ty masz najlepszy pomysł w rozwiązaniu problemu, a nie większość?

— Wtedy każdy będzie robił wszystko po swojemu i powstanie niekończąca się wojna o tak nieznaczące zagadnienia, jak sens noszenie ubrań, czy sposób używania sztućców, gdyż każdy będzie chciał to robić na swój własny, w jego mniemaniu najlepszy, sposób.

— A czy konieczne jest, aby każdy nosił ubrania? Abstrahując od tego, że są niewidzialni. Czy sensem życia jest sposób jedzenia, czy samo jedzenie?

— To co będzie bronić człowieka przez sranie na ulicy, jeśli sobie wymyśli, że tak powinno się robić? — Mateusz się już denerwował.

— Wykształcenie. Będzie wiedział, że zarazki z kupy dosięgną jego samego, więc nie będzie popełniał autodestrukcyjnych czynów.

— A odpowiedzialność? Jeśli zrobię społeczeństwu coś złe, no nie wiem, zepsuję przypadkiem latarnię, to nikt nie dowie się, że to ja to zrobiłem. W efekcie nikt nie będzie czuł się odpowiedzialny za dobro ogólne.

— Będzie, ponieważ sam korzysta z tego dobra ogólnego. I jeśli on popsuje lampę, to inni mogą zrobić to samo, z na przykład ławką, na której co poranek siada. Zatem zakładając dobre intencje pozostałych osób, postara się naprawić wspomnianą lampę dla dobra ogółu, gdyż inni także naprawiliby rzeczy z których on sam korzysta.

— Nie można zakładać, że ludzie są tacy dobrzy. Jedna zła osoba rozwaliby cały system.

— Felicjanie są wybrani spośród wąskiej grupy osób. Wszyscy są wykształceni, mówią tym samym językiem, mają wspólną wiarę. Możemy zakładać rzeczy, niezakładalne w prawdziwej mieszance społeczeństwa Ziemi. Nie ma tu złych.

Mateusz chyba odpuścił. Plazma jednak nie.

— Jebcie się wszyscy. Mateusz ma rację. Wystarczy jeden zły, aby całe to społeczeństwo przewróciło się na kolana. Co, jeśli tym złym nie będzie obywatel, ale na przykład podrzucony owoc klonu — zapytał rykliwym głosem.

— Ktoś, kto wygląda jak jeden z was, ale zachowuje się zupełnie inaczej.

— Zniszczy go pierwsza, lepsza osoba, ponieważ jest wyedukowana w detekcji różnych zagrożeń wszechświata.

— Ale co jeśli będzie za słaba na zniszczenie tej postaci? — wtrąciłem.

— Wiesz, może się zdarzyć nawet zdalnie sterowany, czerwony kartacz.

— Poruszamy już kwestię zewnętrznego bezpieczeństwa społeczności, a nie działania samej ideologii. Taki kartacz zostanie zabity przez zbiorową społeczność dla dobra ogółu, rozmawialiśmy przed chwilą o tym.

— Nie prawda, jeśli teraz wyleciałby na nas jakiś smok, którego pokonanie wymagałoby udziału kilku osób z bronią, to skąd miałbym wiedzieć, czy mam uciekać, bo jestem sam, czy walczyć, gdyż pozostałe osoby są obok mnie, ale niewidzialne. — Mech agresywnie gestykulował. — Już wiem. W waszej społeczności nie da się rozwiązać problemu, do którego rozwiązania potrzeba więcej jak jedną osobę.

— Racja... — Magda zapisała coś w swoim notesiku. — Więc niech każdy nosi przy sobie szyfrator, aby samodzielnie pokonać każde zło. A wszystkie inne problemy rozwiąże automatyzacja.

— Głupiaś. Ja, ognisty potwór, nie potrafię czasami się skutecznie obronić, myślisz że wystarczy dać człowiekowi broń, a będzie wszechmogący? —

Plazma skończył rozmowę. — Chodźcie, trzeba zdjąć z Mateusza te rokokowe błyskotki.

— Stać, musisz być niewidzialny, inaczej zostaniesz usunięty z Felicji.

— Według demokratycznego głosowania?

— Według mojej własnej decyzji, podjętej dla dobra ogólnego, popartej moim wykształceniem w kierunku...

— To ja prędkiej was usunę. — Zamyślił się. — Niniejszym podbijam zbrojnie Felicję i ustanawiam się absolutnym królem do końca dnia. Cośtam, cośtam. Możecie zbrojnie wystąpić, ale nie widzę waszej wygranej z tym: — Wskazał kleszczami głowę, na której pojawiła się świecąca korona. — A to są moi niewolnicy. Zakazuję wam rozmowy z nimi.

— Ale...

— Wprowadzam prawo, że Magda Przymoczarska nie może się odzywać do końca dnia.

Mechaniczny się chichrał, Magda wymachiwała rękoma, Michał wyłączył niewidzialność na pasie, jego wyraz twarzy mówił „a nie mówiłem?”

Poszliśmy do automatycznego krawca. Na Felicji maszyny robią za ludzi większość roboty, lecz to ludzie muszą je obsługiwać. Inaczej oszaleliby z dobrobytu i nie szanowaliby swoich własności. Jeśli chcą, na przykład, zrobić sobie ubranie, muszą najpierw posadzić bawełnę, zebrać ją, przygotować i na koniec wymyślić projekt do wydrukowania na maszynie. W ten sposób sami pracują na swoje dobro. Na Felicji nie używa się pieniędzy, ale im ktoś pracowitszy, tym bogatszy, gdyż sam sobie swoje dobro wyprodukował. Pieniędźmi jest niejako wymiana usług. Ktoś zbierze dwa razy bawełnę, dla siebie i dla kogoś, kto zaprojektuje ciuch także jemu.

Krawiec znajdował się na głównym placu. Za szybą stała maszyna, stylizowana na XIX wiek. Ekran komputera obsługującego miał piksele jako bolce wyskakujące z metalowej matrycy. Po oświetleniu ostrym światłem z góry, za pomocą cieni tworzył czarno-biały, lecz w pełni funkcjonalny, interfejs graficzny. Doskonale to współgrało z ogólnym stylem planety.

— Nie mamy bawełny. — Zauważył Mateusz.

— Normalnie musiałbyś ją najpierw zebrać, żeby użyć w maszynie — Plazma chrząknął — ale trochę sobie oszukamy system. Nadar, masz swój komunikator?

Włączyłem na komunikatorze tryb ściągania materii, kolorowe cząsteczki zaczęły tryskać z obramowania, żeby utworzyć przed ekranem kawałek nici. Ostrożnie pociągnąłem nowoformowany sznurek i wsadziłem do maszyny.

Tymczasem Mateusz na analogowym ekranie projektował swoje ubranie. Jak na kogoś, kto miał pierwszy raz styczność z naszą technologią, szło mu całkiem dobrze. Tworzył sobie bluzę i dresy, podobne do moich. Wygodne ubranie przyda mu się na Planecie Wojny.

Gdy skończył, wyciągnął z maszyny bardzo ciekawy zestaw. Miał potworowy charakter, lekki zarys kółców na plecach i rękach, oraz zwiększoną ilość materiału na rękawach i piersi. Dzięki temu Mech wyglądał na nieco większego i groźniejszego. Do tego wyprodukował sobie sporo zapinanych kieszeni. Spodnie były szerokie i nieuciskające, w sam raz do biegania i skakania nad przepaściami. Kaptur miał wbudowaną kominiarkę, żeby chronić przez zimnem, lub wzrokiem innych. Powiedział, że zawsze o czymś takim marzył. Zaczynałem się go bać.

Poszliśmy następnie na dworzec tramwajowy. Pojedyncze, zasilane elektrycznie platformy na szynach, automatycznie wychodziły z tunelu. Wsiadliśmy do jednej, Plazma poszedł na tył, rozwinął skrzydła, i swoimi silnikami odrzutowymi popchnął pojazd, biorąc nas na szybką przejażdżkę po planecie. Było jak na kolejce górskiej, ale szybciej i mniej wyboisto. Próbując przekrzyczeć hałas wiatru i silników Plazmy, pokazywałem mu mijane miejsca.

Felicja jest mniejsza, niż ziemski Księżyc, ale posiada kawałek gwiazdy neutronowej w jądrze, dzięki czemu jej grawitacja jest podobna do ziemskiej. Minęliśmy pola uprawne, na których rosły wszystkie rośliny potrzebne do wyżywienia planety. Dalej hodowle różnych, nie tylko ziemskich zwierząt. Były automatyczne fabryki, na których można było dla siebie stworzyć dowolne przedmioty. Istniały także elektrownie termojądrowe do zasilania całego systemu.

Ponadto małe morze z plażą i bezludną wyspą, ośnieżona góra do wspinaczki i jazdy na nartach. Tajemnicza wielka jaskinia z mnóstwem zakamków. Był las z prawdziwymi dzikimi zwierzętami, bagnem, polanami i jeziorami. Wszystko małe i symboliczne, idealne do szybkiego wypadu. Na większe wakacje należało zazwyczaj lecieć na inną planetę.

Zatrzymaliśmy się w felicjańskiej katedrze, na obowiązkową niedzielną mszę. To zabawne, z tym nowym prawem niewidzialności byliśmy jedynymi w kościele. Otaczały nasz śpiewy znikąd, a nad ołtarzem lewitowały przedmioty.

Skończyliśmy wyprawę przy wieżach do lądowania statków kosmicznych. Rozsiane były luźno na dużym terenie, aby nie przeszkadzały sobie nawzajem. Zatrzymaliśmy się pod tą właśnie konstrukcją, którą widziałem wcześniej nad ranem. Obły kształt śmieciolotu majaczył na szczycie.

Wjechaliśmy windą na korbę, Plazma polecił Mechowi kręcić. Dzielny, wniósł mnie, siebie i Plazmę na sam szczyt, łącznie prawie siedem ton. Zmachał się tym całkiem nieźle, musiał przerywać kilka razy na odpoczynek, ale udało mu się. Potwór był pod wrażeniem. Powiedział, że chciał go zahartować przed testem. To był oficjalny koniec bankietów, zwiedzań i przejażdżek. Teraz będzie ciężka praca.



Spostrzegł, że nie ma już ani Winkli, ani Everywhere Mana. Był sam w całym miasteczku. Albo też demony chciały, żeby myślał, że jest sam.

Począł przechadzać się po wyludnionej, jak morderczy psychopata szukający swojej następnej ofiary. Zaglądał do dziur, wołał do studni. Nic. Postanowił zwabić pozostałe demony tym, co lubiły najbardziej. Usiadł na środku, zaczął opowiadać. Tylko co lubiły? Musi pisać w odpowiednim stylu.



— To jak tam u ciebie? Jak minęła podróż? — Zapytałem się Mateusza, puszczając stery śmieciolotu. W kosmosie i tak w nic nie uderzy.

— Jakoś.

— Słyszałem, że podziwiałeś mnie na targach w Poznaniu. Podobałem ci się?

— Taaak... — Mateusz zrobił dziwną minę.

— Przede mną nie musisz się ukrywać. Powiedz, co czujesz.

— Co ja czuję. — Skulił się w kąt rakiety.

— No to w takim razie powiem ci, co ja czuję. — Złapałem i zdjąłem mu majtki. — Pokażę, jak robią to kosmici.

— Puść, zostaw!

— W kosmosie nikt nie usłyszy twojego krzyku.



— Dość, wystarczy! — Antyrax usłyszał wołanie ze studni. — Nikt nie chce pedalskiego, międzyrasowego kosmicznego gwałtu półjaszczura na człowieku!

— W nieważkości — dodał autor.

— Aaaahhh!

No to wygląda na to, że to nie jest jedna z tych rzeczy, które demony lubią. Spróbujmy jeszcze raz.



Śmieciolot był olbrzymim statkiem. Nazywały się tak, ponieważ były w pełni mechanicznie tworzone ze słabej jakości materiałów i na prostej mechanice. Idealne na misje w niebezpieczne miejsca, gdzie ich ewentualna strata nie będzie dużym problemem. A co najważniejsze, nikt nie wyciągnie z nich żadnej cennej technologii.

W śmieciolocie numer 877 wszystko trzeszczało. Ten statek dawno powinien się rozlecieć, lecz nadal się jakoś trzymał. Połowa urządzeń nie działała. Od systemu wykrywania uniwersalności, po żarówkę na korytarzu.

Lewitowałem w ciemnościach, niesiony bezwładnością w nieważkości. Kłuczące korytarze ciągnęły się po całym kadłubie. Dwa razy przebijałem się przez zasłonę z kabli, raz trafiłem na ślepy zaułek.

W końcu doleciałem do kajuty Mateusza. Zapukałem, echo rozniosło się po ścianach. Nikt nie odpowiedział, więc wszedłem do środka. Kajuta oświetlona była przepalającą się żarówką. Poduszki, rzeczy osobiste i papiery unosiły się bezwładnie po przestrzeni. Nigdzie nie było człowieka, wyglądało na to, że opuścił to miejsce w pośpiechu.

Moją uwagę przykuła świeża ściana, stojąca na środku pokoju. Wykonana była z dziwnego, metalicznego materiału. Jej obecność nie miała konstrukcyjnego sensu. Podpłynąłem, aby się jej bliżej przyjrzeć.

Wtem usłyszałem daleki chrobot i padła elektryczność. Ciemność pożarła mnie razem z całym statkiem. Zapaliłem ogień w ręce. Pomarańczowe, migotliwe światło wydłużało cienie i poruszało ścianami. Spostrzegłem, że tajemnicza ściana zniknęła, nie było po niej żadnego śladu. Jak to możliwe?

Wypłynąłem na korytarz. Ogień mógł oświetlić jedynie kilka metrów w jedną i w drugą stronę. Skierowałem się w prawo, bo stamtąd przyszedłem. Leciałem środkiem przez kilka kilopulsów, aż trafiłem na zamknięty właz. Nie przypominałem sobie, żeby tutaj był. Złapałem go pazurami, zaparłem się ogonem o ścianę i spróbowałem przekreślić koło. Piszczący dźwięk rozniósł się po korytarzach, echo odpowiedziało straszliwym jękiem. Aż mi się łuski zjeżyły na ogonie.

Pokręciłem jeszcze, odpowiedział mi syk. Za drzwiami musiała być próżnia. Mateusza na pewno tam nie było.

Poleciałem więc w drugą stronę, minąłem jeszcze raz kajutę w której byłem i zamarłem. Przed biurkiem siedział wyschnięty szkielet. Nie Mateusza. Jednak skąd się tu wziął? Nie pamiętam aby ktoś na ostatnich misjach zaginął. W ręce miał długopis, w kartce wybita była dziura od nadmiernego pisanie w jednym punkcie. Nie dało się rozczytać, litery były zapisane jedna na drugiej po kilka razy.

Poleciałem dalej, trafiłem na ścianę. Jak to możliwe? Obmacałem ją, jakbym nie był pewien, czy jest prawdziwa. Składała się z tego samego materiału, co ta w kajucie.

Wściekły uderzyłem pięścią w środek, odpowiedział głuchy dźwięk, pazury weszły mi do połowy. Ze środka zaczęła kapać gęsta ciecz i spływać po ścianie. Przecież panowała nieważkość! Odbiłem się w drugą stronę. Poleciałem z powrotem. Lecąc, trzeci raz zajrzałem do kajuty. Była zamknięta, chociaż pamiętam, że nie dotykałem wtedy drzwi.

Doleciałem do służy. Była otwarta na oścież. Kto? Kiedy? Jak? W służy latały papiery, pośrodku stała nienaturalna ściana. Znowu kajuta.

Wtedy wróciła elektryczność. W żółtym świetle żarówki zobaczyłem, że ktoś leży w łóżku. Mateusz wstał i przetarł oczy.

— Plazma, wyglądasz jakbyś zobaczył ducha — powiedział.

— Coś się dzieje. Mamy uniwersalność na pokładzie!

— Nie opowiada...

Światło ponownie zgasło. Na miejscu Mateusza wisiał w powietrzu szkielec. Ściana także zniknęła.



Nikt nie wyszedł. Może horrory to nie jest ich domena. Szkoda jednak psuć taki dobry horror. Może trzeba go przerobić.



Dość! Skupiłem w ręce promień standardowy i strzeliłem w lewitujące kości. Laser przeciął czaszkę na pół.

Potem posłałem falę ognia, wszystkie papiery zapaliły się jasnym światłem. Otoczony tańczącymi iskrami odwróciłem się do korytarza. Wycelowałem w ciemność i skierowałem w nią ogniki. Ściany zajęły się ogniem, zmusiłem niepalne żelazo do palenia się.

Rozgrzałem pięść do białości, rozciągnąłem skrzydła i poleciałem w kierunku naprzeciwległej ściany. Za mną rozciągało się ogniste piekło. Rozciągnąłem na sobie pole siłowe. Z całej siły uderzyłem w to samo miejsce, gdzie wcześniej. Sztuczna ściana rozpadła się, jak szkło. Czarna ciecz ochlapała mnie, widziałem od wewnątrz kulistej bańki, jak spływa po ściankach, jak spala się w żywym ogniu. Ostatkiem sił próbowała przebić się przez moją tarczę. Rozgrzałem ją wtedy do tysiąca stopni. Ciecz w mig wyparowała, jak woda wylana na patelnię.

Okazało się, że przebiłem się do maszynowni. Języki ognia lizały mnie przez wybitą dziurę. Zobaczyłem Mateusza. W jednej ręce miał karabin, w drugiej daser. Daserem ciął wszystko, co się ruszało, karabinem strzelał naokoło, aby poruszać się siłą odrzutu. Czarna maź formowała co chwila sztuczne ściany, pluła losowymi przedmiotami.

Standardowym promieniem ciąłem ją na kawałki, nic to nie dawało. Przynajmniej zwróciła na mnie uwagę i przestała atakować Mateusza. Ogniste podmuchy widać trochę ją spowalniały, iskry przebijały się przez sztuczne ściany.

Zaczęło się robić gorąco. Pomyślałem o człowieku. Widać, że ocierał co chwila pot z czoła. Ledwo dychał.

Na ścianie zobaczyłem skafander kosmiczny i butle z tlenem. Ryknąłem i rzuciłem je człowiekowi, złapał. Wtedy otoczyłem go kulistą tarczą, jak przed chwilą siebie i rycząc, wypuściłem z wnętrza cały mój wewnętrzny ogień. Ściany poczęły się topić. Uniwersalność zapaliła się ogniem. Guma z kabli wyparowała.

Ostatkiem sił uderzyłem standardowym promieniem w dolną ścianę. Przebiłem się przez zmięczony ogniem kadłub i otworzyłem dziurę na próżnię. Wielki lej ognia uformował się w kierunku wyłomu i porwał nas. Wystrzeliliśmy w kosmos, jak korek z butelki.

Popatrzyłem się za siebie. Tył rakiety jaśniał pomarańczowym światłem, gejzer ognia wylatywał przez wybitą przeze mnie dziurę. Mateusz, zamknięty w kuli, także podziwiał.

Gdy ubrał się w skafander, opuściłem pole siłowe i usnąłem z wyczerpania.



Nie? Nikomu się nie podoba? To może... nie wiem.



Lecę przez miliardy gwiazd.
Niczym martwy pingwin patrzący na spadający śnieg.
Nieobecny oczyma patrzy się w niebo.
Martwy.

Obca galaktyka.
Obce gwiazdy.
Obcy człowiek przy boku.
Wkrótce martwy.

Minie milion pulsów.
Minie miliard pulsów.
Nie będę martwy.
Lecz czym jest nieśmiertelność w nieistnieniu?

Rozżarzony statek.
Niczym iskra pośród gwiazd.
Niczym gwiazda pośród iskier.
Także zgaśnie.

Uniwersalność była.
Uniwersalność się skończyła.

Uniwersalność będzie na wieki.
Z wieczności uniwersalność powstała.

— Daj spokój. Zaczynasz przynudzać — Mateusz jęczał.

— Trochę nudy potrzeba po tym, jak prawie zuniwersalizowało nas życiem.

— Może. W każdym razie nie ma to znaczenia. Żyjemy, prawda? Poza tym jesteśmy już w układzie Planety Wojny. Za kilka godzin trafimy do celu.

— Nieźle sobie poradziłeś, tak w ogóle.

— Ja? Przecież to ty mnie uratowałeś.

— No, ja to ja. Ale tym miałeś jedynie laser i przeżyłeś! Mało kto przeżywa atak aktywnej formy uniwersalności. — Chciałem mu teraz wytłumaczyć jej podział na typy, ale zmieniłem zdanie. — Skąd ty w ogóle masz daser? To zbyt cenna technologia, aby instalować ją w śmieciach. Pomyśl, co by się stało, gdyby uniwersalność ją przejęła.

— Wiem. Przeżyliśmy u Kuli atak wojsk USA, mieli ukradziony daser i prawie nas przecięli na pół.

— No, no.

— Katarzyna podarowała mi swój własny. Powiedziała, że ma być na czarną godzinę.

— Kto? Kosma? Pogadam z nią trochę. To nieodpowiedzialne.

— Przecież gdyby nie ona, mógłbym już nie żyć.

— Ale... — Miał rację, nie mogłem mu tego odmówić. — Sam widziałeś, co się dzieje z daserami w rękach wroga. Nie ma mowy, nie dostaniesz go na wyprawę. Poza tym, i tak by ci go zabrali.

— Czy muszę na prawdę przechodzić ten test? To by nie wystarczyło?

— Wskazał na oddalającą się iskłę.

— Już mówiłem. To test charakteru, masz się zachować, a nie walczyć.



Wygląda na to, że nawet jego własne postaci nie chciały słuchać jego poetyckiej twórczości. Antyrax postanowił podejść postapokaliptycznie.



Już z daleka zobaczyłem ogniste pociski, lecące w naszym kierunku. Wyciągnąłem łapę i pozbawiłem je w jednej chwili ognia. Bez odrzutu, spadły z powrotem na ziemię. Zaraz potem pojawiły się tam wielkie grzyby atomowe, co za idiota strzela pociskami atomowymi w przelatujące samoloty? Chyba, że wiedzieli, że nie jestem żadnym samolotem.

W pustynnej, zakurzonej atmosferze, zobaczyliśmy jezioro Hirten i przybrzeżne miasto o tej samej nazwie. Teraz to nie nazywało się oczywiście Hirten, ale kto by tam ogarnął obecną sytuację polityczną. Automatyczne systemy obronne skierowały na nas lasery. Wsadziłem Mateusza na grzbiet i przyjąłem pełen strumień na klatę. Gilgotało.

Zlecieliśmy, aby sunąć tuż przy ziemi. Z piasku wyskakiwały na nas co chwila technogony, ale ja byłem za szybki, żeby dać się złapać.

Wlecieliśmy nad zatrute jezioro, śmiercionośne opary przyjemnie drapały w gardle. Jednak ze względu na człowieka, którego niosłem w rękach, trzymaliśmy się daleko od powierzchni. Hirten mieniło się w świetle słońca. To niesamowite, że nigdy jeszcze nie zostało zbombardowane.

Wylądowałem na szczycie najwyższego wieżowca. Szklany taras był kiedyś apartamentem jakiegoś bogacza. W wyschniętym basenie leżały resztki damskich strojów kąpielowych. Palmopodobne rośliny, posadzone w donicach, straciły całkowicie liście. Wyblakłe kafelki pokryte były niezmywalną warstwą kurzu. Tak kiedyś może wyglądać Ziemia.

Wybiłem szybę, żeby wejść do środka. Było ciemno i nieprzyjemnie, przypomniało mi się wnętrze naszej rakiety. Zapaliłem ognek i zobaczyliśmy stopy wyschniętych ciał, pośrodku parkietu do tańca. Widać było, że umarli nagle, dusząc się. Atak chemiczny.

Musiał złapać ich w trakcie przyjęcia. Uciekli z balkonu, zamknęli drzwi, i mieli nadzieję przeczekać. Muzyka musiała grać aż do końca, a kolorowe płyty podłogowe pewnie migwały jeszcze jakiś czas po ich śmierci.

Przyjrzałem się bliżej, była to rasa północnych. Wyglądali jak brzydcy, chudzi ludzie. Mieli na sobie i w sobie całe stopy elektroniki. Transhumanizm... transextraterrestrializm pełną gębą. To mi podsunęło myśl, że niektórzy mogli przeżyć, ci którzy wcześniej zainstalowali sobie filtry w nosach. Ale Komodowa Armia zapewne za kilka dni wkroczy do miasta, aby ich wykończyć. Nie taki był plan, to miało się zdarzyć dopiero za rok.

Wyszliśmy na ulicę. Opadnięte samochody latające, wyłączone hologramy, uduszeni ludzie. Ani żywej duszy. Usłyszałem w oddali tupot, podskoczyłem do najbliższego i schowaliśmy się w jakimś mieszkaniu. Zaraz zza rogu wyszła trójka Czarnych. To oni zabili ludność? Szkoda, że nie rozumiałem ich języka.

Poleciałem Mateuszowi zostać, sam podskoczyłem do nich. Naturalnie zaczęli strzelać, ale ja nie byłem bezbronny. Jednemu urwałem nogę, czarny smar khaki wymieszany z niebieską krwią, rozlał się po asfalcie. Drugiego wyrzuciłem wysoko w powietrze, upadł kilkaset metrów dalej. Trzeciego unieruchomiłem, spajając mu ognistym promieniem łączenia w zbroi.

Głupio to musiało wyglądać, jak odpytywałem go, rysując obrazy na chodniku, pozostałościami jego kolegi. Rozumiałem tylko jak przytakiwał

i zaprzeczał. Z tego się dowiedziałem, że rzeczywiście Komodowa Armia miała wykonać szturm na miasto, do którego przeprowadzili się imigranci z północy. Jednak Kryształowa Królowna postanowiła potajemnie zatruć miasto, a potem ukryć w nim swoich podwładnych. W ten sposób urządziła zasadzkę na Komodowych. Sprytne.

Podziękowałem mojemu informatorowi, a potem wróciłem do Mateusza i polecieliśmy pod osłoną nocy do najbliższej wioski pod władaniem Komodowców na pustyni. Mateusz zapytał mnie, dlaczego zabiłem niewinne osoby. Opowiedziałem mu, jacy ludzie są wcielani do Czarnej Armii, jak smar khaki zmienia charakter osoby do której wnika. Najgorszy sort obywateli jest zakuwany z mechaniczne zbroje i zalewany odżywczym i bakteriobójczym środkiem, zwanym smarem khaki. Stają się morderczymi maszynami, uzależnionymi od czarnej mazi. Maż jest uzupełniana częściej tym żołnierzom, którzy wykazali się większym okrucieństwem. Kryształowa Królowna mądrze to wymyśliła.



Co się dzieje? Ciągłe nikt nie wychodzi z żadnych dziur. Znowu nie trafił z typem opowieści? Nie było rady, jak spróbować ponownie.



Pociąg lewitował na strunie, tuż nad powierzchnią ziemi. Świecący promień przechodził przez środek urządzenia, wychodził w silniku. Prowadził maszynę, od podpory z pierścieniem, do podpory. Silnik jądrowy dawał bardzo ładne, wiśniowe światło, trzy ogniki zostawiały za sobą strugę przyjemnego, mocno rozgrzanego powietrza. Po bokach widniały laserowe działka, lecz nie reagowały na naszą obecność.

Podleciałem od spodu, aby ukradkiem zajrzeć przez okno i upewnić się, że to poprawny pociąg. Wnętrze spowite było niebieskim światłem. Rzędy smutnych wieśniaków siedziały, patrząc nieobecnyimi oczami w pustkę. To musieli być poborowi. Odebrano im całą elektronikę, bez gogli rozszerzonej rzeczywistości nie umieli się zająć niczym innym, a zwłaszcza rozmową.

Hologramowy wskaźnik na ścianie wskazywał następną stację. Nie znałem tutejszych języków, ale byłem pewien, że nikt na pokładzie pociągu nie potrafił czytać i pisać. Z obrazka dowiedziałem się także, że końcową stacją jest duże zagłębienie militarne Komodowej Armii. O, to nasz cel.

Poleciałem przodem, wyprzedzając pociąg, aż trafiłem na małą wioskę przy wyschniętym korycie rzeki. Bardzo biedna i nawet bez elektryczności. Jedynym oświetlonym miejscem był przystanek kolejowy. Wyglądał na wmuśzony w slumsową, lepiankową architekturę, jakby spadł z nieba. Może tak

właśnie było. Czerwone hologramy ostrzegały przed nadejściem składu za kilka chwil.

Grupę młodych mieszkańców pustyni ustawiono na placu. Płaczący rodzice żegnali się z nimi, nie oczekując że zobaczą ich jeszcze kiedykolwiek. Dawali im na drogę ubrania, jedzenie, a nawet zabawki.

Wylądowałem po cichu w ciemnym zaułku i wypchnąłem Mateusza, aby dołączył do grupy. Zapewniłem, że będę go ubezpieczał i że wezmę go, zanim pójda wyżynać Hirten, a raczej, zanim wpadną w pułapkę. Na tle mieszkańców Planety Wojny będzie wyglądał, jak upośledzony grubasek. Musi tylko ograniczać pokazywanie się na golasa. Nie będzie także bariery językowej, każda wioska mówi tutaj różnym akcentem, więc nauczą ich od podstaw wspólnego języka. Idąc, miał mord w oczach.

Wszyscy mówią, że przesadzam z tymi testami, ale uważam że jak ktoś potrafi przeżyć ideologiczne piekło, to przeżyje wszystko. Nie można dopuścić, aby agent ALOPP podjął złą decyzję przy ratowaniu innych istot. Czy Mateusz będzie próbował ochronić ich przed wpadnięciem w pułapkę? Czy wywoła powstanie? A może zaatakuje przełożonych? Do czego jest skłonny, tego wszystkiego się dowiem.



Ze studni wygramolił się Myestro. Podeszedł kilka kroków, niepewnie, jak dzikie zwierzę. Chyba był zainteresowany. Może należy kontynuować ten cyberpunkowy styl?



Drzwi otwarły się i smród wioski wdarł się do alemona. Cała masa obrzydliwych wieśniaków zajęła ostatnie miejsca w pojeździe. W tym jeden usiadł obok mnie, był jakiś dziwny. Był ciemniejszy niż ja, bardziej pomarańczowy. Widać teraz biorą do armii kogo popadnie.

Drzwi się zasunęły i klimatyzator począł czyścić powietrze ze stęchlizny. Niewiele to oczywiście dało.

Większość osób harała, pełne kisy spływały im z hateriów, jak małym dzieciom. Nie wierzę, że jestem tutaj z nimi. Zamiast cieszyć się, że będą bronić swojego kraju przed Mroźnikami, oni wylewają masę hariów po nic.

Wzięli mi mój geter, musiałem siedzieć i patrzeć się przez okno na nudny krajobraz. Światło dużej oświetlało otoczenie harbestowym, miękkim światłem. Piasek, piasek i trochę skał. W oddali, na horyzoncie widziałem łunę Torten, to miasto zostało bezpodstawnie zabrane nam przez Mroźników. Czułem się dumny, że będę brał udział w jego odbiciu.

Mój sąsiad wyraźnie był na coś wściekły. Jak można być złym w takim momencie? A może był upośledzony? Spróbowałem nawiązać z nim kontakt, ale oczywiście nie rozumiał, co do niego mówiłem. Standard.

Zza horyzontu wynurzyła się wielka forteca naszej armii. Alemon zwolnił przed wrotami i zjechał na boczną dużę. Wielkie kleszcze złapały kadłub alemona i unieruchomiły go. Sześciokątna rura przyssała się do drzwi, dał się słyszeć dźwięk spuszczanego powietrza. Szkło się otwarło i czysta, pachnąca technologią atmosfera, zastąpiła wioskowy smród zgromadzonych.

Wychodzili pojedynczo, widać każdy chciał być ostatni. Skorzystałem z okazji, przepchnąłem się przez śmierdzieli, żeby iść przodem, z dala od tej hołoty. Co ciekawe, ten dziwny grubasek także chciał być na przedzie. Może jednak nie był z wioski?

Ruchomy regel prowadził nas przez odpowiednie korytarze. Półprzezroczyste nizjeny wskazywały wszystkim drogę pismem obrazkowym. Gdzieś gdzieś przewinął się napis po zurdowsku. Trochę głupio mi było przyznać, ale ja także nie rozumiałem zurdowskiego. Pomimo, że świetnie pisałem, czytałem i mówiłem w hałas, behałas, po culsku i polivinowsku.

Dojechaliśmy do rzędu jaborysów. System wskazywał wielkimi medwarami, kto i jakiego jaborysa ma użyć do wyhutonowania się. Poszedłem pierwszy, żeby pokazać innym, co to znaczy prawdziwa technologia.

Kabina była dość przestronna, jak tylko wszedłem, szyby straciły przezroczystość. Nizjen wskazywał, że mam ściągnąć ubranie i wrzucić do dziury, co też uczyniłem. Zimna para ochlapała mnie, potem jakiś śmierdzący detergent, potem ponownie woda. Trwało to kilka razy. Na koniec, świecąca ściana przeskanowała całe pomieszczenie. Czytałem o niej, to hutona, paliła wszystkie niepożądane substancje w ciele. Ja nie miałem ich za dużo, ale tamtym na pewno hutonowanie się bardzo przyda.

Posłusznie dałem się przeskanować, zapiekła mnie susetria, hateria i joty. Lelonie paliły żywym ogniem, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. Ale to było zrozumiałe. Straciłem również wszystkie dulice, ale przecież odrosną. Wykończony, otrzymałem nowe ubranie. Było bardzo proste, szare, lekkie i wykonane z fafloccji. Na lelonii i susterii miałem wydrukowany jakiś symbol. Fala z przecięciem z lewej, wpisana w wejt. Mógł być to mój numer porządkowy, albo zurdowska litera.

Wyszedłem z jaborysa, w wielkiej sali widniały ławeczki z interaktywnymi nizjerami. Usadowiłem się przy jednej, wyświetlił się mój symbol. Krótka animacja wskazała, że od teraz będzie to mój numer porządkowy. Usłyszałem, jak się wymawia. W zurdowskim systemie liczbowym był pierwszy w kolejności, byłem numerem jeden, to prezent za odwagę? Nizjer wprowadzał mnie w tajniki nowego języka, z chęcią przyswajałem przydatną wiedzę. Był niezwykle prosty.

Kolejne osoby korzystały z jaborysów, jedne bardziej krzyczały w trakcie hutonowania, inne były całkowicie cicho. Mój pomarańczowy ulubieniec darł się w niebogłosy, aż mi się szkoda go zrobiło. Wyszedł, wyglądając prawie tak samo. Widać miał tak niedorozwinięte dulice, że ich strata nie zmieniła mu wyglądu. Jednak jego symbol był bardzo fajny. Symetryczny, podwójny fezel. Wiedziałem już, jak się wymawia. Brzmiał groźnie. Był w kolejności bardzo daleko od mojego, nie poprawiło mi to humoru. Widać numery przydzielano losowo.



Myestro usiadł bardzo blisko. To wystarczyło. Antyrax zamachnął się na niego linią poleceń i złapał w powłokę. ZSH trzymało go mocno i nie puszczało. To wystarczyło, żeby zadać cios ostateczny.

Przyszykował program w BASHu, wbił mu go w ciało i uruchomił. Wykryje on częste błędy w Antyraxowych powieściach, rozładowując demona słownikową perfekcyjnością. Jednak program był póki co bardzo prosty, znajdował tylko błędy, które Antyrax popełnił wcześniej. Mogło to nie wystarczyć.

Dla pewności kontynuował opowiadanie w cyberpunkowym kierunku.



Gdy wszystkich oczyszczono, na wielkim nizjerze wyświetlił się mój symbol, a po sali rozległa się jego wymowa. Hos. Poszedłem triumfalnie w kierunku wskazanych drzwi, wypinając na innych susterię z moim numerem.

Przechodziłem wąskimi korytarzami, prowadzony przez nizjery. Tutaj już nie było regeli, ale przecież byliśmy w wojsku, trzeba ćwiczyć, to zrozumiałe.

Zaprowadziły mnie do sporej salki ze stołami. Na talerzach dymiły przepyszne vinite. Niesamowite, czym nas tutaj karmili. Usiadłem przy swoim symbolu, złapałem yltona i zacząłem jeść, nie czekając na innych.

Jak się spodziewałem, zaraz zjawili się pozostali. Nie była to duża grupa, dokładnie dziewiętnaście osób. W tym ten dziwak, Rohost. Przydzielono mu miejsce na końcu mojego stołu. Nie żebym się cieszył, że znalazł się w naszej grupie, ale może będzie z nim trochę ciekawiej. Było tylko nie opóźniał ćwiczeń.

Przycisk obok mojego talerza pozwalał dobrać sobie dokładkę. Vinite wylatywały z zakrzywionej rurki. Nieskończona ilość vinite! Gdybym wiedział, od razu zgłosiłbym się na pobór.

Wszyscy inni podchodzili do jedzenia z dystansem, wiadomo było, że we wsi trudno o składniki na vinite, zapewne większość z nich pierwszy raz widziała te pyszności na oczy. Rohostowi absolutnie nie smakowało, jednak

zmuszał się do jedzenia. Co za marnotrawstwo. Pomimo to zjadł pięciokrotność mojej porcji, gdzie on to wszystko mieścił?

Na ścianie wisiał kolejny nizjer. Tam wyświetlono animację, z której wynikała pozycja i nazwa naszego oddziału w całej fortecy. Bedur, widać grupom przypisywano litery. Dostaniemy niedługo własne pancerze wspomagane, zwane hiperami. Będziemy w nich ćwiczyć walkę, wcześniej odbędzie się trochę siłowych i zręcznościowych zajęć bez nich. Ćwiczenia potrwają cały sept, a potem szturmujemy Torten i wyżynamy Mroźników. Dla mnie spoko. Pierwszy raz w animacji użyto zurdowskich liter, ale w małych ilościach. Jakiś wysoki rangą oficer powiedział coś w ich języku, a potem wszystko poszło do nowa.

Gdy wszyscy się najedli, ściana się otworzyła, odsłaniając sporą salę z rzędami concatesów. Surowo urządzone pomieszczenie oświetlone było białym światłem podłogowych żył. Oddzielało concatesy od siebie, aby każdy miał swoją małą, pseudoprywatną przestrzeń. Każdy concates miał odpowiedni symbol na futusi, oraz przydzieloną bulię z zestawem wszystkich potrzebnych urządzeń. Było też wejście do personalnego jaborysa.

Znalazłem przydzielony mi concates, przejrzałem zawartość bulji, gdzie znalazłem prosty geter. Nie pozwalał na komunikację ze światem zewnętrznym, ale miał sporo książek do nauki zurdowskiego, a także szczegółowe instrukcje użytkowania hipera. Nie mogłem się doczekać następnego dnia, nie sądzę, żebyśmy już juro otrzymali hipery, ale kto wie. Wsunąłem się pod futusę i zafulałem, jak tylko zgasło światło.



Nagle coś uderzyło Antyraxa w głowę, tak że wypuścił z objąć Myestra. Kolejny przyszedł się zabawić?

Antyrax wstał, lecz nie mógł nikogo zobaczyć. Cisza spowijała wymarłą wioskę dokładnie tak samo, jak wcześniej.

— Pokażcie się, bo dokończę ten zboczony fragment! — Antyrax zawołał. Nikt mu jednak nie odpowiedział. — Dodam do tego transformacje płci, korki analne i masochistyczne tortury.

— Aaah... — Ledwo żywy Myestro jęknął z ziemi.

— No dobra, lepiej zatkać uszy...

Kolejne uderzenie zważyło go z nóg. WickedH stanął przed nim, wcale się nie kryjąc. Chciał więcej abstrakcji, jeszcze więcej.

Antyrax posłusznie wziął się za opowiadanie.



Światło powoli się rozjaśniało, budząc nas delikatnie. Zauważyłem, że mój ulubieniec od dawna nie śpi, tylko rysuje coś na swoim geterze, zakrywając tył, aby nie było widać. Bardzo dziwne.

Od razu poszliśmy na śniadanie, nawet się nie przebierając. I tak nie było po co. Dzisiaj w stołówce było gorzej, jafanele nadziewane duduzją. Nikomu nie smakowało, nawet Rohostowi. Wybrzydza, jak Kryształowa Królowa.

W czasie jedzenia nie było komunikatu, za to później ściana po drugiej stronie naszej sypialni otwarła się i silne światło słoneczne oślepiło nas.

Otwór wychodził na spore patio w kształcie trójkąta, oddzielone wysokimi ścianami. Wszechobecny piasek pokrywał je grubą warstwą. Znajdowało się wewnątrz militarnej fortecy, można było założyć, że pozostałe patia ustawione są promieniście po okręgu, oddzielone od świata głównym murem. Od zewnętrznej strony widniały schody okalające wyjście, prowadziły do wielkich wrót. Zapewne tędy będziemy opuszczać fortecę.

W piasku wysunął się kolejny nizjer, ledwo go było widać w tym słońcu. Z ukazała nam się twarz znajomego generała. Mówił, mocno gestykulując w akompaniamencie różnorodnych animacji. Kazał się nazywać dyrygentem, był przydzielony do naszej grupy.

Powiedział, a raczej pokazał nam, że pierwszy fodor zajmujemy się ogólnym treningiem siłowo-zręcznościowym zanim w ogóle mamy myśleć o hiperach. Będą też zajęcia teoretyczne.

Z piasku wysunęły się pale zakończone poduszkami i schodki. Naszym zadaniem było przeskoczyć na drugą stronę, trudne zadanie, jak na pierwszy raz.

— Zumi — powiedział, wyświetlając symbol jednego z nas. Zumi zaczął gramolić się po schodach.

— Ofte. — Wskazał drugiego.

— Sisto.

— Matart.

— Lukne.

— Hos. — O, to ja.

Wszyscy wcześniejsi pospadali w trakcie skoków, musiałem teraz pokazać się z jak najlepszej strony. I udało mi się, spadłem dopiero na piątej poduszce, z dwudziestu. Najdalej ze wszystkich.

Na koniec poszedł Rohost, przeskoczył wszystko, jakby od dawna to robił. Niesamowite, na pewno nie był upośledzony. Kim w takim razie był?

Powtarzaliśmy skoki, aż wszyscy zdadzą. Komu się udało, miał do końca zadania wolne, mógł szyderczo obserwować pozostałych. Przeskoczyłem jako piąty i korzystając z zamieszania, zakradłem się z powrotem do sypialni.

Nikogo nie było, porwałem więc ukradkiem geter Rohosta i począłem przeglądać. Nie próżnował w nocy, zapisał całe mnóstwo kreskowych obraz-

ków. Jakieś mapy i matematyczne obliczenia. Zaznaczył pozycję fortecy, wioski przy której wsiadł do alemona, przebieg duzji, kierunek łuny, jezioro i... miasto Torten? Ale to jest źle, Torten jest w innym miejscu. Do tego były wykresy z naszą planetą i słońcem. Ponadto sporo całkowicie niezrozumiałego pisma.

Skopiowałem sobie wszystkie jego dzieła na własne urządzenie i odłożyłem mu jego geter z powrotem tak, jak był. Wyszedłem na zewnątrz, ostatnie osoby kończyły zadanie. Nikt się nie zorientował.

Następne ćwiczenie było siłowe. Poszło mi bardzo źle, ale to Rohost był na końcu. Jak to się stało, że umiał tak dobrze skakać, a był słaby jak wejdel.

Było jeszcze kilka zadań testujących naszą prędkość, reakcję i suterne. Rohost ponownie poległ, nie był suterny nic, a nic.

Zmęczeni, zjedliśmy kolację składającą się z pieczonych didisów. Każdy z nas poszedł się wyhutonować w jaborysie. Rohost zakrył wejście do jaborysa swoją futusą, rzeczywiście wstydlivy jak Królowna.

Potem była część teoretyczna, w stołówce stoły skryły się w podłodze, robiąc z niej salę wykładową. Animacje pomieszczone z zurdowskimi literami uczyły nas o naszych wrogach. Było sporo o Czarnej Armii, o Mroźnikach, ich kraju i mieście Torten. Było wspomniane o Kraju Daa, xuxowcach i Zagłębiu Curr. Przypomniały mi się notatki Rohosta.

Wieczorem był czas na naukę języka, co też wszyscy bez wyjątku posłusznie uczynili.



— Ale się guzdrzesz! Daj życia do tej opowieści! — WickedH pogonił Antyraxa.



Następny dzień był bardzo podobny do poprzedniego. Śniadanie, ćwiczenia, obiad, wykłady, nauka języka. Zaczęło się pokazywać, kto był najsłabszy z nas wszystkich. Nie był to Rohost, gdyż w jednych dyscyplinach przodował, a w innych był na szarym końcu. Nie byłem to też ja, na szczęście.

Wieczorem, zamiast nauki, postanowiłem przejrzeć ukradzione notatki. Dyskretnie przeglądałem obrazy getera, rozumiejąc z nich coraz więcej. Były mocno niekompletne.

Dwa dni później ponownie udało mi się szybko wygrać i ponownie zakradłem się do sypialni. Przybyło sporo notatek, widać że robił postępy. Moją uwagę przykuł również nietypowy zapach jego concatesa, nigdy nie czułem wcześniej niczego podobnego. Poszperałem pod futusą i na okinach został mi dziwny proszek.

W drugiej części dnia nauczyliśmy się o technogonach, zamieszkujących pustynię. Te mechaniczne, drążące tunele maszyny, przejmowały władzę nad każdą elektroniką i jako takie były szalenie niebezpieczne dla naszej armii. Dlatego nigdy nie należało zapuszczać się na otwartą przestrzeń samemu. Forteca miała skomplikowane zabezpieczenia, w fortecy byliśmy bezpieczni.

Wieczorem ponownie pominąłem lekcje zurdowskiego, aby przejrzeć notatki. Była to matematyka w liczbach o podstawie dziesięciu. Może inaczej zapisana, lecz idea nadal oczywista. Nasz dziwak obliczył pozycję fortecy w abstrakcyjnej siatce otaczającej planetę, korzystając z pozycji słońca i gwiazd na niebie. Wyliczył kąt padania światła słonecznego w czasie. Nanosząc te dane na mapy, wychodziły mu sprzeczności. Chodziło o to, że luna Torton była oddalona od samego miasta o dobre kilkaset... jakichś jednostek. Przydałoby się to zweryfikować.

Znalazłem także kilka artystycznych szkiców, pokazywały opuszczone miasto z czarnymi ludzikami. O co mogło chodzić? Przecież nie o Torton, bo było ono zamieszkane przez Mroźnych imigrantów, wysokie, białe osoby. To może miała być wizja przyszłości, jak już wybijemy miasto?

Przedostatniego dnia przed rozdaniem hiperów poprzenosili wiele osób do innych grup. Połowę najlepszych zostawili. Odbył się także konkurs strzelecki, chociaż bardziej polegał na mordowaniu niewinnych. Mieliliśmy powyżywać się na kukłach Mroźników i Czarnych. Przy czym były to całkiem dobrej jakości elektroniczne kopie prawdziwych istot. Nawet krzyczały i fajtały, gdy zadawało im się ciosy. Można było pomylić je z rzeczywistością, dopiero prawdziwie zmasakrowane ukazywały ukrytą elektronikę.

Ja rozumiem odbijać miasto z rąk oprawców, ale atakować niewinnych, tylko dlatego, że byli naszymi wrogami? Nie sprawiało mi to przyjemności. Właściwie tylko ja i Rohost mieliśmy moralne opory przed masakrowaniem robotów. Wszyscy inni wyżywali się całą swoją energią. Słyszałem, jak opowiadali że z chęcią pozbyliby się nie tylko Mroźników, ale każdego kto stanie im na drodze. Nieprawdopodobne, gdzie ja się wpakowałem? To normalne zachowanie ludzi z wiosek?

Co gorsza, tego dnia zobaczyli naszą słabość. W jednym pukju staliśmy się obiektem drwin i wyzwisk. Jeszcze przed chwilą to my wywoływaliśmy poklask umiejętnościami, musiało to zagotować w pozostałych niezwykle pokłady złości, które mogli w końcu wypuścić. Jeden z nich narysował na dwóch kukłach nasze symbole. Po kilku chwilach zostały z niej pojedyncze śrubki. Na szczęście był czas obiadu, więc ostateczna konfrontacja odsunęła się w czasie.

Wieczorem postanowiłem nadgonić zurdowskiego. Rohost wrócił do sali późno, gdy pogasły już wszystkie światła. Był mocno poobijany, widać, że stoczył z kimś bójkę. Na rękach miał enezję, czyżby uderzył kogoś pięścią w

sudurę? To mogło go zabić. Mam nadzieję, że zabiło. A potem przestraszyłem się swoich myśli, zamieniałem się w jednego z nich.

Rohost poszedł od razu do jaborysa i długo nie wychodził. To myła moja szansa, nikt nie patrzył, wszyscy już spali. Prześlizgnąłem się po podłodze, omijając concatesy i dorwałem jego getera, jeszcze raz kopiując sobie całą zawartość. Potem zajrzałem od dołu pod futusę, zakrywającą wejście do jaborysa tajemniczej postaci. Zobaczyłem kosmitę, całkowicie obcą osobę, jedynie kształtem podobną do nas. Nie miał żadnych otworów na ciele, nie miał lelonii, czy sutratów. Gdzie susteria, gdzie joty, a hateria? Kim on do melmej delnej był?

Uciekłem czym prędzej na swoje miejsce. Powinienem to zgłosić dyrygentowi. Ale wtedy będę sam przeciw wszystkim. Jeśli jest szansa, że Rohost wie cokolwiek więcej, to powinienem z tego skorzystać.

Otworzyłem moje zdobycze. Na pierwszej stronie był list w łamanym zurdowskim. Rohost powiedział, żebyśmy trzymali się razem i żebyśmy na przyszłość lepiej chował swój geter. Nie doceniłem go.



WickedH zaczął chrapać.



Nadszedł ten dzień. Ustawiliśmy się grzecznie przed wyjściem, oczekując na otwarcie drzwi na dziedziniec. Rohost stał przygnębiony, z tyłu.

Najpierw pokazała się wąska szczelina. Każdy próbował złapać przez nią jakikolwiek widok dziedzińca. Przepychali się, odrzucając mnie na sam koniec. Nie spieszyło mi się. Wtem drzwi się otwarły na oścież i wybiegliśmy na zewnątrz, niemal się tratując.

Na środku placu stało dwadzieścia nowiusieńkich hiperów. Każdy, naturalnie opisany swoim symbolem. Hiper Hos stał z tyłu, zaraz obok hipera Rohost.

Maszyny miały delikatną fakturę drewna, podkreślając dostojność i elegancję. Kanciaste kształty powodowały, że wyglądaliśmy w nich znacznie maszywniej, niż w rzeczywistości. Gdzieś gdzieś wychodził ręcznie rzeźbiony ornament. Toczono koturny przytwierdzone były do podeszw zewisów, aby zapewnić dobrą przyczepność przy chodzeniu. Środek susterii zdobiły szklane, szlifowane wstawki. Mieniły się w słońcu wszystkimi kolorami spektrum. Po bokach przytwierdzone były rzędy srebrnych kulek, aby dopełnić uroku.

To właśnie ta elegancja naszych egzoskieletów nadawała im taki postrach u wrogów. Rohost tarzał się ze śmiechu. Co go tak rozbawiło? Próbował się powstrzymywać, ale ilekroć spojrzał na stojące maszyny, ponownie go brało.

Pora na przymiarki. Wspiąłem się na swojego hipera i wszedłem do środka. Był ciasny i niewygodny. Od razu miałem w głowie lekcje, na których straszili nas, jak to bez hipera nie przeżyjemy nawet kukusty na pustyni. Spróbowałem się ruszyć, ale nie udało się. Chyba hiper był wyłączony.

Gdy wszyscy weszli do swoich muszli, pojawił się mi przed oczyma nizjer. Dyrygent mówił z niego po zurdowsku, zrozumiałem jedynie ogólny sens wypowiedzi, trzeba było bardziej przykładać się do języka.

Chodziło o to, że teraz dopiero zaczyna się prawdziwe szkolenie. Od tej chwili mamy zakaz opuszczania hiperów, pod groźbą porażenia prądem. Urządzenia miały wbudowane tasery. Na pokaz, wszystkim nam to zaprezentował, to były jak tortury, nigdy wcześniej nie byłem rażony.

W hiperach będziemy jeść, spać i hutonować się, gdyż mają wbudowany jaborys. Możemy zapomnieć o naszych wygodnych concatesach. Na te słowa zamknął wrota do sypialni. Na zawsze.

A teraz była pora na ćwiczenia, wszystko jak dawniej, ale z hiperami. Z piasku wysunęły się kolumny z poduszkami. Hos pierwszy.

Chodzenie w hiperze było trudne, ale dałem radę wspiąć się na schodki. Skoczyłem na pierwszą poduszkę i odbiłem się tak mocno, że przeskoczyłem dwie. Oczywiście spadłem w piasek, haterią w dół, przynajmniej nie bolało. Dyrygent się zaśmiał i poraził mnie taserem. Więc to tak teraz będzie. Wszystkie vinite świata nie były tego warte.

Drugi był Rohost, słyszałem jego jęki jeszcze jak spadał. Trzeci Wewwt, ten nowy. Bezbłędnie przeskoczył tor przeszkód. Pozostali także radzili sobie całkiem nieźle. Od razu widać było, kto teraz będzie najslabszy, jak to możliwe? Dlaczego?

W nocy załączył się nam jaborys na najmocniejszym trybie, pozbawił mnie ubrania. Co oni planowali? Zamknąć nas w tych maszynach na zawsze? Przecież nie byliśmy Czarną Armią. Od tego czasu wypatrywałem, czy przypadkiem nie podpinają nas do węża z pupallą, żeby zalać tą trującą zawiesiną.

Treningi zmieniły charakter, więcej było strzelań i mordowań, a mniej historii świata. Mieliśmy być zawsze posłuszni dyrygentowi. Codziennie pokazywali nam zdjęcia łuny Torten na horyzoncie, jako naszego jedyne go sensu życiowego. Ale ja wiedziałem, to nie mogło być Torten.

Pewnego dnia, niedaleko fortecy spadł meteoryt. Naturalnie wysłali nas, aby to bliżej zbadać. Rohost jednak powiedział, żebym nie szedł. Próbował przekonać także pozostałych, ale nikt nie chciał go słuchać, a prawie go znów pobili. Opowiadał coś o kosmicznej śmierci, o nienaturalnym pochodzeniu tego materiału. Uwierzyłem mu.

Otwarli główne wrota, ukryliśmy się w zagłębieniach muru tak, że nikt nas nie zauważył. Osiemnastka hiperów ustawiła się w rzędzie, najwredniejszy

z przodu. Mam nadzieję, że nikt nie będzie ich liczyć. Gdy pierwszy żołnierz, Matart, doszedł do zgliszczy, coś wielkiego i czarnego wyskoczyło na niego. Pozostali naturalnie poczęli strzelać, lecz w mgnieniu plucka srebrne ściany stanęły między nimi. Znad tajemniczej blokady wypadły kawałki hipera. Wybuchła panika, wszyscy, prócz Matarta, uciekali z powrotem do fortecy. Chwilę potem potężna eksplozja rozniosła tamto miejsce. Zgliszcza paliły się jeszcze przez pięć dni.

W ogólnym zamieszaniu, nikt nie zauważył że nawet nie wyszliśmy na zewnątrz. Wszyscy zostali przepytani, co wiedzą o dziwnym zjawisku i skąd pojawił się ogień. Wyniki śledztwa nie były zadowalające, toteż przez kolejne trzy doby mieliśmy najcięższy trening dotychczas, ciągle razili nas prądem. Bez jedzenia, bez hurysowania się, bez snu. Jeden z nas, Qrton nie przeżył ciągłego testowania, umarł z wycieńczenia. Żalosne, zabijają własnych żołnierzy jako kara za utratę żołnierza. Nawet Czarna Armia nie ma takich praktyk. Brakujące miejsca Matarta i Qrtona szybko zostały zapelnione kolejnymi osobami.



— Wiesz co? Mam tego dosyć — WickedH powiedział. — Dawaj mi to. — Wyrwał Antyraxowi z ręki worek z alternatywnym wszechświatem i wskoczył do środka.

— Co ty robisz? Zginiesz tam. — Antyrax próbował złapać go za znikający w ciemności ogon. — Zginiesz tam — powtórzył i uśmiechnął się.



Noc przerwało wielkie uderzenie i wycie syreny. Światła na głównym murze zapaliły się pełną mocą i skierowały się w górę. Pośrodku fortecy stała wielka, czarna postać.

— „A teraz zabawimy się.” — powiedziała donośnym głosem. Nic nie zrozumiałem.

Poczęliśmy strzelać z naszych wbudowanych w stroje mekerów. Gorące kukety wybuchały na ciele atakującego, jeden po drugim. Nic to jednak nie dawało. Zacząłem się bać. Pierwszy prawdziwy wróg. Rohost był tak samo zaskoczony, jak ja.

— „Co powiecie na to?” — Uderzył pięścią z całej siły w środek fortecy. Wewnętrzne ściany rozsypały się w proch. Zobaczyłem, że żadna inna grupa nie posiada jeszcze hiperów.

— „Wypierdalaj z mojego opowiadania!” — Rohost odkrzyknął. Nie wiedziałem, że zna jego język. — „Zabijasz niewinnych, oni mają wyprane mózgi, dlatego cię atakują!”

— „Jaka szkoda.” — Przejechał ręką po głównym murze, zwalając wszystkie światła.

Nastąpiła ciemność, rozświetlana jedynie xedowymi eksplozjami kuketów. Po raz drugi zobaczyłem lunę domniemanego Torten. Popatrzyłem w gwiazdy, przypomniałem sobie rysunki Rohosta. To nie było Torten.

Głowa dziwnego stworzenia zapaliła się ogniem. On jednak jakby nawet tego nie zauważył. Pomarańczowy laser wystrzelił zza muru, ale także nie poprawił naszej sytuacji. Wielka, czarna stopa spadała na nas. Nie uciekniemy. Wtem czarny gigant został odrzucony z wielkim impetem w bok, zniknął za murem.



Antyrax z całej siły kopnął w worek.



Panika, panika jakiej nie było nawet przy meteorycie. Nie było światła, wszyscy strzelali jak popadnie. Co za banda idiotów.

Coś trafiło mnie w okolice querta. Odwróciłem się, to Rohost walił we mnie kawałkiem pukpula. Krzyknąłem, że to ja, Hos. On jednak uderzył mnie znowu, aż zabolalo. Zamachnąłem się, by mu oddać, ale on wywinął się i dzielił mnie ponownie. Prąd przeszył mi ciało, moduł do zadawania kar włączył się niekontrolowanie. Co za geniusz, zabije mnie moim własnym hiperem.

Mój były kolega jednak nie przestawał bić, padłem na ziemię, a on walił dalej. A niby tak bał się mordowania niewinnych, wiedziałem, że nie można mu było ufać. Taki czyn wzbudzi uznanie wśród pozostałych.

Wtem prąd się wyłączył, a mój nizjer zasygnalizował uszkodzenie modułu hipera. Popatrzyłem na Rohosta, stał, opierając się o pukpul. Wsadził mi go w rękę i pokazał miejsce na swojej zbroi, gdzie przed chwilą mnie bił. Zrozumiałem.

Nie było mi łatwo i trwało to znacznie dłużej, niż w jego przypadku, lecz udało mi się „wyłączyć” i jego taser. Co teraz? Teraz uruchomił tryb głośnomówiący.

— Nasza armia zdrada. — Próbował łamanego zurdowskiego. — Dyrygent Mroźnik.

— Atakować, nie rozmawiać! — Odpowiedział mu głos dyrygenta.

— Hirten pułapka... — kontynuował.

— Torten — poprawiłem go. — Hirten było przed najazdem Mroźników.

— Kaporten. — Usłyszałem nieznamy, rykliwy głos. — Kaporten Czarna Armia trucizna imigranci północ wy pułapka.

— A światła? — Wysłałem zapytanie w eter nie mając pojęcia, kto słucha, a kto mówi. — Światła są obok Torten... Hirten... Kaport... tego miasta.

— Światła pułapka Mroźnicy my. — Rohost odpowiadał. — Dyrygent wie podstęp. Dyrygent nas śmierć.

— Hos, Rohost. To wasze ostatnie słowa. Do widzenia. — Dyrygent wariował, nic się jednak nie stało. — Co zrobiliście z hiperami?

— To, co trzeba było zrobić już dawno.

— To naruszenie zasad! Wszyscy, zabić Hosa i Rohosta. Rozkaz. — Wycelowała w nas osiemnastka mekerów.

— Pamiętajcie, kto jest prawdziwym wrogiem. To niekończąca się wojna. Wszyscy zostaliście osz... — Eksplozja ogłuszyła mnie. Zobaczyłem tylko pomarańczowe światło.

Gdy się obudziłem, był już dzień. Wszędzie wokół tliły się szczątki fortecy i mojej byłej armii. Musiał wybuchnąć pożar, jednak mnie jakimś cudem ominął. Przeszukałem zgłiszcza, lecz nic nie znalazłszy, postanowiłem wrócić do cywilizacji wzdłuż duży. Niektóre certy były poprzewracane, innym brakowało pierścieni, żaden alemon nigdy więcej tędy nie pojedzie.

Wtedy sobie przypomniałem wykłady, wychodziłem na pustynię. Technogony z pewnością zwęszą wkrótce mój hiper i wykopią się spod ziemi. To koniec, chyba że zostawię hipera tutaj, ale wtedy idąc, pewnie i tak umrę z pragnienia. Były jeszcze pozostałości tajemniczego meteorytu, ale na nie to nawet bałem się spojrzeć. Postanowiłem zostać w ruinach, niech hiper będzie moim grobem.

Tej nocy śniły mi się dziwne wydarzenia z Culitrią, jakie przeżyłem będąc dzieckiem. Rankiem przyleciało do mnie dziwne stworzenie.



Antyrax wyciągnął WickedH z worka.

— Żyjesz? — zapytał.

Nie żył.

Zostało jeszcze dwóch. A jemu właśnie skończyły się pomysły.

Jak na zawołanie, stanęli przed nim Poriux i Mały Gołąb.

— Co? Właśnie skończyły ci się pomysły, nie? — Poriux zapytał.

— Tttak... — Antyrax się przyznał.

— Zapewne masz jeszcze wspaniałe zakończenie, ja z chęcią je przyjmę. Lubię zakończenia. — Mały Gołąb wyszczerzył demoniczne zęby.

— Ty? Zakończenie? To mi się należy zakończenie! — Poriux się oburzył.

— To ja je dostanę, mam brązowe piórka u Neofantasora, a ty masz ledwo dwa opowiadania w bibliotece! — Zaczęli się szarpać.

- Tylko dlatego, że poprawnie piszesz, a nie dlatego, że ciekawie.
- Nie ma znaczenia myśl, jeśli nie możesz jej odpowiednio przekazać!
- Nie ma znaczenia najładniejsze pismo, jeśli nie niesie w sobie żadnej myśli!

Antyrax usiadł więc na ławeczce, pogrzebał zamasyście w worku i wyciągnął tak oczekiwane przez wszystkich czytelników zakończenie. Rzucił nim w sprzeczące się demony.



— No cóż, i tak całkiem nieźle ci poszło — Plazma powiedział, nawet się do mnie nie odwracając.

— Zamknij się. — Odrzuciłem. — Mam dosyć tego waszego świata. Ten test był niewykonalny, nie dało się nikogo uratować.

— Dało się, lecz trzeba było do tego trochę więcej sprytu. Mogłeś chociaż uratować sam siebie. A tak wracasz do swojego bezużytecznego życia na Ziemi.

— Woląłem zginąć, niż nie próbować, niepotrzebnie mnie ratowałeś.

— Obiecałem, że nic ci się nie stanie.

— To mogłeś uratować i Hosa, co ci szkodziło?

— Nie mieszamy się w niezapoznane cywilizacje.

— Jedyne, co robicie, to się mieszacie. Najpierw trójka Czarnych, potem zrównanie z podłożem fortecy Komód.

— Oni i tak by zginęli, idąc do Trap-orten. — Zaśmiał się ze swojego żartu. — Nawet jeśli Hos by odmówił, to za niesubordynację by go zabili.

Opuszczaliśmy atmosferę Planety Wojny w takim samym śmieciolocie, jak wcześniej. Śmieciolot numer 878. Na szczęście ten był całkowicie nowy, wszystkie urządzenia i żarówki jeszcze działały poprawnie.

Gotowałem się ze złości. Byłem wściekły na siebie, na establishment Komodowej Armii, na Kryształową Księżniczkę i jej plan podbicia miasta, na imigrantów z północy, którzy zastawili pułapkę. Na Nadara, który przekonywał mnie o prostocie i łatwości zdania testu, na Kosmę, która dała mi daser z którego nic nie wynikło, na Profesora, którego nie obchodziło nic poza swoją Kulą. Ale najbardziej chyba na Plazmę, za jego hipokryzję. Potwory niby dobro robią, wierzą w Boga, a gdy co do czego przychodzi, to nie mają oporu mordować. Racja, czasem nie ma wyboru jak nie zabijać, czasem nic to nie zmieni. Jednak zawsze da się polepszyć byt, gdy przypadkowo ma się okazję kogoś uratować. Plazma się tego nie podjął.

Nieuratowanie niewinnego jest tym samym, co zabicie go z premedytacją. Odciągnięcie innej osoby od próby ratowania pozostałych, także jest morderstwem. A ja miałem pokonywać morderców.

Złapałem więc stery śmieciolotu, wyrrywając je Plaźmie. Statek gwałtownie skręcił, zarzuciło mnie po łuku, lecz zachowałem uścisk. Kilkukrotnie cięższego potwora odrzuciło w tył, że aż jakimś cudem wbił się kolcami w podłogę.

— Przypomnij sobie, co zrobiłem z uniwersalnością. Chcesz skończyć tak samo? — Plazma ryknął głośno, acz stanowczo. — Puść stery.

— Spiedalaj, wracam po Hosa, czy tego chcesz, czy nie.

— Zgadzam się, lecz zamiast na Ziemię, trafisz potem prosto do naszego więzienia. Resztę życia spędzisz w klitce metr na metr na metr.

— Prędej wcielę się do Czarnej Armii, niż zgodzę się na to. — Niechcący zarzuciłem śmieciolotem, zrobiłem łuk w drugą stronę. Zauważyłem wystającą, znajomą rękojeść ze schowka.

— Ja katastrofę przeżyję...

— A czy to przeżyjesz? — Sięgnąłem do schowka i wyciągnąłem daser.

Popatrzyłem mu głęboko w oczy. W pionowych źrenicach zobaczyłem coś nowego, coś czego u potworów nigdy nie widziałem. Strach. Widziałem, jak zaciska swoje trójkątne kleszcze na podłodze, aż żelazne wiórki poleciały. Uderzał na boki końcówką ogona, jak wściekły kot.

— Nie baw się tym, bo się skaleczysz. Mi członki odrosną, a tobie?

— Z chęcią się przekonam, czy za członki rozumiesz także i głowę.

Jak tylko przekroczyłem atmosferę, ponownie wystrzeliły w nas rakiety. Chyba czegoś nie przewidziałem. Musiały być w tej rakiecie mechanizmy obronne, przeskanowałem wzrokiem pulpity, ale nie znalazłem żadnych czerwonych guzików.

— Gdzie są rakiety? — krzyknąłem.

— W dupie. — Przesunął ogon.

— Nie masz dupy, czytałem o waszej biologii. Nie masz nawet mózgu!

Spróbowałem zrobić manewr wymijający, jednak rakiety nie dały się oszukać.

Przypomniałem sobie, co mam w ręce. Wycelowałem daserem i nacisnąłem spust. Zielony promień przebił się przez szybę i rozciął pocisk na pół. Suchy wiatr uderzył mi w twarz. Nie widziałem drugiej rakiet, spanikowałem i zacząłem strzelać na oślep.

— Idiota. — skomentował ognisty obrońca.

Coś szarpnęło śmieciolotem i rakietą wpadła do kokpitu przez wydaserowaną przeze mnie dziurę. Niewypał. Brakowało jeszcze tylko pieczonego dzika.

Z daleka ujrzałem Hirten, znaczy Torten, znaczy Kaport... chuj z tym. Obok jaśniejąca pułapka mroźnych imigrantów. Wbrew zapewnieniom potwora, śmieciolot wcale nie był trudny do sterowania. Bezpiecznie zwolniłem opadanie na wysokości kilkudziesięciu kilometrów.

Na południu znalazłem wypaloną plamę na pustyni, która niegdyś była fortecą Komód i moim domem przez dwa miesiące. Teraz spalona i zwęglona kupa gruzów nie wynosiła się więcej, jak kilka metrów nad ziemię. Tylko gdzie był Hos? Miałem nadzieję, że się nie spóźniłem.

— Technogony, pamiętasz? — Plazma wstał, wyrywając kolce z podłogi. — Przejmują władzę nad technologią i takie tam. Nie zdziwiłbym się, jakby Hos nie przetrwał kilopulsa po naszym odlocie.

Coś szarpnęło sterami, a potem statek zaczął obniżać lot. Zaraz wielki robal na nas wyskoczy z ziemi. Skierowałem daser pod nogi i aktywowałem, wycinając dużą dziurę w podłodze. Nie było jednak tam żadnego technogona.

Wtem przeleciał mi koło twarzy pocisk, wyleciał przez dziurę w dachu. Zobaczyłem w dole tylko różowy błysk. Dopadłem konsoli, szukając trybu głośnomówiącego. Tego też nie było. Plazma ziewnął.

— „Hos, ja Rohost. Pokój.” — Krzyczałem z całych sił po zurdowsku.

— Śmieciolot jest trochę podobny do dronów czarnej armii. Mieliście to na zajęciach? — ryknął obojętnie. — Pomóc ci w czymś?

— Poradzę sobie.

Biegałem z lewa w prawo, z prawa w lewo, Hos nadal celował w nas swoim działkiem. Może narysować mu mój symbol na prześcieradle? Ale nie mam czym narysować i nie mam prześcieradła. A może jest jakieś w kajucie? Statek coraz bardziej obniżał lot.

Zobaczyłem wtedy, jak z daleka nadciąga burza piaskowa. Nie, to nie była burza, to było bardziej jak parowóz sunący metr pod piaskiem. Technogon zwęszył naszą obecność i zaraz wyskoczy z ziemi. Wycelowałem daserem jeszcze raz, trafiłem centralnie w niego, lecz niewiele to pomagało. Jedyne zwolnił nieco bieg. Wyrysowałem swój symbol na piasku, lecz Hos nie zauważył i nadal w nas celował.

Parowóz był bliżej i bliżej. W akcie desperacji, złapałem stery i szarpnąłem śmieciolotem. Różowa eksplozja zniszczyła silniki, poleciliśmy w dół.

— No to hej. — Plazma wybił drugą dziurę w suficie, rozłożył skrzydła i został w miejscu.

Tuż przed zderzeniem także wyskoczyłem przez plazmową dziurę. Miękkie gruzy i masa kadłuba zamortyzowały upadek, naturalnie się przewróciłem, prosto na twarz.

— „Rohost? Co ty robisz w statku Czarnych? Nie wiem, po co wróciłeś, ale nie pozwolę ci skrzywdzić Profesora.” — Głos Hosa rozległ się, jak przez megafon.

— „Kogo?” — Chyba się przesłyszałem. Albo nie zrozumiałem zurdowskiego.

Wtedy z piasku wyskoczyła nasza śmierć. Nie nie śmierć. Nie elektryczny robal. Była to wielka, biała kula. Była to Kula.

Zawisła metr od gruzu i włąz opadł na dół, rozwijając czerwony dywan.

— „Panie Dernasztapie, jak miło znów pana widzieć. Ziemskie przysmaki już na pana czekają.” — Profesor Kula przywitał się z Hosem, w perfekcyjnym zurdowskim. — „O, i jest także Mateusz. Cóż za niespodzianka.”

— „Chwila, Profesor go zna?” — Hos dopiero teraz obniżył działko hipera.

— „Oczywiście, to nowy kandydat na członka ALOPP. Mieliliśmy przyjemność zjeść razem bankiet nie tak dawno temu” — Profesor powiedział coś, co wydawało się dla niego tak codzienne, jakby regularnie zapraszał na bankiety losowe osoby z całego wszechświata. — I jak, udało się zdać test? — dokończył po polsku.

— Dalej, powiedz, co pięknego narobiłeś. — Usłyszał lądującego za sobą Plazmę. — „Rohost chciał ratunek Hos, ale atak Plazma.”

Hos otworzył hipera, wyszedł do połowy i wtopił we mnie swój wzrok. Plazma wylądował i wtopił we mnie swój wzrok. Kula wtopiał się we mnie swoim wzrokiem już od pewnego czasu.

— Zaatakowałem potwora, bo chciałem ratować Hosa... tego... Dernasztapa. Ukradłem daser i groziłem mu, że go poćwiartuję. — Kula zdawał słuchać mnie uważnie.

— To są szczegóły. — Plazma drapał się za kolcem na ogonie. — Co tak na prawdę zrobiłeś?

— Nie uratowałem nikogo z fortecy, nawet siebie. Plazma musiał po mnie przyjść i spalić wszystkich.

— Panie Mateuszu Mechalyczny, nie jest pan dzieckiem, co tak na prawdę złego zrobił pan?

— Jeszcze... nie wiem. — Kopnąłem kamyczek. — Zniszczyłem drugi śmieciolot?

— On nie wie. — Potwór wydał dziwny dźwięk.

— „On nie wie.” — Kula użył zurdowskiego.

— „Ja też nie wiem.” — Tajemniczo rozłożył ręce Dernasztap.

— Zatem poczekamy, aż sobie przypomni — Plazma warknął. Pomarańczowe pole siłowe objęło mnie całego. — Profesorze, łaskawy był byś nas podrzucić do głównego więzienia? To będzie jego nowy dom. Nie mamy co prawda strojów galowych, ale nie będziemy wychodzić z garderoby.

— Broń Boże. — Kula złapał się za pierś. — Strój musi być.

Siedziałem, wciąż otoczony plazmowym polem siłowym. Tyle, że miałem też na sobie niewygodny, wypożyczony kontusz. Z góry słyszeć było śmiechy i dźwięki uczty. Hos gorączkowo coś tłumaczył, co jakiś czas przerywali mu potwór i gospodarz.

Pomarańczowa stróżka energii wychodziła z mojego więzienia i niknęła w suficie, w miejscu gdzie siedział kilka pięter wyżej Plazma. Uderzyłem kilka

razy pięścią w tarczę. Musiał poczuć, bo zatrzęsnał mną tak, że poobijałem się ze wszystkich stron. Nie było szansy na ucieczkę.

Dernasztap przyszedł do mnie. Przeprosił za to, że chciał mnie zabić, wyjaśnił iż byłem w statku przypominającym pojazdy Czarnych, a Kryształowa Królowna jest znana z robienia układów z kosmitami. Mogłem być ich tajnym agentem, to tak pięknie się układało. Przyniósł mi naleśnika z cukrem, nazywał go vinite, jego ulubioną potrawą, nie było lepszej na całej planecie. Nie mogłem go jednak przełożyć przez pomarańczową ścianę. Tak musiał czuć się ten dziadziuś, odcięty od świata. Na odchodne powiedziałem, żeby poprosił Profesora o bigos, to zobaczy czym jest prawdziwe jedzenie.

Wszyscy zeszli do garderoby. Hos trzymał garnuszek bigosu i wciągał go wielkimi haustami. Ciekawe co będą dawać mi w kubistycznym więzieniu. Patrzyłem się tępo we wrota kuli. Już było mi wszystko jedno. Bezużyteczność w więzieniu, bezużyteczność na Ziemi, co za bezużyteczna różnica. Ktoś pokręcił korbą, nawet się nie odwróciłem. Jak wyglądało ALOPPowe więzienie, nie wiem bo zamknąłem oczy.

Poczułem powiew świeżego wiatru. Był dość suchy i niewybitnie gorący. Nie pachniał Ziemią. Dlaczego Plazma otworzył swoją powłokę? Ciepłe promienie otarły mi się o twarz, nie z jednej, lecz z dwóch stron. Powietrze smakowało technologicznie. Słyszałem niewyobrażalną pustkę. Otworzyłem powieki.

Gradient nieba zmieniał się od jasnego błękitu, po fioletowy horyzont. Na rozległym niebie brak było jakiegokolwiek chmurki. Jednak nie było przez to monotonne, wielka ilość najróżniejszych półksiężyców zdobiła nieboskłon. Miały różne wielości, różne kolory i wszystkie skierowane w stronę dwóch słońc. Jeden z nich nie był kulą, a wielkim sześcianiem. Jeden miał iskrzące światelka po nocnej stronie. Jeden poruszał się bardzo szybko. Między dwoma było połączenie. Słońca miały różne wielkości, jedno całkowicie białe, drugie mniejsze, fioletowe. Wyciągnąłem rękę, która rzucała ledwo dostrzegalny szary i niebieskawy cień.

Staliśmy na małym placu z białego kamienia. Kończył się przepaścią. Wąska, nieskończenie prosta droga odchodziła w bok, podpierana wysokimi pylonami, niknącymi we mgle. Z drugiej strony coś, co przypominało tor pociągu magnetycznego, schodziło ostro w dół do niedostrzegalnej powierzchni. Na horyzoncie było jeszcze kila przeczących grawitacji mostów, oraz gigantyczny, nierozpoznawalny kształt.

Czy to było więzienie? Nie wyglądało na więzienie.

— Witaj na Potworanie. Zostaniesz tu na zawsze — Plazma złowrogo się zaśmiał — gdyż nigdy nie będziesz miał ochoty wrócić na Ziemię.

Nie rozumiałem.

Ktoś włożył mi do kieszeni okrągły przedmiot. Poczułem gładkie ekrany

z dwóch stron i gumowy brzeg. Komunikator. Taki sam, jaki miał Nadar. Z drugiej strony poczułem kształt szyfratora. Na moje kolana położono jakieś ubranie, wyglądało podobnie to tego, jakie zaprojektowałem, lecz z lepszych materiałów i na środku miało srebrny symbol Potworanu.

— I przy okazji — rykliwy głos odezwał się za moimi plecami — tak, odcięta głowa może mi odrosnąć.



Z demonów została kupka prochów. Nikt więcej nie został. Miasto było wolne, a Antyrax jedynym jego mieszkańcem.

Wtedy wielki cień spowił miasteczko. Autor nie przypominał sobie o żadnym nadchodzącym zaćmieniu słońca. Popatrzył się w górę. Jednak to nie było zaćmienie, lecz tułów Neofantasora, który schylił się nad biednym Antyraxem. Czy uderzy w niego? Zada ostateczną klęskę? Czy pogratuluje? Może wysypie kolejną dychę wrogów?

Neofantasor jednak zbliżył do niego wyciągniętą dłoń, jakby prosił o coś. Drugą zwinął w pięść i zawiesił nad pisarzem. Na co czekał? Czego oczekiwał?

Chciał Pucharu. Neofantasor czekał na jego wygraną w konkursie. Lub na przegraną i opuszczenie pięści z impetem. Jednak tej jednej rzeczy Antyrax wymyślić nie potrafił. Usiadł centralnie pod pięścią i czekał. Już nic nie zależało od niego.

Rozdział 7

Pałac Kultury na Wulkanie Mazowieckim

Pocztówka z niekontrolowanego użycia mocy przez Chronosa

Treść pocztówki przetłumaczona na Polski z ☹.

Chyba Warszawa, mam.gdzieś.datę

Ferro, idioto! Kazałeś mi ćwiczyć supermoce w każdym wolnym czasie!

I będąc na wycieczce w Warszawie, przez przypadek, przez ciebie, cofnąłem całe miasto o 1000 lat wstecz do średniowiecza! Zaczęli mi tu strzelać z trebuszy do samolotów. Dodatkowo jakoś, Pałac Kultury wcale nie cofnął się razem z miastem. Przypominam, Warszawa wtedy nawet nie istniała!

Chciałem to naprawić, poleciałem w przód, tylko coś się pomieszało i powstały dorożki na rakietowe konie.

No więc znowu wymusiłem do tyłu... i zmieniło się w dżunglę z dinozaurami-cyborgami (a w Jurze Mazowsze było dnem morza). Pośrodku nadal stał Pałac.

Spanikowałem i przyspieszyłem do jakiejś pre-post-apokaliptycznej wojny nazi-zombiaków. Przerażony dałem całą wstecz...

Pozdrowienia ze szczytu Wulkanu Mazowieckiego.

Chronos

PS. Pałac Kultury nadal tu stoi.

PPS. Ten wulkan chyba niedługo wybuchnie mrówkami — nie pytaj.

Rozdział 8

Wypchaj się tym barem mlecznym

Pocztówka kogoś, kto narzeka na obsługę w pewnej nietypowej restauracji.

Paraboloxie, wypchaj się tym swoim barem mlecznym, co mi poleciłeś!

Poszedłem do tej wychwalanej przez Ciebie knajpy i zamówiłem specjalność zakładu. Dali mi jakieś osiem żalonych kulek w bardzo małym zestawie. Pomyślałem, co mi tam, i spróbowałem. No, przyznam, cztery największe były całkiem niezłe. Podobał mi się bogaty smak takiej pierścieniowatej, sporo dodatków. Jednak pozostałe — koszmar!

Pierwsza tak strasznie spalona, że pogryźć się nie dało. Drugą podali tak gorącą, że sparzyłem się w język. Czwarta za to strasznie sucha, musiałem maczać ją w szklance. Jednak trzecia. Oj... Trzecia była ROBACZYWA! Zrobiłem tam mały raban, ale łaskawie zwrócili mi pieniądze. Proponowali darmową mgławicę, oczywiście odmówiłem, pewnie byłaby pełna czarnych dziur.

Jak ostatnio poleciłeś mi lokal, to supernowa wybuchła mi na koszulę. A teraz to! Więcej nie słucham Twoich rad.

Xerinorit

PS. Wracam stołować się w Andromedzie.